

DIABLO®



GDY ZAPADA CIEMNOŚĆ,
RODZĄ SIĘ BOHATEROWIE

MICKY NEILSON * JAMES WAUGH
CAMERON DAYTON * MATT BURNS
MICHAEL CHU * ERIK SABOL

Micky Neilson, James M. Waugh, Cameron Dayton, Matt Burns, Michael Chu, Jason Bischof, Erik Sabol



Gdy zapada ciemność, rodzą się bohaterowie

Tłumaczenie: Mateusz Repeczko
Wydawnictwo: Fabryka Słów 2013



SPIS TREŚCI

Wstęp Micky'ego Neilsona

Micky Neilson NIENAWIŚĆ I DYSCYPLINA

Cameron Dayton WĘDROWIEC

Strach

Siostra

Życie

Śmierć

Zdrajca

Brat

Warta

Matt Burns NIEUSTĘPLIWY

Michael Chu ŚWIETLIK

Matt Burns KROCZĄCY W ZWATPIENIU

James Waugh THEATRE MACABRE: MROCZNE WYGNANIE

Erik Sabol GŁÓD

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

INFORMACJE O AUTORACH







Wstęp Micky'ego Neilsona

Bohaterstwo w obliczu grozy absolutnej.

Tak można zwięźle opisać świat *Diablo*, ale to nie zawsze było takie proste. Nie tak dawno temu mieliśmy w Blizzardzie debatę o tym, jak najtrafniej scharakteryzować *Diablo*. Zadaliśmy sobie pytanie, czym tak naprawdę jest groza, a w szczególności jaką funkcję pełni w świecie *Diablo*. Który sposób będzie najlepszy na przekazanie mieszanki terroru i dark fantasy.

Jeżeli zapyta się przypadkowego Kowalskiego o definicję grozy, otrzyma się oszłamiającą mieszankę sprzecznych odpowiedzi. Oczywiście przeciętny Kowalski nie musi zgadzać się w kwestii tego, czym jest groza w uniwersum *Diablo*. My tak.

Debatujący podzielili się na dwa obozy: suspensu i masakry. Obóz suspensu argumentował, żeby nie pokazywać potwora czającego się pod łóżkiem (przynajmniej nie od razu), ponieważ oczekiwanie na to, co czai się na skraju ciemności, przeraża nas najbardziej. To horror psychologiczny.

I dość często zdarza się, że kiedy potwór w końcu się pokazuje, jest przerażająco podobny do nas samych.

Obóz masakry interpretował grozę jako krew i flaki, instynktowne objawienie czegoś nie do pomyślenia i niewypowiedzianego. Chodzi o wstrząśnięcie przekonaniami odbiorcy. To podejście przypomina nieco gatunek filmowy określany jako „torture porn”, czyli z niesmaczną wręcz ilością szczegółowych i niezwykle brutalnych scen. Te filmy nie mają budować napięcia, tylko wywracać nasze wnętrza na lewą stronę. Nie pomijają tego, co może wywołać u nas traumę, raczej pokazują to i zmuszają do zaakceptowania, chociaż odruchowo wszystko w nas krzyczy, aby się odwrócić i nie patrzeć.

W takim razie gdzie należy umiejscowić *Diablo*? I trzeba tu zaznaczyć, że mówię tu o całości koncepcji, nie tylko o grach.

W końcu określiliśmy, że *Diablo* z pewnością zawiera w sobie elementy gore i mają one swoje miejsce. Ale *Diablo* to nie gore. *Diablo* to horror psychologiczny, to strach przed potworem spod łóżka. Dlaczego? Ponieważ tym, co najlepiej definiuje *Diablo*, są działania bohatera, który ten strach przewycięża.

Groza - prawdziwa groza - jest w każdym z nas. Karmimy ją codziennie naszymi wątpliwościami, pożądaniem, żalem, zazdrością, nienawiścią oraz milionem innych smakołyków. W *Diablo* to zło reprezentowane jest przez demony, ale one pielęgnują tylko nasiona, jakie wysiewamy sami. Największym zatem wyzwaniem jest zwycięstwo w walce przeciwko samemu sobie. To jest oznaką prawdziwej odwagi w świecie *Diablo*.

Kiedy zrozumieliśmy tę prostą prawdę, możliwości stały się nieograniczone. Ten jakże żyzny grunt zawierał w sobie ogrom materiału na opowieści, z którego my, chciwi mali pisarze, mogliśmy czerpać.

I czerpaliśmy. Kiedy pojawiła się przede mną możliwość złożenia zbioru krótkich opowiadań, które wprowadzałyby lub rozszerzały klasy postaci przedstawione w *Diablo III*, zacząłem się ślinić. To była szansa na stworzenie antologii wiernie reprezentującej to, co my w Blizzardzie uważaliśmy za najważniejsze dla *Diablo*. Dążyłem do opracowania takich opowiadań (oraz napisania jednego), które fani będą chcieli czytać przy zapalonym świetle w całym domu.

Oto rezultat naszych wysiłków.

W moim opowiadaniu o łowcy demonów, *Nienawiść i dyscyplina*, widać duży wpływ twórczości Stephena Kinga. Opowieść opisuje najgłębiej zakorzenione lęki: strach przed porażką, przed utratą nadziei oraz przed przekroczeniem tej niedostrzegalnej granicy między dobrem a złem.

W *Wędrowcu*, napisanym przez Camerona Daytona opowiadaniu o barbarzyńcy, odczuwa się ponurą, aczkolwiek momentami porywającą narrację w stylu, który przywodzi na myśl sagę dark fantasy z domieszką horroru godną Roberta E. Howardsa. To refleksja o winie i odkupieniu.

Nieustępliwy to opowieść o mnichu napisana przez Matta Burnsa, pełna wartkiej akcji oraz przygody, przesiąkniętych ukrytą grozą, często o wiele bardziej przerażającą niż wysoki na dziesięć stóp, rogaty demon. Grozą mrocznej strony człowieczeństwa.

Świetlik jest prowokującym do przemyśleń portretem maga z *Diablo III*, opowiedzianym przez jednego z twórców gry, Michaela Chu. To finezyjne rozważania nad przyczyną i skutkiem oraz ceną, jaką czasem trzeba zapłacić za wielką moc.

Kroczący w zwątpieniu Matta Burnsa to pierwotna baśń, która rzuca światło (albo bardziej trafnie niesamowity blask) na szamana i wieczną walkę między wiarą a zwątpieniem.

Wszystkie te opowiadania zadebiutowały jako część internetowej kampanii *Diablo III*, a teraz zostały zebrane w poręczny tom. Ale na tym nie koniec. Kiedy wydaje się, że można już bezpiecznie zamknąć książkę i popędzić do łóżka, nadchodzą jeszcze dwa szturmy na otchłań.

Theatre macabre: Mroczne wygnanie jest zapierającym dech w piersiach upadkiem w króliczą norę szaleństwa i bezgranicznego zła (i pełnym bezgranicznego podziwu hołdem dla Edgara Allana Poe). Opowiadanie to napisał nasz James Waugh.

W końcu *Głód* Erika Sabola - makabryczna i dosadna analiza tchórzostwa i lenistwa. To pozostająca w pamięci przypowieść o tym, że odwaga może zostać znaleziona tam, gdzie się jej najmniej spodziewamy.

Niezależnie od tego, czy utożsamiasz się z obozem suspensu, czy masakry, jestem pewny, że między tymi stronami znajdziesz materiał, który skłoni cię do przemyśleń i rozważań oraz sprawi, że zajrzysz w głąb siebie, aby poszukać tego czasem nieuchwytnego heroizmu w obliczu absolutnej grozy.

Złap więc kubek gorącej kawy, zasiądź w ulubionym fotelu i przygotuj się na to, co ma nadejść. Zanim jednak zaczniesz czytać dalej...

Upewnij się, że włączyłeś w domu wszystkie światła.



Micky Neilson
NIENAWIŚĆ I DYSCYPLINA





Valla na milę czuła smród gnijących zwłok.

Powietrze było ciepłe, choć niebo nad Khanduras zasnuła warstwa chmur. Valla, łowczyni demonów, dotarła do tego, co pozostało z Holbrook - niegdyś maleńkiej osady farmerskiej, nieustannie walczącej o przetrwanie, teraz całkiem opustoszałej. A przynajmniej tak się wydawało, ciężki odór rozkładu pozwalał się bowiem domyślić, że mieszkańcy nadal gdzieś tu są, tyle że już nie wśród żywych.

Mentor Valli, Josen, stał pośrodku wioski, przyglądając się rumowisku z potrzaskanych cegieł, powyrywanych z ziemi kamieni i przeoranej gleby.

Ubrany był w sposób typowy dla łowców demonów. Rozproszone światło dnia odbijało się miękko od srebrzonej płytowej zbroi, która osłaniała jego tors. Bliźniacze kusze spoczywały w olstrach na udach, tuż w zasięgu ręki. Twarz Josena skrywał kaptur, poły płaszcz łopotały na wietrze.

Valla ubrana była podobnie; różnicę stanowił długi, ciemny szal, który zakrywał połowę jej twarzy. Córka tracza wstrzymała konia, zsunęła się z siodła i stanęła, nieruchoma, milcząca i czujna.

Słyszała ciche nieustające buczenie. Josen i dwóch innych łowców byli tu chyba jedynymi żywymi istotami. Jeden przeszukiwał opustoszałe budynki, drugi stał przy walącym się magazynie.

Cokolwiek się tu wydarzyło, przybyli za późno, by temu zapobiec. Teraz mogli już tylko szukać ocalałych. W końcu było to drugie w kolejności najważniejsze zadanie jej ludzi: nakarmić i udzielić schronienia tym, którzy stracili wszystko w niewyobrażalnej tragedii. Wskazać im drogę, natchnąć odwagą, nauczyć i wyszkolić... by gotowi byli wypełniać zadanie najważniejsze: stać się łowcami demonów i likwidować piekielny pomiot odpowiedzialny za zło, jak to, które wydarzyło się tutaj.

Gdy Valla podeszła do Josena, ten nadal z uwagą wpatrywał się w rumowisko.

– Przybyłam najszybciej jak mogłam - oznajmiła, zsunąwszy szal z twarzy. Odległe buczenie nie milkło. Josen nie podniósł wzroku.

– Nie powinno nas tu być - głos miał chropawy niczym żwir. - I nie byłoby, gdyby Delios wykonał zadanie. - Wbił wzrok w twarz Valli. Oczy mu lśniły. - Powiedz mi, co widzisz.

Valla spojrzała na rumowisko. Kawałki drewna, obmurowania wyglądały znajomo... tak jak ciemna ciecz, którą były zbryzgane. Ale widziała też ślady czarnej substancji, podobnej do smoły, której nie umiała zidentyfikować.

– Studnia - stwierdziła. - Demon wyszedł z niej... ranny, o czym świadczą ślady piekielnej posoki. Delios osiągnął przynajmniej tyle. Mam nadzieję, że poległ śmiercią godną łowcy.

Josen rozrzucił ziemię czubkiem buta. Pod wierzchnią warstwą gleba była mokra.

– To wydarzyło się nie dalej niż wczoraj... już po. Valla czekała na ciąg dalszy, ale gdy mentor milczał, sama spytała.

– Po czym?

Wyraz twarzy mistrza pozostał absolutnie nieodgadniony.

– Chodź za mną - polecił.



W miarę jak zbliżali się do magazynu, buczenie przybierało na sile. A im lepiej słychać było uporczywe, wibrujące brzęczenie, tym silniejszy stawał się nieznośny smród. Łowca stojący przy drzwiach otworzył je zamasyście.

Czarna zbita masa much wyrwała się na wolność. I choć Valla nie pierwszy raz czuła przenikliwą woń rozkładającego się mięsa, to tym razem fetor niemal zwałił ją z nóg. Szczelniej zasłoniła twarz szalem, próbując opanować mdłości.

Mieszkańcy wioski znajdowali się w niedużej stodole. Leżeli w nierównych stosach. Mężczyźni, kobiety... wielu z nich miało nabrzmiałe twarze i wzdęte brzuchy. Niektóre ciała już popękały, wylewały się z nich cuchnące wnętrzości pełne wijących się larw. Z oczu, nosów i ust sączyła się ciecz. Przez potworny fetor rozkładu przebijał się jeszcze gorszy, charakterystyczny smród odchodów. Nad wszystkim krążyły chmary much.

Valla zmarszczyła brwi. Rany, choć niewątpliwie makabryczne, znacznie różniły się od tych, które zwykle świadczyły o ataku demonów. Łowczyni patrzyła na pokłute, poprzebijane ciała i zmiażdżone czaszki - piekielny pomiot darł ofiary szponami na strzępy, rozrywał na części, strącał głowy z ramion.

– Wczoraj widziano Deliosa pod Bramwell - odezwał się Josen. - Wpadł do zamtuza, wymordował wszystkich... i przepadł bez śladu. Zeszłej nocy była kolejna masakra. Piętnaście ofiar w norze palaczy opium. Zginęli naszpikowani bełtami i od ciosów klingi.

Valla otworzyła szeroko oczy z niedowierzania.

Josen odpowiedział na to niewypowiedziane pytanie.

– Poddał się zepsuciu. Jest już dla nas stracony. Nie lepszy od demona.

Ta straszliwa groźba wisiała nad każdym z łowców, nieustannie musieli balansować na krawędzi dobra i zła. Tak łatwo było stracić panowanie nad strachem lub nad nienawiścią i przekroczyć granicę. Ale to... to tutaj nie była sprawką Deliosa. To było coś innego. Valla skryła niepokój.

– Może i tak, ale tego tutaj nie zrobił żaden łowca. Ani żaden demon.

– Zgadzam się.

– Sądzisz, że obrócili się przeciw sobie?

– To możliwe - odparł twardo Josen, zanim odszedł. Valla raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem stosy zwłok i uświadomiła sobie coś zaskakującego. Nie było wśród nich ani jednego dziecka.



Josen stał już przy swoim wierzchowcu. Valla podeszła do niego szybkim krokiem.

– Wykonałam swoje ostatnie zadanie. Jakie masz dla mnie rozkazy?

– Nadal będziemy szukać ocalałych. Gdy tylko wzejdzie słońce, pojedę do Bramwell i odzokam Deliosa. Być może... jest jeszcze dla niego nadzieja - powiedział mistrz łowców, ale nieznaczące wahanie w jego głosie świadczyło o tym, że Josen sam nie wierzy we własne słowa.

Valla wyprostowała się.

– Więc ja odzokam demona.

– Nie - uciął mistrz. - Nie jesteś gotowa.

Valla postąpiła o krok do przodu.

– Że co proszę?

Josen odwrócił się ku niej.

– Powiedziałem, że nie jesteś gotowa - powtórzył bez żadnych emocji. - Nie mamy tak naprawdę pojęcia, z czym przyszło nam się zmierzyć. Nie wiem, jak owo coś działa. Sądzimy, że to demon, który karmi się grozą... i

Delios o tym wiedział, jednak ta wiedza okazała się niewystarczająca. Taki demon... - Josen nieznacznie opuścił wzrok - sięgnie w głąb twojego umysłu i odkryje każdy lęk, każdą obawę, wątpliwość i żal, nieważne jak głęboko pogrzebane. Przyjdzie ci zmierzyć się z samą sobą. - Mistrz zatrzymał spojrzenie na twarzy Valli. - Nie zapominaj o swojej porażce w ruinach.

- To było co innego - zaprotestowała dziewczyna. - Demon gniewu.

- Gniew. Nienawiść, Strach. Żywią się jedne drugimi. Łowca demonów uczy się, jak kierować swoją nienawiścią, ale to krucha równowaga. A kiedy się ją utraci, rozpoczyna się cykl: Nienawiść rodzi Zniszczenie, Zniszczenie rodzi Grozę. Groza rodzi Nienawiść, która daje początek...

- Słyszałam to tysiące razy! - rzuciła Valla impulsywnie.

- To weź to sobie do serca. Jesteś jeszcze młoda i musisz się wiele nauczyć. A jeśli ja nauczyłem cię czegokolwiek, to tego, że łowca demonów musi dyscypliną trzymać nienawiść w ryzach. Więc się uspokój. Demon jest ranny i na razie niezdolny do działania. Wyślę kogoś innego.

Josen chciał się oddalić, ale Valla jeszcze nie skończyła.

- W takim razie ruszę za Deliosem.

Mistrz spojrzał na nią przenikliwie.

- Zostaniesz i pomożesz szukać ocalałych. Delios należy do mnie. I to rozkaz - oznajmił i odjechał. Spokojnie. Bez pośpiechu. A to tylko podsyciło gniew Valli. Chciała, żeby na nią nakrzyczał, nawrzeszczał wręcz, okazał choćby cię jakichkolwiek emocji.

Niegotowa? Ja nie jestem gotowa? Po tym, co przeszłam...

- Jak śmiesz mówić mi, na co jestem, a na co nie jestem gotowa? - szepnęła.

W mgnieniu oka znalazła się na grzbiecie swojego wierzchowca.

Gdzie teraz? W którą stronę ruszyłby demon? Popatrzyła na ślady krwi wśród gruzu, ale w zasięgu wzroku nie było tropu, który prowadziłyby w konkretnym kierunku.

Na wschodzie rozciągały się góry. Na zachodzie - Zatoka Zachodnich Marchii. Daleko na południe leżało Nowe Tristram. Czy demon ryzykowałby długą podróż na południe, czy może ruszyłby na północny wschód... tam, gdzie miał szansę znaleźć osadę podobną do tej.

Łatwiejsza zdobycz.

Najbliższa osada, Havenwood, leżała niecały dzień drogi stąd.

Decyzja została podjęta.



Ellis Halstaff niepokoiła się stanem zdrowia córki.

Sahmantha leżała nieruchomo w łóżku na parterze. Na czole miała zimny, mokry kompres, a oddech płytki.

Zeszłej nocy Sahm obudziła się z krzykiem. I sporo czasu minęło, zanim Ellis udało się uspokoić dziewczynkę, a kiedy wreszcie mogła spytać, co się właściwie stało, córeczka odpowiedziała: „Jakby coś niedobrego było w mojej głowie”.

Bellik, uzdrowiciel Havenwood, zajrzał do niej w ciągu dnia. Przygotował środek, który miał ułatwić dziewczynce odpoczynek, i zalecił zimne kąpiele przy każdej okazji.

Ale teraz Sahm spała, mały synek Ellis, Ralyn, był głodny, zaś w domu wciąż zostało jeszcze wiele pracy. Kiedyś było jej łatwiej - zanim ojciec Sahm odszedł bez słowa, bez śladu, nie zostawiwszy nawet listu.

Ellis spojrzała na Sahm, wspominając jej ostatnie urodziny, kiedy to rezolutna siedmiolatka oświadczyła butnie, że teraz „sama będzie dbała o swoje sprawy”, i stanowczo skończyła ze sprzątaniami. Ellis przypomniał

się śmiech córeczki, serdeczny, szczerzy i niepohamowany. Pomyślała o wieczorze zaledwie sprzed tygodnia, kiedy to Sahm zwierzyła jej się w największym sekrecie, że zadurzyła się w małym Joshui Grayu, bo jego oczy są jak przyjemny sen.

I Ellis pomodliła się do Akarata o szybki powrót do zdrowia swojej małej córeczki, życzyła jej, by śniła wiele dobrych snów i nie musiała już lękać się niczego, co ją nękało.



Valla siedziała przy ognisku kilka mil od Havenwood i wpatrywała się w płomienie. Bezwiednie przesunęła palcem po długiej bliźnie znaczącej linię jej szczęki.

„Nie jesteś gotowa”.

„Łowca demonów musi dyscypliną trzymać nienawiść w ryzach”.

Słowa Josena wciąż jeszcze bolały. Ale im dłużej je rozważała, tym bardziej była przekonana, że może... może nie do końca się mylił. Jej myśli podryfowały ku wydarzeniom w ruinach...

Od kilku dni zmierzali wraz z Deliosem na południe Ponurych Ziem. Delios był nieokrzesany i potwornie działał Valli na nerwy. Łowczyni woląca wędrować sama, ale Josen uparł się, żeby tym razem dołączył do niej Delios.

Odkryli kryjówkę demona pośród zapomnianych ruin nieznannej już cywilizacji. Valla broniła swego umysłu, jak uczył ją Josen. Przestrzegał ich oboje, że walka z tak potężnym demonem nie sprowadza się jedynie do nieskomplikowanego starcia fizycznego.

– Wy jesteście najpotężniejszą bronią demona - powiedział im.

I kiedy schodzili we dwoje po szerokich kamiennych stopniach, Valla czuła, jak narasta w niej niepokój. U stóp schodów otwierała się przepastna

grota. Z kamiennej posadzki wznosiły się setki potężnych filarów, których zwieńczenia ginęły gdzieś w mroku. Węgłe płonące w metalowych koszach rzucały wokół migotliwe plamy światła.

Delios wyrwał się naprzód. Lekkomyślnie. Głupio. Valli głowa niemal pękała z bólu. Czuła, jak demon przenika jej myśli. Jakby wsuwał tam czarne macki, badał, kusił, prowokował. Valla rozpamiętywała każdą wadę Deliosa, każdy jego paskudny nawyk. Jej irytacja prędko zmieniła się w gniew, a gniew we wściekłość.

Delios znów wyrwał się naprzód, choć wołała, żeby się zatrzymał. Obrócił się, posyłając jej złośliwy uśmiech. I nagle była pewna, że uległ zepsuciu. Przeszedł na drugą stronę. Jej wściekłość zmieniła się w ślepią furję, wiedziała już, że musi go zabić. Był słaby. Żałosny. Pozbawienie go życia będzie aktem miłosierdzia. Ruszyła naprzód. Delios stał bez ruchu i tylko uśmiechał się złośliwie. Valla rzuciła się ku niemu biegiem. Uskoczył za filar. Ona za nim...

Zniknął. Poczowała za plecami przytłaczającą, obcą obecność demona. W umyśle słyszała echo jego śmiechu. Demon manipulował nią bez najmniejszego trudu, niczym lalkarz sznurkami marionetki. Delios, za którym goniła, był jedynie mirażem. Przegrała i teraz zapłaci za to życiem.

Rozległ się wybuch i resztę Valla pamiętała tylko w przebłyskach: Josen walczący z demonem. Delios biegnący na pomoc. Świadomość powracająca na chwilę wystarczająco długą, by Valla zdołała wystrzelić kilkakrotnie ze swojej kuszy. Josen wykrzykujący egzorcyzm:

– Widzę cię, Draxielu, sługusie Mefista. W imieniu tych, którzy cierpieli, wypędzam cię! Przepadnij i bądź przeklęty! I nigdy nie wracaj!

Strzała Josena rozbłysła oślepiającym blaskiem i demon zniknął.

Ruiny stanowiły próbę. (Josen lubił powtarzać, że wszystko jest próbą, całe życie to próba). Valla zawiodła. A teraz... teraz zawiodł też Delios. I

zapłacił za to duszą.

Valla była zdecydowana pokonać demona z Holbrook. Ale nie zamierzała podzielić losu Deliosa.

Jest już dla nas stracony. Nie lepszy od demona.

Córka tracza stłumiła dreszcz. Istniało kilka sposobów na wygnanie demona, ale Josen nauczył ją tylko jednego. Powiedział wtedy:

– Kiedy demon patrzy w ciebie, zagłąda w najgłębsze zakamarki twojego umysłu, ty możesz wejrzeć w niego. Lecz to najgroźniejsze, co może zrobić łowca demonów.

Błąd, który popełniła w ruinach, już się nie powtórzy. Od tamtego czasu bardzo dojrzała.

Wyciągnęła z kieszeni wizerunek swojej młodszej siostry, Halissy.

– Dla ciebie - szepnęła. Kiedy ognisko zaczęło przygasać, łowczyni oddała się ćwiczeniom umysłu, których nauczył ją Josen.



Nie przeżyję tego, pomyślała Ellis Halstaff, straciłam zbyt wiele krwi.

Ucieczka przez drzwi frontowe i bieg do Havenwood nie wchodziły w grę. Nie bez Ralyna. Malec był właściwie bezradny. Miał ledwie półtora roku; nie zdążył jeszcze dobrze opanować sztuki chodzenia, a co dopiero mówić o jakiegokolwiek formie obrony.

Ellis dotarła do schodów i zdrową ręką złapała za poręcz, zaczęła się podciągać, stopień po stopniu, wlokąc za sobą bezużyteczną prawą nogę.

Sił jej ubywało i nie przestawała myśleć o córeczce, rozpaczliwie starając się zrozumieć, dlaczego Sahm próbowała ją zabić.

Skończywszy prace w obejściu, Ellis zajrzała do córki, by sprawdzić, jak mała się czuje i czy jest w stanie wziąć kąpiel. Dziewczynka uśmiechnęła się, wyciągnęła spod prześcieradła najlepszy nóż do mięsa, jaki był w

domu, i dźgnęła matkę w nogę, a potem w brzuch, pięć, sześć razy, jeśli nie więcej. Kilka cennych sekund Ellis spędziła skamieniała z szoku, potem rzuciła się do ucieczki.

Głowa jej ciążyła. Kobieta dotarła już do połowy schodów, kiedy usłyszała na dole tupot bosych stóp Sahm.

Obejrzała się. U stóp schodów stała jej piękna, jasnowłosa córka w różowej koronkowej sukience, którą Ellis po długim oszczędzaniu kupiła małej na święto plonów. Materiał był zaplamiony szkarłatem, lśniącym w blasku lampy. Sahm w prawej dłoni trzymała nóż. Krew plamiła jej rękę aż do łokcia i kapłała z ostrza.

– Czekaj, mamusiu! Przecież muszę cię złapać!

Myśli, że to zabawa. Jak może myśleć, że to zabawa?

Ellis wciągnęła się tyłem na kolejny stopień. Sahm przeskoczyła dwa schody jednym susem.

– Powiedziałam: CZEKAJ!

Dziewczynka poślizgnęła się w kałuży krwi i runęła naprzód. Prawie ramię zatoczyło łuk nad głową, a nóż wbił się w stopień, z którego Ellis dopiero co uciekła.

Własny krzyk wypełnił uszy Ellis, pokonała dwa ostatnie schody i wreszcie znalazła się na piętrze. Dotarła do pokoju Ralyna resztkami sił, wlokąc za sobą bezwładną nogę.

Jak już będę w środku, może jakoś zdołam zabezpieczyć drzwi i wtedy...

Ellis zamarła w progu. Ralyna nie było w łóžeczku. Co gorsze, ktoś połamał drewniane szczebelki, których resztki leżały na podłodze.

Ellis coraz bardziej kręciło się w głowie, sięgnęła do połamanego łóžeczka, by się wesprzeć. Miała wrażenie, że nogi i ramiona ściał chłód, coraz wolniej reagowały na polecenia umysłu.

– Tu jesteś!

Sahm stała w drzwiach z szerokim uśmiechem, tak samo uśmiechała się kiedyś, kiedy razem z tatą bawili się w zapasy.

Świat się zakołysał. Ellis cofnęła się o krok. Złapała jeden ze złamanych prętów łóżeczka - długi i śmiertelnie ostry. Wyrwała go i uniosła przed sobą w drżącej dłoni.

- Coś ty zrobiła, Sahm? Co zrobiłaś braciszкови?

Sahm opuściła nóż. Pełne usteczka wygięły się w podkówkę, dziewczynka zmarszczyła brwi, podniosła na matkę oczy wielkie i wilgotne. Taką minę miała zawsze, gdy zrobiła coś, czego nie powinna, i starała się uniknąć kary.

- Skrzywdzisz mnie, mamó?

Podłoga zachwiała się jak pokład okrętu na niespokojnym morzu. Ellis ostatkiem świadomości zarejestrowała, że jej dłoń ściskająca szczebelek opada wolno.

- Chcę tylko wiedzieć, dlaczego... - Zaszlochała, a jej głos zdawał się płynąć z oddali. - Dlatego, że jesteś chora? Możemy poszukać pomocy. Możemy iść do Bellika i...

Nagły ból przeszył jej zdrową kostkę, a potem na nodze zacisnęły się ostre kleszcze, przesywając całe ciało błyskawicą cierpienia. Krzyknęła.

Spojrzała w dół i zobaczyła synka. Ralyn wyczołgał się spod łóżeczka. Popatrzył na matkę ciepło i posłał jej szeroki uśmiech. Zębki pokrywała warstewka jaskrawej czerwieni.

Świat odpłynął gdzieś w ciemność. Ramię Ellis opadło, głowa odsunęła się w tył. Na szczęście straciła przytomność. Nie poczuła już, jak Sahm przebija jej pierś długim ostrzem.



Dotarła na skraj Havenwood tuż przed północą. Nie przyjechała o tak późnej porze z wyboru, ale Valli bardzo to odpowiadało.

Nie powitają jej tu ciepło. Żadnego łowcy nie witano. Nawet w czasach spokoju i dobrobytu uważano ich za zły omen, zwiastunów śmierci.

Nocne powietrze było ciepłe. Valla mijiała pola skąpane w blasku księżycy, gdzie tłoczyły się wyschnięte łodygi kukurydzy, oraz rzyska, gdzie snopy zboża stały w równych rzędach niczym karne wojsko. Trwały żniwa.

Valla usłyszała szmer wody.

Rzeka.

Córka tracza poczuła w żołądku bolesną pustkę.



Oberżysta pobladł na jej widok, mimo że zdjęła kaptur i zsunęła szal, by go nie wystraszyć. Na pytania odpowiadał półsłówkami. Nie, nie było kłopotów. Nie, nie wydarzyło się nic niezwykłego. Żadnego powodu do obaw. Dała mu liścik, by o świcie zaniósł go do tutejszego uzdrowiciela: „W razie kłopotów wezwijcie mnie”.



Wszedłszy do izby, posłuszna wpojonym nawykom, Valla w myślach odhaczała kolejne punkty z listy: solidny kredens, którym dałoby się w razie potrzeby zabarykadować drzwi. Brak przejścia do sąsiedniego pokoju. Łóżko pod przeciwległą ścianą, z widokiem na drzwi. Jedno biurko, jedno krzesło, jedno okno. Do ziemi jakieś dziesięć łokci.

Zdjęła pancerz i broń. Umieściła je w zasięgu ręki, tuż przy łóżku. Bliźniacze kusze, sztylety, strzałki, bolas, kołczan pełen bełtów - ze szczególną ostrożnością odłożyła jeden z nich, czerwony od zdobiących go

run. Potem zaczęła się rozpakowywać. Cały czas miała wrażenie, które dręczyło ją już w drodze - że o czymś zapomniała. O czymś ważnym. Kluczowym. Zupełnie jakby miała pustkę w głowie tam, gdzie wcześniej przechowywała niezwykle istotną wiedzę.

Wypakowała resztę, a potem usiadła na podłodze i zamknęła oczy, wyciszając umysł. Skupiła się na rytmie swojego pulsu.

Cokolwiek zapomniała, nie chciało wrócić. Poza tym nękały ją i inne myśli.

Co, jeśli się pomyliła? Jeśli złamała rozkaz Josena niepotrzebnie?

Nic dobrego nie wyniknie z zamartwiania się na zapas. A brakująca część pamięci wróci w swoim czasie.

Valla usiadła przy biurku i napisała krótki list do ukochanej siostry Halissy. Opisała ze szczegółami podróż, zapewniła, że wszystko jest dobrze, że kocha siostrę i że wkrótce ją odwiedzi.

Miała nadzieję, że to prawda. Może po zgładzeniu tego demona... może wtedy Valla będzie mogła na chwilę zostawić służbę.

Włożyła list do koperty i schowała ją w torbie podróżnej.

Valla zdmuchnęła świeczkę i ułożyła się na boku, twarzą do drzwi. Jej umysł uporczywie próbował odnaleźć utraconą wiedzę.

Westchnęła ciężko, pragnąc z całych sił, by dane jej było przespać noc bez koszmarów o ataku na rodzinną wioskę. Jak co noc, chciała śnić o czymś dobrym.

Zapomniała już, jak to jest nie mieć snów o masakrze.



Keghan Gray wszedł chwiejnie do chałupy, ulżywszy sobie wśród kwiatków w ogródku. Seretta nie byłaby zadowolona, gdyby to widziała, ale i trzymałaby język za zębami, o ile by wiedziała, co dla niej dobre.

Zaraz po ślubie nie zawsze wiedziała, lecz z biegiem lat zdążyła się nauczyć. Czasem lekcje były trudne, ale zawsze konieczne.

Lampa obok drzwi nie została zapalona... Keghan z pewnością poruszy tę kwestię z Serettą, gdy tylko wstanie słońce. Człowiek może sobie złamać przeklętą nogę w takich ciemnościach. Za trzecim podejściem udało mu się zapalić knot.

Wchodząc do izby, Keghan z niejakim roztargnieniem rozejrzał się za Rexxem. Zwykle kiedy wracał późno z karczmy, Rexx witał go przy drzwiach, z wywalonym ozorem i merdając wesoło ogonem. Przecież Rexx lubił sypiać w pokoju Joshui... I najpewniej tam właśnie jest, zwinięty w kłębek w nogach łóżka.

Stół w komórcie przy kuchni był pusty. Keghan poczuł narastającą irytację. Zacisnął zęby; dłonie odruchowo zwinęły się w pięści. Seretta miała przykazane zostawiać dla niego kolację. Nie mogła być przecież aż tak głupia. Keghan doszedł do wniosku, że być może Joshua zjadł jego porcję. Jeśli tak, smarkacza trzeba będzie ukarać. Surowo ukarać, co było konieczne w takich przypadkach.

A na razie Keghan będzie chyba musiał sam sobie ukroić mięsa. Droga do domu wzbudziła w nim prawdziwy głód. Chwycił ze stołu nóż i uniósł lampę, kierując się do spiżarni.

W pozbawionym okien, wąskim i długim pomieszczeniu wisało na hakach kilka solidnych kawałków ubitej świni. Keghan stanął przy sporym udźcu i uśmiechnął się do siebie.

Pochylił się, by odstawić lampę, a wtedy zauważył na podłodze ciemną plamę, jakby rozlane wino? Przysunął lampę.

Krew.

Ten widok nieco go otrzeźwił... Nie powinno być tu żadnej krwi. Wieprze ubił i sprawił przed domem.

Kałuża rozlewała mu się pod nogami, rosła, krew płynęła skądś z tyłu. Keghan wyprostował się i obrócił, uniósłszy lampę. I niemal ją upuścił, cofając się o krok.

Na przeciwległej ścianie na haku wbitym pod zuchwą wisiał Rexx. Krew zmoczyła jego futro i wciąż jeszcze ściekała z ogona. Wyprute wnętrzności leżały w kącie.

Ciepły podmuch wiatru wpadł do spizarni, gdy ktoś otworzył drzwi. Światło nie sięgało dostatecznie daleko, by Keghan mógł zobaczyć kto. Opuścił lampę i czekał, aż oczy przywykną do mroku.

– Ojciec? - usłyszał.

– Joshua! Właż tu, chłopcze. Co tu robisz?

Keghan nadal widział niewiele więcej niż tylko ciemny kształt na granicy kręgu światła.

– Właż, mówię! Ktoś zabił psa. Rób, co ci każę, chłopcze! Rusz się!

Jego oczy przystosowały się do ciemności na tyle, że już zdołał dojrzeć sylwetkę syna, stojącego nieruchomo w progu. Chłopiec trzymał kosę, której ostrze odcinało się wyraźnie na tle chmur.

– Ale jeszcze żać trzeba, ojcie.

Keghan postąpił naprzód z otwartymi z zaskoczenia ustami.

– Coś ty powiedział, chłopcze? Rozum ci odjęło?

Jeszcze parę kroków i światło lampy padło na Joshuę. Miał na sobie robocze ubranie całe w plamach... o kolorze wina, jak te na podłodze.

– Tyś to zrobił? To ty zabiłeś psa, ty chory...

Bez słowa Joshua postąpił naprzód i ciął. Keghan uniósł rękę, by się zasłonić, ale w ostatniej chwili chłopiec skierował ostrze ukośnie w dół, między żebra Keghana, zatopił we wnętrznościach tak głęboko, że skrwawiony czubek wychynął z pleców.

Keghanowi wezbrał w gardle głuchy gulgot i wyrwał się z rozchylonych ust. Chłopak go przebił! Jak przeklętą świnię. Zapłaci za to. Cokolwiek by się działo, chłopak zostanie ukarany. Jak najsurowiej...

Joshua uwolnił ostrze. To był błąd, który Keghan wykorzystał natychmiast. Runął naprzód i wbił synowi nóż kuchenny w gardło, po samą rękojęść.

Chłopak zwalił się jak kłoda. Choć kosa została wyrwana z wnętrzości Keghana, rozdzierający ból pozostał. Mężczyzna zakaszłał, plując krwią... zerwał się do biegu. Zabił własnego syna! Myślał tylko o tym, że musi uciekać - jak najszybciej i jak najdalej. Prosto na pole kukurydzy, między bezgłowe łodygi, które łamał i odgarniał, gdy zataczając się, parł naprzód. Pluł krwią. Czuł, że zawroty głowy mogą go zaraz zwalić z nóg.

Biegł najszybciej jak potrafił, ale ból w brzuchu w końcu rzucił go na kolana. Dotarł do stracha na wróble. Musiał uciekać. Gdyby tylko mógł wstać. Jeśli tylko zdoła dotrzeć do uzdrowiciela Bellika...

Keghan zacisnął palce na portkach stracha i podciągnął się z trudem. Po brodzie pociekł strumień śluzu i krwi. Ale to, na czym zacisnął dłoń, nie przypominało w dotyku słomy.

Materiał przesiąknięty był krwią. Jego własną?

Keghan zaczął tracić przytomność. Chwycił go paroksyzm kaszlu, wstał z trudem i podniósł głowę, by spojrzeć na stracha...

Ale zamiast tego zobaczył wykrzywioną z przerażenia twarz swojej żony.



Tuż przed świtem Valla stała nad okrytymi prześcieradłem zwłokami w pracowni Bellika. Krew, która wypłynęła z głowy nieboszczyka, już zakrzepła.

– Kto to? - spytała.

– Durgen, kowal. Le... ledwo mówił, kiedy tu przyszedł... Tylko parę słów i skonał. Ale i to było więcej niż dość.

– Co powiedział?

– He?

Bellik był właściwie reliktem z zamierzchłej przeszłości, chudy i zgarbiony; mimo ogromnych uszu miał problemy ze słuchem. Bez trudu dało się zauważyć, że w obecności łowczyń demonów czuje się nieswojo.

– Słowa kowala - powtórzyła Valla głośniej. - Co powiedział?

– A...

Uzdrowiciel spróbował odsłonić zmarłego, ale zakrzepła krew trzymała mocno. Szarpnął mocniej i spod prześcieradła wyłoniło się ciało ogorzałego mężczyzny. Cios pozbawił go niemal połowy czaszki.

– Powiedział: „Mój chłopiec mi to zrobił”.

Valla milczała, patrząc na zwłoki. Znów to czuła, to niepokojące wrażenie, że zapomniała o czymś niezwykle ważnym. Zepchnęła tę myśl na skraj świadomości i skupiła się na tym, co miała przed oczyma - martwym mężczyźnie, zdradzonym przez syna.

Nagle na zewnątrz rozległ się wrzask - rozpaczliwy skowyt agonii.

Valla rzuciła się do drzwi.

– Zostań tu.

+

Wybiegła w szary przedświt. Na ulicy chłopiec, może trzynastoletni, stał nad ciałem handlarki. Trzymał młot kowalski, którego bijak pokryty był szarą mazią. Szczątki czaszki kobiety rozprysły się na towary rozłożone na podartym kocu.

Valla przypomniała sobie, że w magazynie w Holbrook nie było ciała dzieci, i nagle zrozumiała.

Nie było dzieci, bo to one zabijały. Bezwolne marionetki demona. Valla była tak wstrząśnięta, tak wzburzona samą myślą, że przestała się chronić. Bezbronna. Otrząsnęła się i szybko oceniła sytuację. Musiała zacząć działać albo zginie.

Wrzask zwabił kolejne dzieci. Valla od razu zauważyła jasnowłosą dziewczynkę w różowej sukience. Mała stała po drugiej stronie drogi przecinającej osadę. W dłoni ścisnęła zaplamiony nóż, a na biodrze trzymała zakrwawionego malucha, który wyglądał na wygłodzonego. Miała jasne, szeroko otwarte oczy.

Nad Vallą coś zaskrzypiało, ktoś wyszedł na balkon, ale dźwięk był krótki i wysoki, co oznaczało osobę lekką i drobną.

Kolejne dziecko.

Syn kowala ruszył na Vallę, uśmiechając się szeroko.

Do gapiów dołączyło jeszcze dwoje dzieci: chłopczyk ciągnący miecz w pochwie i starsza dziewczyna niosąca oburącz duży kamień.

A potem jeszcze jedno, ostatnie dziecko, rudowłosy chłopak bez dwóch przednich zębów, podskakujący wesoło, z siekierą w ręku. Na ulicę wyszło kilkoro dorosłych. Kilka twarzy mignęło w oknach.

– Kto nie chce, żeby mu się stała krzywda, lepiej niech wróci do domu i zamknie drzwi - rozkazała Valla spod kaptura. - Już!

Dorośli posłuchali.



Bellik wyjrzał przez okno.

Kiedyś uznałby tę kobietę za piękną, dawno temu, kiedy jeszcze obchodziły go takie rzeczy. Teraz widział w niej tylko zwiastun zagłady. Wszyscy to wiedzieli: gdzie kroczy łowca demonów, tam podąża śmierć.

Dorośli pochowali się w domach, ale dzieci... dzieci wciąż były na dworze. Szykowały się do ataku. Bellik przypomniał sobie ostatnie słowa kowala...

„Mój chłopiec mi to zrobił”.

Jakiż obłąd ogarnął ten świat, by zmienić dzieci w rzeźników? A ta kobieta... ta łowczyni demonów... bez wątpienia je pozabija.

Pod nogami łowczyni wybuchł wielki kłęb dymu i pochłonał ją całkiem. Niemal w tej samej chwili drobna postać opadła z dachu Bellika wprost w szarą chmurę. Kiedy dym zaczął się rozwiewać, z naprzeciwna nadleciała siekiera. Zaledwie o włos minęła dzieciaka, który zeskoczył w kłęby dymu.

Bellik obrócił głowę i zobaczył postać podnoszącą się w rzednącej mgłę. Łowczyni. Dym posłużył jej do odwrócenia uwagi. Strzepnęła dłonią i mały rudzielec, który przybiegł w podskokach - chłopak Traversów, jak rozpoznał Bellik - złapał się za kark, jakby coś go ukąsiło.

Uzdrowiciel poczuł, że serce zamiera mu w piersi.

Ona je zabija!

Kyndal, syn kowala, runął naprzód. Oczy wyłaziły mu z orbit, ślina ciekła z otwartych ust. Zamachnął się młotem. Łowczyni postąpiła krok naprzód, złapała go za nadgarstek i zmieniła zamach w obrót, posyłając dzieciaka wprost na drugiego chłopca - Bellik go nie rozpoznał - usiłującego wyszarpnąć z pochwy większy od niego miecz.

Obcy chłopiec upadł na plecy. Łowczyni demonów złapała za młot i uderzyła bijakiem w żuchwę Kyndala. Poleciały zęby. Kobieta wykonała zgrabny unik i Kyndal zwałił się na ziemię nieprzytomny. Kilka stóp dalej chłopak Traversów, wciąż trzymając się za szyję, padł jak podcięty.

Łowczyni raz jeszcze strzeliła dłonią, tym razem w kierunku dziecka, które zeskoczyło z domu Bellika. Uzdrowiciel go nie kojarzył, tak jak i chłopca z mieczem. Czyje były te dzieci, nie wiedział, może z Holbrook?

Zacisnął dłonie w pięści. A na łowczynię demonów skoczyły jednocześnie dwie dziewczynki - Sahmantha Halstaff, wymachująca zakrwawionym nożem, i Bri Tunis, trzymając nad głową ciężki kamień.

Wiele lat temu w Kaldeum Bellik widział trupę akrobatów z odległej krainy Entsteig. Skakali, turlali się, wywijali salta i kręcili młynki z niewiarygodną wręcz łatwością. Przypomnieli się Bellikowi, gdy patrzył, jak kobieta skacze, w locie zwija się w kłębek, by przeturlać się po upadku i podnieść zwinnie tuż za Sahmanthą. Zdawało się, że twarda zbroja w najmniejszym stopniu nie krępuje jej ruchów. Kobieta poruszała się z taką szybkością, że wzrok ledwie za nią nadążał, zdawała się jedynie rozmazaną smugą. Ale co najbardziej niewiarygodne - kiedy podniosła się za plecami dziewczynki, Sahmanthą była już związana cienką liną.

Obce dziecko upadło tak samo jak chłopiec Traversów.

Dość!

Bellik skoczył do drzwi i otworzył je w momencie, gdy łowczyni zawirowała z nadludzką szybkością, jej ramiona były niczym proporce szarpane huraganem. Zakołysała Sahmanthą, pchnęła ją w Bri. A gdy łowczyni skończyła, obie dziewczynki były związane.

Mały Ralyn, braciszek Sahmanthy, raczkował do kobiety, najwyraźniej z zamiarem zatopienia ząbków w jej nodze. Łowczyni podniosła go, dobyła sztyletu...

– Nie! - krzyknął Bellik.

...i przebiła nim koszulkę chłopczyka i najbliższą belkę. Ralyn zwiśł bezradnie, wymachując rączkami i nóżkami. Łowczyni odwróciła się do Bellika.

– Dzieci... - szepnął uzdrowiciel.

– Żyją. Użyłam strzałek zanurzanych w silnym środku usypiającym. Póki co są bezpieczne i tylko ty możesz dopilnować, żeby tak zostało.

Bellik rozprostował palce. Znów się przygrybił z wyraźną ulgą.

– Dziwisz się? - spytała Valla.

– Niektórzy powiadają, że tacy jak ty... - urwał, spuściwszy wzrok.

– Powiedz to - syknęła wyzywająco.

Bellik zebrał się na odwagę.

– ...są nie lepsi od demonów. Że w waszych oczach płonie ogień piekielny. Że śmierć idzie za wami krok w krok.

Valla podeszła bliżej, uzdrowiciel zatoczył się w tył.

– Mówi się, uzdrowicielu, że kiedy demon patrzy w ciebie, w najgłębsze zakamarki twojej duszy, wtedy ty, jeśli wiesz jak, możesz wejrzeć w niego. Ale wtedy zawsze widzieć będziesz tylko zemstę, tylko łowy. Twoje oczy zapłoną tą obsesją.

Dolna warga Bellika zadygotała.

– Twoje oczy... nie płoną.

– Nie. - Twarz Valli złagodniała. - Mam w życiu coś więcej niż tylko zemstę. - Odwróciła się. - Potrzebuję miejsca, gdzie można będzie trzymać dzieci. Osobno.

Uzdrowiciel zamyślił się.

– Mamy tylko jedną celę w loszku... ale jest stajnia dla jucznych zwierząt. Stajnia będzie dobra, na pewno.

+

Valla zajrzała do boksu przez zakratowane okienko. Sahmantha siedziała ze związanymi dłońmi i stopami, z opuszczoną głową; jej proste jasne włosy opadały na twarz. Pozostałe dzieci znalazły się w innych boksach, niektóre w parach lub trójkami, ale Valla nalegała, aby Sahmanthę zamknąć osobno.

Kiedy posadzono dzieci na wozy, by przewieźć je do stajni, otoczyli je mieszkańcy wioski. Wielu otwarcie okazywało wzburzenie, a ich gniew skierowany był przeciw Valli. Ale nie przeciw Bellikowi, Bellikowi wszyscy ufali i to jego słowa zapobiegły katastrofie - na razie. Nawet teraz dorośli czekali przy stajni. Valla słyszała ich lamenty i przekleństwa.

– Chcą wiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego dzieci? - spytał Bellik, który właśnie skończył rozmawiać z miejscowymi.

Valla otworzyła drzwi do boksu, weszła i uklękła na suchej słomie.

– Zamknij za mną.

– Ale...

– Zrób to.

Kiedy usłyszała szcęk zasuw, Valla rozgarnęła włosy Sahmanthy. Ujęła ją za podbródek. Dziewczynka miała zamknięte oczy.

Jej blond włosy, jasna skóra... tak bardzo podobna była do Halissy. Valla wspomniała, jak rozświetlała się twarzyczka Halissy na widok starszej siostry. Jak jasne i bystre miała oczy, jak niewyczerpaną energię...

Łowczyni nie mogła okazać słabości przy uzdrowicielu, ale zalała ją fala mdłości, smutku i obrzydzenia. I nagle poczuła straszliwe zmęczenie - ciała i ducha.

Wróciła myślami do wioski w Zachodnich Marchiach. Swojej rodziny. Walczyła, by odeprzeć wspomnienie o rzezi, kiedy to sama Valla była ledwie dzieckiem. Próbowwała odegnać przebłyski z tamtych dni, obrazy, które prześladowały ją nocami: wrzaski umierających, krew, szpon demona mierzący w jej szyję, który jednak trafił w policzek, ucieczka, dłoń Halissy w jej dłoni; kryjówka koło rzeki...

A potem spotkanie z innymi, których dotknął podobny los, i to, jak dowiedziała się o łowcach demonów. Nauki u Josena, powolna przemiana we wcielenie zemsty, w broń, która ma uderzać w samo serce ciemności.

Valla bezwiednie potarła bliznę. Nachyliła się do Sahmanthy.

– Mów, demonie.

Żadnej odpowiedzi.

– Nie udawaj nieśmiałego. Nie wygrasz. Twoją jedyną nadzieją jest powrót do twojego przekłętego przez światłość pana w nadziei, że może Piekło okaże ci litość. Bo ja tego nie uczynię. Mów, jak masz na imię.

Sahmantha nawet nie drgnęła.

Valla opuściła głowę dziewczynki, wstała i podeszła do zakratowanego okienka.

– Uzdrowicielu! Pytałeś o powód, dla którego demon wybrał dzieci... Powiem ci. Ten żalosny, skundlony pomiot Piekieł obrał za cel młodych, bo jest słaby, a pisklęta są bezbronne, łatwa to zdobycz dla szumowiny, która błaga o resztki, wzgardzone przez jego panów.

Bellik, którego widziała po drugiej stronie okienka, uniósł brwi w zdumieniu.

Wtedy Valla to poczuła: ruch tuż za nią i najlżejszy ze szmerów.

Obróciła się szybko. Dziewczynka stała na palcach, wygiąwszy plecy w łuk, z głową na ramieniu... Włosy odsłoniły twarz, pociętą siatką nabrzmiąłych żył, wytrzeszczone oczy były przekrwione, mętne. Kiedy otworzyła usta, zdawało się, że z trudem formuje słowa. I nagle...

– NIE ODWRACAJ SIĘ DO MNIE PLECAMI, ZAROZUMIAŁE STWORZENIE!

Głos był donośny, zgrzytliwy, jak chrapliwy i głośny wdech.

– CHCESZ PRZEDE MNĄ STANAĆ? - Głowa dziewczynki zakołysała się z ramienia na ramię. - TO OSIĄGNIĘCIE DALECE PRZEKRACZA TWOJE MOŻLIWOŚCI, PODISTOTO. JEDNAKOWOŻ CHWILA ROZRYWKI MOŻE BYĆ WCALE ZABAWNA. UWOLNIJ MNIE ZATEM, A ZOBACZYMY...

Valla dobyła ostrza. Bellik zaprotestował, przycisnął dłonie do uszu, wargi mu drżały. Ale Valla najwyraźniej tego nie zauważyła zajęta rozcinaniem więzów Sahmanthy.

Zobaczmy, w rzeczy samej.

Dziecko wstało, zrobiło dwa niepewne kroki. Valla odsunęła się; dziewczynka ruszyła do wyjścia, by zatrzymać się przed zamkniętymi na zasuwę drzwiami. Głowa odwróciła się, przetaczając brodą po ramieniu. Puste oczy wpatrywały się w dal.

– CHODŹ.

– Otwórz drzwi - poleciła Valla Bellikowi.

– To bezpieczne? - Uzdrowiciel przeniósł zaniepokojone spojrzenie z łowczyni na Sahmanthę.

– Nic się nie stanie. Dopilnuję tego.

Po chwili wahania Bellik wykonał polecenie. Dziewczynka, z podbródkiem opartym na piersi i włosami opadającymi na twarz, tak że w żadnym razie nie mogła widzieć, gdzie stawia stopy, pewnie kroczyła w głąb stajni.

Bellik ominął ją szerokim łukiem, a potem razem z Vallą ruszył śladem Sahmanthy wzdłuż boksów, w których zamknięte były pozostałe dzieci. Po prawej starsza dziewczynka, która wcześniej wymachiwała kamieniem, stała przy drzwiach, zaciskając palce na prętach w oknie. Gdy przemówiła, z jej ust dobył się głos demona:

– JAM JEST OLPHEOS. JAM JEST SZPIEG, STRĘCZYCIEL, PASTERZ UDREŃCZONYCH, RZEŹNIK POTĘPIONYCH...

Bellik rozejrzał się z przerażeniem i znów przycisnął dłonie do uszu. Sahmantha szła dalej. Chłopiec, który próbował dobyć miecza, podciągnął się do okienka. Głos dobiegał teraz z jego ust:

– PODŻEGACZ, ZBIERACZ, KAT, GARDŁO MILCZĄCEGO KRZYKU...

Kolejne dziecko odezwało się z boksu po prawej stronie Sahmanthy:

– PRZEWOŹNIK UTRACONYCH MARZEŃ, ZDRUZGOTANEJ NADZIEI I ROZPACZY KONANIA...

Za krat w ostatnim boksie wyrżał syn kowala. W miejscu, gdzie miał kiedyś przednie zęby, ziała krwawa jama.

– PRAWA RĘKA GROZY. WEWNĘTRZNE OKO. POZNAJCIE MNIE, A POZNACIE TO, CO NIEWYSŁOWIONE.

Bellik trzymał się blisko Valli. Sahmantha wkroczyła w światło dnia.

Łowczyni zrzuciła kaptur, wyszła tuż za dziewczynką. Natychmiast otoczył je tłum.

– Z drogi! Zróbcie miejsce! Belliku, pomóż!

Ludzie napierali, pytając i oskarżając. Bellik krzyknął, by przepuścili Sahmanthę.

Valli udało się rozdzielić ludzi przed dziewczynką. Mała szła dalej, ruchy miała bezładne, chwilami spazmatyczne, a zaraz potem zgrabne, niemal płynne. Grupka ludzi minęła sklepy, kierując się ku wschodniej granicy wioski.

Sahmantha przyśpieszyła. Kilka osób zostało w tyle. Bellik sapał ciężko, zaczerwieniony z wysiłku.

Szli starą piaszczystą drogą, niewiele szerszą niż ścieżka, prowadzącą na pola. Sahmantha zatoczyła się niezgrabnie ku łacie wyschniętej trawy, stanęła i odwróciła się do Valli. Wyprostowała się, uniosła głowę, a świszczący głos demona zabrzmiał ponownie:

– PRAGNIESZ STANAĆ PRZEDE MNĄ? PÓJDŹ WIĘC...

Szeroki uśmiech rozciągnął wolno wargi dziewczynki, ale kiedy znów przemówiła, z jej ust dobiegł tylko głos dziecka, Sahmanthy Halstaff:

– Możemy się posiłować.

I nagle jej oczy się zamknęły, ciało zwiotczało. Osunęła się na ziemię.

Valla skoczyła i nachyliła się, by sprawdzić, czy Sahmantha żyje. Usłyszała słaby oddech.

Większość dorosłych zdążyła już ich dogonić i teraz otaczali łowczynię. Obok Bellik próbował zaczerpnąć tchu.

Valla uniosła wzrok, jakby spodziewała się, że demon spadnie zaraz z nieba.

Potem popatrzyła pod nogi. Przeczesła palcami zniszczone źdźbła. Płat wyschniętej trawy rozciągał się daleko na boki, zwężając po obu stronach - tworzył kształt gigantycznego oka. Usiany był czarnymi plamami - ślad demoniego skażenia.

– Uzdrowicielu, co jest pod nami?

Bellik uniósł brwi.

– Nic.

– Chyba nie tak całkiem nic.

Valla i Bellik popatrzyli na tego, kto się odezwał - otyłego gospodarza z gęstym białym wąsem.

– Rzeka Boshum będzie tak dycht pod naszymi nogami.

Bellik patrzył na Vallę. Nie był pewien, czy może to tylko światło, czy też kobieta pobladła.

– Ale słyszałam rzekę, kiedy wczoraj przyjechałam. Nawet teraz słyszę jej szum.

Wąsaty rolnik zmarszczył brwi z lekką irytacją.

– Toć to nie prawdziwa Boshum... ino kanał, co to go osadnicy wykopali dawno temu, żeby puścić wodę gdzie inszej... bo ta prawdziwa Boshum to płynie z Lawinowych Gór... - Wskazał palcem na północny wschód. - I

wnet wpływa do leja. A potem głęboko pod tą ziemią... i wypływa nazad dwa dni drogi stąd, na zachodzie.

Valla rozejrzała się po okolicy.

– Nie macie studni?

– Ziemia za miastem jest dobra, płodna, ale grunt twardy jak żelazo. Pewno łatwiej było kanał wykopać w dawnych czasach.

– Ten lej i miejsce, z którego rzeka wypływa z powrotem... - westchnęła Valla. - Nie ma innej drogi na dół, do rzeki?

Rolnik splunął.

– Ano, ni ma.

– A ten lej? Gdzie?

Gospodarz skinął głową w stronę gór.

– Tam. Będzie pół dnia stąd.

Bellik zerknął pytająco na łowczynię.

– Co... co teraz? - spytał.

Córka tracza poprawiła szal i omiotła tłum wzrokiem.

– Zostańcie tu i trzymajcie się razem. W gromadzie siła. Zabierzcie Sahmanthę z powrotem do stajni. Zwiążcie i zamknijcie wszystkie inne dzieci, które mają mniej niż szesnaście wiosen. - Jeszcze raz spojrzała na Bellika. - I przyprowadźcie mojego konia, żebym mogła zabić waszego demona.

+

Huk wody grzmiał jak burza.

Valla stała na skraju jamy, do której wpływała Boshum, i wpatrywała się w wirującą kipieli. Rzeka wpadała w zagłębienie i wirując coraz szybciej, znikwała w mroku, przepadając gdzieś w dole.

Deszcz kropel chłodził twarz kobiety, a widok wzburzonej kipieli, ryk wody obudziły wspomnienie nocy kilka tygodni po ataku na wioskę Valli...

Valla i Halissa przyłgnęły do siebie w poszukiwaniu odrobiny ciepła. Wielkie krople deszczu rytmicznie uderzały w ziemię. Halissa wyczerpana zasnęła, ale podobnie jak każdej poprzedniej nocy, dręczyły ją koszmary o masakrze. Obudziła się z krzykiem i pobięła...

W pobliżu wezbrana rzeka pędziła szaleńczo. Halissa podbiegła zbyt blisko brzegu i poślizgnęła się w błocie... wyciągnęła rękę...

Valla bała się, że siostra zostanie porwana przez nurt, że straci ją na zawsze, że zniknie w ciemności, jak woda w wirze, przywodzącym na myśl pustą oczodół.

Serce zamarło łowczyni na samo wspomnienie. Ale zdążyła złapać dłoń Halissy. Udało się. Wszystko skończyło się dobrze.

Valla wróciła do terażniejszości. Coraz mocniej odczuwała uporczywą pustkę w pamięci, niczym dręczącą nicość. Cokolwiek to było, powtórzyła w duchu, nie miało znaczenia. Ogarniało ją zmęczenie, ale musiała to skończyć. Dla Halissy.

Wiedziała, że pancerz tylko ją obciąży, więc go zdjęła. Włożyła uzbrojenie do sakwy, którą otrzymała od Bellika na tą właśnie okoliczność. Były w niej też hubka i krzesiwo, owinięte w kozią skórę. Wrzuciła też do sakwy bolas i różne rodzaje bełtów z wybuchowymi grotami.

Schowała w sakwie szal i płaszcz, by nie krępowały ruchów w wodzie. Zabezpieczyła bagaż i stanęła nad rozpadliną.

Valla nie wyobrażała sobie istoty bardziej pozbawionej skrupułów niż demon, który wykorzystuje dzieci. Poczwała, jak rozpała się w niej płomień furii. Ale przecież demon na to właśnie liczył, czyż nie?

Pomyślała o Deliosie. O jego porażce.

Łowca demonów musi dyscypliną trzymać nienawiść w ryzach.

Gdzieś w głębi duszy łowczyni była świadoma, że może nie przeżyć skoku, że wzburzone wody mogą wciągnąć ją w głębinę, gdzie czeka już tylko śmierć.

Valla wzięła głęboki oddech. Skoczyła.



Oko leja było niczym serce chaosu odizolowane od reszty świata. Wszystko wokół połknął mrok, a Valla walczyła ze wszystkich sił, by utrzymać pozycję. Wstrzymany oddech palił w piersi żywym ogniem. Kurczowo zaciskała dłoń na sakwie. Vallą miotało, toczyło, rzucało, szybciej i mocniej, aż w końcu poczuła, że opuszcza ją świadomość. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Kierunki zniknęły.

Miała wrażenie, że płynie znacznie szybciej, ciało poszorowało po kamieniach.

A wtedy...

Palce Valli znalazły punkt zaczepienia. Chwyciła gruby stalagmit i zdołała przeciwstawić się rwącemu nurtowi. Wynurzyła się i zaczerpnęła tyle powietrza, ile tylko jej płuca zdołały pomieścić.

Poczuła sakwę pod zmęczonymi palcami i ogarnęła ją fala ulgi. Oczy zalewała jej woda. Nawet gdy przetarła twarz ramieniem, wciąż nie widziała wyraźnie.

Powietrze było zimne. Valla wyczuła stopą kamienny brzeg. Wreszcie odzyskała ostrość wzroku. Zamachnęła się i wrzuciła sakwę na skalny występ, a potem wydostała się z rwącej rzeki.

Usiadła, dając mięśniom odpocząć, rozejrzała się po otoczeniu. Wyglądało na to, że znalazła się w labiryncie wnęk i tuneli. Ściany, kolumny stalaktytów i stalagmitów oraz część stropu pokrywały

fosforyzujące algi. Dawały światło - upiorne i nieziemskie, ale przynajmniej pochodnia była zbędna.

Dobrze, pomyślała Valla. Będę miała wolne obie ręce.

Straszliwy huk wody, wzmocniony jeszcze przez zwielokrotnione echo, zagłuszał wszelkie inne dźwięki. Valla wyjęła z sakwy płaszcz - który cudem chyba nie zamókł doszczętnie - i narzuciła go na plecy, by się nieco ogrzać. Wypakowała broń, z satysfakcją zauważywszy, że nie zgubiła szkarłatnego bełtu. Załadowała kusze i wstała.

Zajrzała w głąb jaskini pełnej wapiennych kolców sterczących z podłogi i sklepienia na podobieństwo paszczy rekina gotowego rozszarpać ofiarę. W ciemności po przeciwległej stronie poruszył się cień.

Valla ruszyła za nim, wyczuwając niemal natychmiast pierwszy dotyk umysłu demona, odrażającą i złowrogą obecność przyczajoną na progu świadomości, niczym wilk czyhający na skraju mrocznego lasu.

Kiedy wkroczyła głębiej do jaskini, wrażenie się wzmogło. Wszystkie zmysły łowczyni były w gotowości. Jej serce przyspieszyło.

WITAJ - zabrzmiał głos w jej głowie. Valla przeszła na koniec jaskini, gdzie tunel prowadził w nieprzeniknioną ciemność. Jarzące się algi rosły tu dużo rzadziej. Dostrzegła plamy tej samej czarnej substancji, którą pokryta była studnia w Holbrook.

Uklękła, zanurzyła palce w lepkiej mazi.

COŻ ZA UPÓR W TOBIE. CÓŻ ZA ŻĄDZA.

DLACZEGO?

OKO ZOBACZY.

Valla wstała i wślizgnęła się do tunelu, trzymając kusze w gotowości. Na ziemi dostrzegła ruch, a potem ujrzała go - słabe światło połyskiwało nieznacznie na śliskiej skórze, a potem czarna macka rozwinęła się, uniosła i uderzyła. Valla wystrzeliła, a macka cofnęła się gwałtownie, ale łowczyni

pojęła, że same kusze nie wystarczą. Wsunęła jedną w olstra na udzie i wyjęła sztylet, choć wciąż czuła tępy ból, gdy demon usiłował wedrzeć się do jej umysłu. Wyobrażała sobie długie, oleiście czarne macki badające jej umysł, podobne do tej, która ją zaatakowała.

CÓRKA TRACZA.

Valla cięła w poprzek, pędząca w jej kierunku macka straciła czubek. Dziewczyna wycofała się szybko, ale obecność w jej umyśle sięgała coraz głębiej.

ZACHWYCAJĄCE WSPOMNIENIE TU CHOWASZ, NABRZMIAŁE
KRWIĄ. GOTOWE DO ZBIORÓW.

Valla miała wrażenie, że setki igieł przebijają jej czaszkę, ale parła naprzód. Ściany były tu gęsto pokryte czarną, lśniąca mazią.

WIOSKA. RODZINA. PRZYJACIELE. CIEPŁO,
BEZPIECZEŃSTWO, SZCZĘŚLIWE DNI.

POTEM...

DEMONY. ROJĄCE SIĘ NICZYM SZARAŃCZA.

Ściany zdawały się pulsować; kolejne macki wyłaniały się z mroku. Valla schowała drugą kuszę, chwyciła kolejny sztylet i cięła na lewo i prawo.

UCIECZKA.

TCHÓRZ.

ZOSTAWIŁAŚ RODZINĘ. ZOSTAWIŁAŚ NA ŚMIERĆ.

Valla zmagiła się z tą częścią własnego ja, która zgadzała się ze słowami demona.

„Wy jesteście najpotężniejszą bronią demona”.

– Nie mogłam nic zrobić, tylko zginać! - krzyknęła, wykręciwszy salto nad ogromnym zwojem macek i tnąc głęboko. - Zrobiłam, co musiałam. Przeżyłam.

Dotarła do okrągłej galerii, otwierającej się na wielką kawernę poniżej, gdzie wznosiły się półkolem skalne kolumny, cienkie pośrodku, szerokie u góry i przy podstawie. Ból rozsadzał łowczyni głowę. Demon naciskał mocniej.

WRZASK. ŚMIERĆ. WIOSKA... UNICESTWIONA.

RODZINA... UNICESTWIONA.

– Nie opętasz mnie tak jak Deliosa!

KREW...

TAK. KREW NICZYM...

RZEKA.

– Dość! Zmierz się ze mną i skończmy to!

OKO WIDZI.

WIDZĘ CIĘ.

Huk wody dobiegał tu z oddali, stłumiony, i Valli wydawało się, że słyszy chichot małej dziewczynki. Zauważyła ruch przy ścianie i ruszyła w pościg.

Zaokrąglona kawerna kończyła się kolejnym tunelem, za następnym zakrętem Vallę znów otoczyły ciemności, jej buty mlaskały w czarnym szlamie i nagle... ryk pędzącej rzeki zagłuszył wszystko.

Zatoczyła koło, wróciła w pobliże rzeki. Kształt przypominający zarysem głowę z jakby połyskującej światłem mgiełki wychylił się zza załomu i zniknął niemal natychmiast.

Valla ponownie dobyła kusz, minęła załom i w oddali zobaczyła dziecko. Piekielny pomiot musiał tu ściągnąć jedno z nich... jako żywą tarczę.

Postać rzuciła się do biegu. Valla popędziła za nią. Zbliżały się do rzeki. Valla widziała teraz wyraźnie: to była dziewczynka. Dziewczynka o długich jasnych włosach.

GROM. DESZCZ.

Dziecko zmarło w nienaturalnym bezruchu. Valla zwolniła, szykując się na każdy możliwy rozwój wydarzeń. Serce dudniło jej w piersi.

SIOSTRA.

Dziewczynka obróciła się. Miała twarz Halissy.

RZEKA. UCIECZKA. STRZASKANY UMYŚŁ.

To nie mogła być Halissa. Ale wyglądała zupełnie jak ona. Dziewczynka blada jak śmierć. Nasiąknięta wodą skóra zaczęła opadać płatami. Jedno oko wylało się z oczodołu.

Valla zmarła. Ból w głowie był nie do zniesienia. A mur, który odgradzał ją od zaginionego wspomnienia, rozpadał się powoli.

I przypomniała sobie...

TAK.

Przypomniała sobie noc, gdy Halissa rzuciła się do ucieczki, oszalała, doprowadzona do obłędu tygodniami koszmarów, wyczerpana życiem jak ścigane zwierzę, udęczona wspomnieniami rzezi, uciekła. Valla pamiętała, jak biegła za nią pośród burzy.

Dziewczynka w jaskini uśmiechnęła się. Z jej ust wysunęły się szczypce czarnego kraba.

Halissa poślizgnęła się, a serce Valli zamieniło się w bryłę lodu. Halissa wyciągnęła rękę, a Valla ją złapała...

Ale nie mogła utrzymać śliskiej od deszczu dłoni. Halissa krzyknęła, tylko raz, i zniknęła.

POGRZEBAC WSPOMNIENIA PRÓBOWAŁAŚ. UKRYŁAŚ TAK GŁĘBOKO. ALE OKO WIDZI.

NIE DLA CIEBIE SPOKOJNE SNY.

Valla padła na kolana przed dziewczynką w jaskini. Czarna macka wychynęła z rwącej rzeki, popęzła niczym wąż po kamieniach, złapała Vallę za ramię i zaczęła ciągnąć. Jeden ze sztyletów wysunął się ze

złodowaciałych palców. Ale to już nie miało znaczenia. Nic już nie miało znaczenia.

DLACZEGO DZIECI? DZIECI TO NADZIEJA. A JAM JEST NISZCZYCIEL NADZIEI. JAM JEST GROZA ŚMIERCI Z RĘKI UKOCHANYCH. JAM JEST GNIEW UTRACONEJ NIEWINNOŚCI.

Zniszczenie rodzi Grozę, Groza rodzi Nienawiść, Nienawiść rodzi Zniszczenie...

TAK.

DELIOS. TYLE NIENAWIŚCI.

A W GŁĘBI MAŁY CHŁOPCZYK ZJETY GROZĄ. GOTOWY NISZCZYĆ.

Valla poczuła, że szoruje po twardych kamieniach. Macka zaciągnęła ją już nad brzeg rzeki.

TERAZ JESTEŚ MOJA.

Ale pozostał jeszcze jeden fragment zaginionego wspomnienia.

Przypomniała sobie ognisko w obozie.

Macka wciągnęła ją do wody. Druga sięgnęła do wolnego ramienia kobiety. Tutaj rzeka była o wiele głębsza. Valla zamknęła oczy, wstrzymując oddech. Czym był ten ostatni fragment zapomnianej wiedzy?

Ognisko w obozie. Ćwiczenia umysłu. Tak głęboko pogrzebała wspomnienie śmierci Halissy. Ale dlaczego?

Przypomnij sobie.

Żeby demon zaczął go szukać. Valla widziała go w swoim umyśle jako setki ciemnych macek.

„Kiedy demon patrzy w ciebie, w najgłębsze zakamarki twojej duszy, wtedy ty możesz wejrzeć w niego, jeśli wiesz jak”.

Valla wyobraziła sobie, jak chwyta świadomością jedną z macek, podąża za nią do źródła...

CÓŻ TO MA BYĆ?

„To najbardziej niebezpieczne, co może zrobić łowca demonów”.

Świadomość Valli wtargnęła do umysłu, który tak głęboko tkwił w niej. Wielkie, złowrogie czerwone oko zdominowało całą jej wizję. Naparła na nie bez wahania. Wokół zaroiło się od pełzających, wijących się istot. Ale im bardziej się zagłębiała, im bardziej rosła jej determinacja... otoczenie zaczęło nabierać kształtów.

W nagłym przebłysku Valla zrozumiała, z czym się mierzy.

Otworzyła oczy pod wodą. I w atramentowej głębi...

Zapłonęły jak ogień.

WIDZĘ CIEBIE.

Poczuła, jak intruz wycofuje się z jej świadomości, jak macki uwalniają jej ramiona z uścisku. Cięła od siebie sztyletem, który wciąż ścisnęła, i przeorała czarne odnóża. Nurt chciał ją porwać... ale nie tym razem. Rzeka nie odbierze jej już niczego.

Olphestos nie jest nawet twoim prawdziwym przeklętym imieniem.

Valla zamłóciła nogami, kierując się ku powierzchni wody. Chwyła brzeg skalistej półki. Podciągnęła się. Zwłoki Halissy, z twarzą wykrzywioną przerażeniem, zaczęły się cofać.

Widzę cię, Valdraxxisie. Jesteś zwykłym piechurem. Wyrzutkiem. Bezpańskim psem.

Martwa dziewczynka odwróciła się i zerwała do ucieczki.

W czasie wojny przeciwko Najwyższemu Złym dowodziłeś kampanią, która skończyła się klęską. Zniesławiony, otoczony pogardą... kiedyś miałeś w Piekło znaczenie, ale teraz zostałeś wyklęty nawet przez tobie podobnych.

NIE...

Po prawej stronie coś wypełzło z ciemności, coś, co mogło być kiedyś ropuchą, teraz zniekształconą, rozdętą do niewiarygodnych rozmiarów, o wielkich, płonących oczach. Ruszyła na łowczynię.

NIE MOŻESZ MI SIĘ OPIERAĆ.

Valla chwyciła sztylet w zęby, sięgnęła za pazuchę i z radością odkryła, że jej bolasy wciąż tam są.

Rzuciła. Sznur z ciężarkami owinął się wokół żabiej kończyny. Płaz podniósł ją do oczu i zagapił się w osłupieniu na linkę i wiszące przy niej kule.

Bolas wybuchł i unicestwił łapę stworzenia, razem z połową ohydneho łba. Valla chwyciła rękojeść sztyletu i ruszyła za dziewczynką.

To nie były zwłoki Halissy. Po prostu kształt przybrany przez demona, by osłabić Vallę.

To ty jesteś teraz słaby, kundlu.

Ze szczelin w ścianach wyłoniły się kolejne potworne istoty; pierwsza podbiegła bokiem i zamachnęła jednym ogromnym szponem. Valla skoczyła nad potworem i sztyletem przebiła jego pancerz. Nogi stwora ugięły się pod nim. Łowczyni wymierzyła kuszę.

Kolejna poczwara skoczyła do przodu. Valla wystrzeliła bełt, który zdruzgotał podobną do ręki kończynę, potem drugi prosto w wyłupiaste oko. Nie przerywając pościgu za istotą udającą Halisę, łowczyni odrzuciła sztylet i sięgnęła po drugą kuszę.

Otworzył się przed nią długi korytarz. Ściany tu wydawały się ruszać od pełzających owadów i niemal natychmiast odrażająca fala robactwa zwróciła się ku Valli.

Łowczyni zatrzymała się, przyklękła na jedno kolano i kilka razy wystrzeliła z obu kusz. Rozległo się parę stłumionych wybuchów. Poczowała na twarzy ciepło, gdy ogień się rozszerzał, a gdy płomienie przygasty,

kożuch robactwa był już jedynie przypaloną mazią na ścianach. Niedobitki zginęły rozgniecione butami Valli, gdy pobiegła naprzód.

Minęła zakręt. To, co zobaczyła, nie było już małą dziewczuszką.

Stała naprzeciw własnego odbicia. Zrobiła krok naprzód, wyciągając spod kurtki szkarłatny bełt. Lustrzana Valla otworzyła usta i wypłynął z nich gęsty czarny szlam. Ta sama maź pociekła jej z nosa. Blizna na policzku rozwarła się, brocząc ciemną breją. Oczy wypełniły się czarną, gęstą cieczą i lustrzana Valla zaczęła płakać krwią demonów.

Nie. To nie ja. To nigdy nie będę ja.

Lustrzana Valla odskoczyła, minęła mroczną wnękę, obiegała ogromny kamienny filar. Łowczyni ruszyła za nią, z kuszami w gotowości. Za filarem opadła na kolano...

– Widzę cię, sługusie Płonących Piekieł... - zaczęła i nie zamilkła nawet wtedy, gdy demon wyłonił się z ukrycia i machnął grubym ramieniem, zbrojnym w zębate chitynowe ostrze. Gdyby córka tracza spóźniła się o sekundę, cios urwałby jej głowę. - W imieniu tych, którzy cierpieli, wypędzam cię!!

Demon był monstrualny. Cielsko miał jak stworzenia żyjące na dnie oceanu, gdzie nigdy nie dociera światło. Zamiast nóg kłębiły się rozdęte czarne macki. Tors pokrywała mu twarda skorupa najeżona kolcami. A po wszystkim spływał szlam ciemny niczym noc.

– Przepadnij i bądź przeklęty. I nigdy nie wracaj!

Ogromne czerwone oko z wąską poziomą źrenicą zwróciło się prosto na nią. Źrenica rozszerzyła się, gdy Valla wystrzeliła czerwony bełt.

Trafił w oko, które pękło jak winogrono. Runy zaślniły, a potem wszystko spowiła eksplozja światła.



Robiło się chłodno.

Valla stała, zsunąwszy kaptur, i patrzyła na spory drewniany krzyż - grób Halissy. Od ostatnich odwiedzin zdążyło tu wyrosnąć trochę chwastów. Groby rodziców, gdzie Valla pochowała już to, co z nich zostało, znajdowały się tuż obok. Dalej spoczywali pozostali pomordowani mieszkańcy wioski.

Josen podszedł do niej, ale nie odezwał się ani słowem. Wiatr lekko szarpał jego płaszczem.

Valla uklękła i zaczęła wyrywać chwasty.

– Wieści z wioski - zaczął Josen, jak zwykle irytująco beznamiętnie. - Wszystko... dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności. Dzieci znów są sobą i nic nie pamiętają... choć wiele będzie dorastać bez rodziców. Bellik i pozostali mówią, że je przygarną.

Valla zacisnęła zęby.

– Dobrze.

Josen przesunął się nieznacznie.

– Mówi się też, że mieszkańcy wioski są... wdzięczni.

Córka tracza wstała, zerknąwszy na Josen. Na lewym policzku miał trzy rozcięcia, wciąż jeszcze świeże.

– Co z Deliosem?

– Sprawa załatwiona.

Valla czekała na dalsze wyjaśnienia. Mistrz łowców po prostu patrzył na nią bez wyrazu.

– Słyszałam pogłoski... - zaczęła. - Wizje ludzi z darem jasnowidzenia... że za siedem dni na Nowe Tristram spadnie gwiazda.

Josen zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

– Słyszałaś prawdę. Mówi się, że spadająca gwiazda jest znakiem z Proroctwa. Proszono, żebym wysłał tam swojego najlepszego łowcę do

zbadania sprawy.

Valla sięgnęła pod pancierz i coś wyciągnęła. Przez chwilę milczeli oboje, wreszcie odezwał się Josen:

– To, co zrobiłaś...

– Było ryzykowne. Ale się udało.

Córka tracza rozwinęła list napisany w Havenwood, pochyliła się i położyła go na grobie, przyciskając kamieniem.

– Mówiłam, że cię odwiedzę - szepnęła.

Wstała i spojrzała na swojego mentora.

– Lubisz powtarzać, że wszystko jest próbą. Życie jest próbą. Nie zdałam egzaminu w ruinach... ale tutaj próbę przeszłam pomyślnie. Wiele się nauczyłam. I przekonałam się, że naprawdę możemy być swoimi najgorszymi wrogami. Ale nauczyłam się też, że bez względu na to, jak wiele demony zdołają zniszczyć, nie zdołają zgładzić nadziei.

Zachodzące słońce odbiło się w jej oczach.

– Może uważasz, że najlepiej wyłączyć uczucia, ale to nie jest mój sposób. Przez chwilę cieszyłam się cudownym kłamstwem, obietnicą innego życia. Czułam się... wolna.

Jak łatwo byłoby wrócić do tego kłamstwa, pomyślała Valla. Josen wciąż szacował ją tym swoim spojrzeniem.

– To był dobry sen - podjęła - ale póki co musi pozostać tylko snem.

Córka tracza owinęła się szalem.

– Wróciłam. Wróciłam i jestem gotowa... polować dalej.

Odwróciła się.

– A dokąd niby się wybierasz? - spytał beznamiętnie Josen.

– Do Tristram. Kazano ci przysłać najlepszego łowcę. Ja jestem najlepsza. Jadę. Masz kilka uderzeń serca, żeby spróbować mnie zatrzymać.

Valla poczekała, obrócona plecami do mistrza. Potem poprawiła szal... Ruszyła naprzód. Minęła pagórek i znikła Josenowi z oczu.

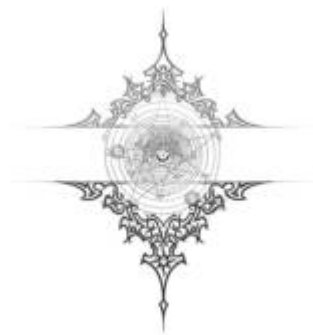
Mentor tylko patrzył. I gdyby obok był jakiś obserwator, zauważyłby coś niezwykłego, przelotne drgnienie na twarzy mistrza łowców, które niemal przypominało... uśmiech.





Cameron Dayton
WĘDROWIEC





Strach

Jego zmarła siostra przychodziła o zachodzie słońca. Zawsze o zachodzie słońca. Kiedy niebo zasnuwało się fioletem, a nadchodząca noc wydłużała cienie, stał, patrząc, jak słońce znika za górami. Szum wieczornej bryzy zmieniał się w powolne szuranie stóp. Jej stopy... zimne i białe, o postrzępionych ścięgnaach i popękanych kościach, zdarły się całkiem po setkach mil przemierzanych po pokrytej lodem skale. Nieważne, jaką odległość Kehr przeszedł za dnia, przez ile rzek się przeprawił, na ile urwisk się wdrapał. Przychodziła o zachodzie słońca.

Wielkolud zajął się ogniskiem, nasłuchując zbliżającego się szurania. Dotarł już do skraju Puszczy Sharval, więc drewna na opał miał coraz więcej. Próbował znaleźć nieco otuchy w tym, że zje coś ciepłego po tygodniach żywienia się wyłącznie suszoną dziczyzną. Ale próby spełzły na niczym, tak jak się zresztą spodziewał. Odgłos nierównych kroków zawsze był zwiastunem chłodu, który zdawał się obmywać Kehra falą płynnego lodu i grozy.

Zatrzymywała się zawsze na granicy światła.

Nie chciał podnosić głowy, nie chciał się do niej odzywać. Ale wiedział, że dopóki tego nie zrobi, ona nie odejdzie. Poczekał, aż ogień się rozпали, a potem wyprostował się z ciężkim westchnieniem.

– Mów, co masz do powiedzenia, Faen. A potem odejdz.

Szurnęła nogą, robiąc krok ku ognisku. Potem następny. Kehr patrzył w płomienie i niemal bezwiednie przesunął ręką po świeżej bliźnie na piersi. Kolejny krok i stała już naprzeciw niego. Kłoda w ognisku przechyliła się i strzeliła iskrami, które chmarą wzleciały do góry. Kehr zmusił się, by śledzić je spojrzeniem, w ten sposób zdołał oderwać wzrok od płomieni i przenieść na to coś, co kiedyś uważał za siostrę. Był jej to winien.

W ciepłe jej ciało zaczęło tajać i słodkawy, lepki smród zgnilizny przybrał na sile. Tygodnie wędrówki śladem brata poczyniły prawdziwe spustoszenie w ciele Faen, Kehr ledwie ją rozpoznawał.

Jej oczy były niczym czarne dziury, złowieszcze cienie zastąpił błękit, który Kehr pamiętał. To, co zostało ze złotych splotów Faen, zwisało poszarzałą masą po obu stronach głowy, a ciężar tych wilgotnych splecionych kłębow zdzierał skórę z czaszki. Kehr patrzył, jak pęka pożąłkłe ciało, jak przegniła tkanka wraz ze splecionymi włosami opada na ziemię z wilgotnym plaśnięciem. Cienkie kończyny dygotały szarpane wiatrem, a spod przegniłego odzienia wystawały gdzieniegdzie kości. Kehr zastanawiał się, czy Faen coś jeszcze czuje. Siostra pochyliła się i drżącym, kościstym palcem wskazała jego pierś.

– Kehr. Kehr Odwyll.

Jak mogła mówić tą nędzną resztką warg? Żuchwa zwisała jej luźno, czarny język był tak spuchnięty, że rozpychał wystrzępione policzki. Jak to możliwe, że stała przed nim, dygocząc z gniewu, skoro lata temu pochowano ją pod roztrzaskanym zboczem Arreat? Kehr wiedział, że nie powinien był wracać, że nie znajdzie odkupienia na tych rozbitych

ziemiach. Nie udało mu się odnaleźć drogi do zalesionych kanionów jego ludu i tylko błąkał się całymi dniami wśród dziwnych postrzępionych wzgórz. Dolina Klanu Jelenia była niegdyś zielona i przyjazna, a do tego doskonale mu znana. Teraz wszystko się zmieniło. Wszystko zostało stracone.

A jednak Faen go znalazła. Znalazła i podążyła za nim, choć uciekał jak mógł najdalej.

– Kehr Odwyll. Zdrajca. Zdrajca!

Siostra

Poranne słońce wstało zbyt wcześnie, a ogień nie uchronił Kehra przed chłodem nocy. Mężczyzna odrzucił ciężki płaszcz z niedźwiedziej skóry, rozciągnął swoje dwa i pół metra wzrostu, samych mięśni i blizn. W ciągu minionych lat Kehr zwyczajem mieszkańców wysp Skovos golił zarost i włosy. Zwyczaj ten sprawdzał się w tamtych krainach rozgrzanych latem, poza tym dzięki niemu Kehr nie wyglądał tak bardzo na obcego. Ale tutaj nie mógł jakoś przyzwyczaić się do lodowatego tchnienia wiatru na nagiej skórze. Po kilku tygodniach spędzonych pod zimowym niebem mężczyzna zatęsknił do gęstej brody i długich włosów, jakie nosił za młodu. Przejechał stwardniałymi palcami po szczecinie na podbródku i zastanowił się, czy Tehra by go poznała.

Wspomnienie kochanki przeszło mu pierś mdlącym bólem. Nie był to ból smutku, tęsknoty czy winy. Tak bolał błąd. I żal. Błąd, którego nigdy nie będzie można już naprawić, co najwyżej można go zepchnąć gdzieś w głąb pamięci, by zagłuszyć cierpienie, albo choć je oddalić.

Podróż powrotna będzie długa. Zatoka Zachodnich Marchii leżała na południe za górami Kohl. Kehr wiedział, że na drugą stronę cieśniny dostanie się na pokładzie kupieckiej barki. Kupcy chętnie najmowali osiłeków do pilnowania ładunku, wtedy sami mogli po drodze wizytować zamtuzy. Kehr mówił językami handlu, językami Therat, Lut Gholein i wysp. Z łatwością mógł przekonać potencjalnego pracodawcę, że mimo swych rozmiarów nie jest jednym z tych prymitywnych dzikusów z Ponurych Ziemi, lecz należy do gatunku bardziej cywilizowanego, czyli

najemników. A gdy Kehr wsiądzie już na statek, minie Zachodnie Marchie i Królewski Port i dotrze na Philios. A tam... czekała na niego kobieta. Tam były zielone wzgórza i rozbrzmiewała wesoła muzyka, tam czekało wino, mięsiwo, śmiech i ciepłe smukłe ramiona. Tam Kehr zapomni o obowiązku i zimnym, przeszywającym go żalu.

Po co w ogóle tu przybył? Aby odnaleźć swój lud? Aby błagać o przebaczenie? No cóż, sami go znaleźli. A przynajmniej Faen.

Kehr zasypał resztki ogniska, próbował zapomnieć o zeszłej nocy i skupić się na podróży. Przed nim wznosiły się ogromne szczyty - zalesione, zamieszkane, żywe - miła odmiana po martwocie, wśród której przebywał przez ostatnie tygodnie. Jego dłoń powędrowała do piersi.

Tym razem nikogo nie zdradza, powiedział sobie w duchu. Nie unikał obowiązku, bo ci, którzy go na niego nałożyli, już odeszli. Opuszczał pustkowia, które nie było już jego ziemią. Chciał odbyć pokutę, chciał jakoś położyć kres żrącemu poczuciu winy. Jednak znalazł tylko ciszę i poznał nowy smak dojmującego upokorzenia, który skręcał mu wnętrzności z każdą wizytą Faen. W głowie kołatała mu tylko jedna myśl: tym razem nikogo nie zdradzi. Tym razem nie.

Wiedział, że za następnym wzniesieniem trafi na wijący się szlak łowiecki, którym podążał dwa miesiące temu w przeciwnym kierunku. Potem wystarczyło już tylko wejść na jeden z głównych traktów, krzyżujących się u północnych zboczy Kohl, by trafić na Żelazną Drogę.

Żelazna Droga stanowiła rozpadającą się pamiątkę po dawno upadłym imperium, które rozciągało się od pustyń Aranoch po Zamarznięte Morze. Szeroka, wybrukowana żelazowymi łupkami biegła od mroźnego Iwogrodu przez szczyty gór Kohl w dół, ku zachodnim wzgórzom Khanduras. Ten niegdyś ważny szlak pozwalał kupcom i żołnierzom imperium przemierzać strome, wysokie góry w kilka tygodni zamiast miesięcy. Jednak już od

stuleci droga nie była uczęszczana. Porzucona i zapomniana. W tych pełnych chaosu czasach królowie i wodzowie z Północy niewiele mieli kontaktów z sąsiadami. Zniszczenie Arreat zasiało strach w sercach sąsiednich ludów. Zamknięto bramy, wzmocniono mury i pozwolono, by świat poza ich granicami zdziczał całkowicie.

Oznaczało to, że na Żelaznej Drodze nie będzie ani podróżników, ani bandytów. Choć Kehr mógł z łatwością poradzić sobie i z jednymi, i z drugimi, wolał wędrówkę w samotności. Umocował na plecach swój wielki miecz dwuręczny, Pogardę, i ruszył w kierunku wzgórz.

Minęło dziesięć dni trudnej wędrówki. Dziesięć zachodów słońca i kolejne dziesięć odwiedzin siostry. Ścierwojady odgryzły Faen jedno ramię, z poźółkłej czaszki zeszła skóra. Ale to nadal była Faen. Jej głos. Jej słowa potępienia. Czy Kehr kiedyś przestanie odczuwać obrzydzenie i grozę na jej widok? Czy przywyknie? I czy w ogóle powinien przywyknąć...

Kehr obawiał się, że Faen będzie gonić za nim przez Bliźniacze Morza, że będzie ścigać go aż na Philios. W głębi duszy kołatała myśl: a gdyby ją powalił? Gdyby ciął mieczem w ten trzęsący się zewłok, zamienił go w stos potrzaskanych kości i gnijącego mięsa? Czy to uwolniłoby Faen od cierpienia? Czy uwolniłoby jego?

Ciaśniej owinął ramiona niedźwiedzią skórą. Nie. Nie mógłby zrobić tego swojej siostrze. Nie Faen. Zasłużył sobie na jej słowa, na nienawiść. Zasłużył na tę chłostę...

Potrząsnął głową, by przegnać z niej mrok. Długi, miarowy krok przynosił Kehrowi ukojenie. Nie wiedział, co pcha go naprzód - czy chęć zostawienia za sobą tego miejsca, czy pragnienie powrotu do bardziej przyjaznego klimatu, ale przemierzał szlak w zaskakującym tempie. Żelazna Droga była tuż-tuż, a Kehr wiedział, że po równej powierzchni będzie mógł iść jeszcze szybciej. Wkrótce zapomni o tych ziemiach.

Wkrótce zostawi je za sobą. Może Faen zostanie tu, wśród chłodu i mroku, gdzie miejsce wszystkich zmarłych.

Kehr westchnął, próbował myśleć o winie, słońcu i rytmicznym szumie fal uderzających o piaszczysty brzeg. W brzuchu mu zaburczało. Ostatni kawałek suszonego mięsa zjadł dwa dni temu, a zwierzyny było mniej, niż się spodziewał. Skoncentrował się bez reszty na tym, by opuścić tę krainę, ruiny dawnego domu, najszybciej jak tylko się da. Ale uświadomił sobie, że musi postarać się o jakieś pożywienie.

Z zamyślenia wyrwał go krzyk... a potem krzyki. Dobiegały z drogi tuż przed nim, zza rozłożystej kępy krzewów, które na tej wysokości rosły po obu stronach Żelaznej Drogi. Kehr zeszedł ze szlaku, przyczał się i bezszelestnie ominął krzewy, by zyskać lepszy widok.

Uchodźcy. Co do tego nie było wątpliwości. Mężczyźni, kobiety i dzieci - tuziny wychudzonych, brudnych wieśniaków w podartych łachmanach. Swój skromny dobytek dźwigali w koszach i sakwach, a nawet w zawiniątkach z koca. Zapewne, jak i Kehr, myśleli, że droga będzie pusta. Lecz w przeciwieństwie do niego nie zachowywali choć odrobiny ostrożności. Szli jeden za drugim, w nierównych odstępach, wyraźnie żaden z nich nie pomyślał o zagrożeniu ze strony zwierząt, bandytów albo czegoś jeszcze gorszego. A w okolicznych górach nie było nic gorszego od bandytów.

Nagle Kehr poczuł charakterystyczny zapach, zanim jeszcze znaleźli się w polu jego widzenia. Żołądek podszedł mu do gardła. Kazra. Kudłate, wynaturzone stwory, połączenie człowieka i kozła. Zwykle wędrowały stadami. Kazra mieli szerokie, umięśnione bary, potężne ramiona znaczyła płatanina ścięgien, co rusz znikająca wśród skudłonego, brudnego futra. Kolana mocnych nóg zginały się w tył, jak u zwierząt, zamiast stóp mieli czarne racice. Mocarne barki pokryte były węzłami mięśni i nabrzmiąłych

żył, zwieńczone koszmarnym koźlim łbem o ślepiach z nieludzką pionową źrenicą i kręconych rogach. Kehr już kilka razy napotkał je w trakcie wędrówek na południu. Wspomnienia tych spotkań smakowały goryczą żółci. Kazra stanowili namacalne, cuchnące świadectwo nikczemnego wpływu demonów na ludzi.

Zobaczył, jak para kozłoludów zbliża się do uchodźców. Ludzie rozpierchli się z krzykiem. Już kilka ciał leżało na bruku, popękane kamienie zabarwiły się czerwienią. Więcej kazra pojawiło się w polu widzenia. Zaczęli zdzierać z trupów ich marne odzienie. Kehr poczuł, jak niepokój zmienia się w gniew, ale się opanował. To nie była jego walka. Nie jego powinność. Starcie tylko by go opóźniło, zresztą i tak już niewiele mógł zrobić. Wieśniacy byli sami sobie winni, skoro ruszyli drogą bez broni.

Chciał już zawrócić i ominąć to miejsce, gdy zauważył drwala. Mężczyzna, odziany w samodział, przyciągnął uwagę bestii. Stał sam, ze wzniesioną w dłoni siekierą, podczas gdy kozłoludy otoczyły go, śmiejąc się jęklonie. Uzbrojone w piki i włócznie dźgały ofiarę, gdy tylko odwróciła się do któregoś plecami. Z ran mężczyzny sączyła się krew. Reszta wieśniaków wykorzystała to, że uwaga kazra skupiona jest na kimś innym, i uciekła w las, porzucając drwala na pewną śmierć. Długą i bolesną. Obrócił się gwałtownie, by stawić czoła bolesnemu atakowi, i wtedy Kehr zobaczył, co drwal ściska drugą ręką. Dziecko.

Życie

Aron porzucił wszelką nadzieję, nie był pewien, czy utrzyma topór choćby przez chwilę. I wtedy ryk przeszył powietrze. Bestie odwróciły się, becząc z zaskoczenia, gdy znalazły się na drodze stalowej nawałnicy. Zatoczywszy się lekko, Aron zacisnął palce na stylisku, przytulił mocniej dziewczynkę i modlił się, by ten nowy demon przyniósł mu szybką śmierć. Kazra przed nim polegli zasieczeni.

Z rozsieczonych ciał kozłoludów siało wokół krwawymi ochłapami i dopiero teraz Aron mógł lepiej się przyjrzeć sprawcy tej rzezi. Zdumienie zaparło mu dech w piersi.

To był człowiek! Olbrzymi mężczyzna, który górował nawet nad wielkimi kozłoludami. Człowiek, który stał zbryzgany krwią, parującą w zimnym powietrzu poranka. Z mocarnych ramion zwisała mu jak płaszcz niedźwiedzia skóra, nogi chroniła zbroja wykonana na poły z płyt, na poły z metalowych kółek, stopy - ciężkie buty z wołowej skóry. Pierś miał nagą i pobliznioną. Potężne ręce, powęzłone grubymi żyłami, dzierżyły straszliwą broń, odpowiednią do rozmiaru jej właściciela. Trzykrotnie większą niż topór Arona, wykutą z czarnej stali i wyszczerbioną po obu stronach obosiecznego ostrza. To było potworne narzędzie śmierci, zaś obcy trzymał je ze swobodą, jakby stanowiło przedłużenie jego ręki.

To musiał być barbarzyńca. Aron słyszał o nich nawet w swojej wiosce, daleko na zachód stąd. Opowieści o gigantycznych dzikusach strzegących świętej góry i pożerających tych, którzy ośmielili się tam zapuścić. Jednak nigdy by nie przypuszczał, że taka niesamowita siła mogła być zamknięta w

ciele śmiertelnika. Tak zabójcza szybkość, taka moc, obie posłuszne ludzkiej woli.

Kazra obdzierający ciała na drodze porzucili zdobycz i z wyciem ruszyli na nieoczekiwanego wroga. Obłoki pary buchały im zza żółtych kozich zębów. Spośród drzew wyskoczyli kolejni - na odgłos rzezi porzucili pościg za resztą uchodźców. Aron doliczył się siedmiu, może ośmiu. Dodawali sobie odwagi, becząc głośno i nie spuszczać wzroku z samotnego celu. Z opuszczonymi łbami ramię w ramię ruszyli do ataku.

Barbarzyńca ze świstem nabrał powietrza przez zaciśnięte zęby, przerzucił wielgachny miecz do jednej ręki, a drugą wyciągnął do Arona.

– Topór.

Aron pospiesznie oddał swoją broń. W ogromnej dłoni siekiera zdawała się dziecięcą zabawką. Wojownik podniósł ją i obrzucił oceniającym spojrzeniem. Przytaknął z aprobatą.

– Mocny. Nie na chrust.

Kozłoludy zbliżały się coraz szybciej, waląc racicami po bruku. Ten barbarzyńca naprawdę chciał rozmawiać o jakości siekiery, kiedy ku niemu pędziła śmierć?! Co z niego za człowiek?!

– Tak... to znaczy nie, nie... należał do mojego ojca - zająknął się Aron. - Był w straży w...

Jednym płynnym ruchem barbarzyńca uniósł ramię i cisnął orężem. Aron patrzył, jak siekiera wiruje szaleńczo wokół własnej osi, by przelecieć przez czaszkę najbliższego kazra i utonąć w piersi kolejnego. Pierwszy kozłolud zatoczył się i upadł, potworna masa na jego karku obficie broczyła ciemną juchą, drugi zwałił się na niego i tak już pozostał, nieruchomy. Pozostali zwolnili i rozdzielili się, by otoczyć cel.

Aron ruszył na osłabłych nogach ku jednemu z martwych kazra, by zabrać włócznie i kto wie, może nawet wspomóc olbrzymia i zginąć

honorową śmiercią w walce przeciwko liczniejszemu wrogowi. Ale wielkolud warknął głucho i wymierzył Aronowi kopniaka w biodro, przewracając go na ziemię. Drwał przetoczył się, chroniąc dziecko, i poderwał głowę, patrząc na barbarzyńcę ze strachem.

– Leż - nakazał mu olbrzym.

Aron skulił się i ciaśniej otoczył dziecko ramionami. Przestało płakać, co było niepokojące, ale pocieszał się, że jeśli mała zemdlą, to tylko dla niej lepiej. Otoczyły ich kozłoludy, z wykrzywionych wściekle pysków toczyły pianę. Gnała je furia, a Aron wiedział z niedawnych przerażających doświadczeń, że rozedrą swe ofiary na strzępy z makabrycznym entuzjazmem. Barbarzyńca uniósł miecz, mięśnie ramion nabrzmiały ukrytą siłą.

Kozłoludy straciły resztki cierpliwości. Rzuciły się do ataku z jęklwym wrzaskiem. Aron zobaczył, że barbarzyńca przymyka oczy i - na Płonące Piekło! - uśmiecha się. Olbrzym odchylił się, jego uśmiech zastąpił szydery grymas i niczym śmiercionośne wrzeciono w piruecie ruszył na przeciwnika. Aron drgnął, gdy obosieczny miecz świsnął mu nad głową. Kozłoludy nie doceniły zasięgu ramion olbrzyma i czterech najbliższych zamilkło nagle na najwyższej nucie. Miecz nie tyle ciął, co wręcz poraził bestie. Klinga przeszła przez ich ciała jak nóż przez masło. Rozerwała tkanki, kręgi, strzaskała kości, bryzgając wokół gorącym szkarłatem. Aron poczuł, że uszy, nos, oczy i usta zalała mu słonawa czerwień. Kaszłąc, wytarł twarz. Po czterech kazra zostały tylko drgające zewłoki. Barbarzyńca, wsparty na kolanie, próbował wyrwać miecz, który utknął głęboko w jednym z kamieni brukowych. Dwa kolejne kozłoludy, mądrzejsze od martwych pobratymców, nie rzuciły się do ataku na oślepa, odczekały, aż uwaga barbarzyńcy będzie skierowana gdzie indziej, i spróbowały zająć go od tyłu. Aron chciał ostrzec wielkoluda, ale zakrztusił

się juchą. Barbarzyńca wyprostował się gwałtownie, podnosząc miecz wraz z zaklinowanym na ostrzu kamieniem. Zamachnął się i uderzył w bestię. Dziwaczny kamienny bijak rozniósł ciała na miazgę. Mokre ochłapy plasnęły nieopodal Arona.

I było po wszystkim. Zapadła cisza. Barbarzyńca stał niepokonany w chłodnym górskim powietrzu, niczym bóg gniewu i śmierci. Drwał w życiu nie widział czegoś równie przerażającego, nie umiał powiedzieć, co oznaczało pojawienie się tego mocarza. Patrzył, jak olbrzym zawiesza miecz na plecach i rusza wzdłuż drogi. Odchodził? Nie. Schylił się i wyrwał siekierę Arona z zabitego kozłoluda. Podszedł do drwała i podał mu topór styliskiem w przód.

– Droga jest teraz bezpieczna - skinął głową olbrzym. - Kazra nie atakuja po dwakroć silniejszego przeciwnika. A między tymi ścierwojadami wieść niesie się szybko.

Aron sięgnął po siekierę, ale znieruchomiał w pół ruchu. Zawiniątko w jego ramionach trwało nieruchome i ciche. Dopiero teraz dostrzegł, że jedna z kazrowych włóczni sięgnęła celu.

Aron opuścił głowę.

– Nie... nie, nie.

Ze szlochem przytulił martwe dziecko. Osunął się na kolana. Barbarzyńca patrzył i wydało się, że rozumie.

– Widziałem, jak jej broniłeś, drwału. - Splunął, kiwając głową ku uchodźcom, którzy w milczeniu wrócili na drogę. - Wypełniłeś swój ojcowski obowiązek.

– Nie - głos Arona załamał się od szlochu. - Nie jest moja. Chciałem zabrać ją w bezpieczne miejsce. Kozłoludy zabiły jej rodziców. To nie moja córka.

Śmierć

Kehr szedł z uchodźcami. Błagali, by ich chronił, w zamian za jego towarzystwo oferowali żywność i kilka sztuk srebra. Barbarzyńca przyjął tę skromną zapłatę i uprzejmie zgodził się iść z nimi. Jeśli ktoś zapytałby go o zdanie, chłopcy byli już martwi, albo będą, gdy tylko ich drogi się rozejdą. Chwilowo szli w tę samą stronę, aczkolwiek Kehr miał zamiar walczyć w ich obronie, dopóki Żelazną Drogą dotrą do Khanduras. Zastanawiał się, czy Faen go odwiedzi, jeśli będzie miał towarzystwo w podróży. Miał nadzieję, że nie, na wszelki wypadek jednak zamierzał pozostawać sam o zachodzie słońca, aby nikt nie mógł jej usłyszeć. Wieśniacy już i tak dostatecznie się bali. Trzymali się na dystans, nie byli pewni swego nowego, milczącego towarzysza, ale nie chcieli zostać zbyt daleko w tyle. A Kehr poczuł ulgę, podróżując wśród żywych.

– Jesteś barbarzyńcą, prawda?

To był drwal. Kehr stracił go z oczu po pogrzebie nieznanego dziecka. Dopiero teraz znów go zobaczył. Barbarzyńca mruknął potakująco i przyspieszył kroku.

– Tak myślałem. Kto inny potrafiłby tak posiekać potwory? Kto inny mógłby władać pługiem jak mieczem? - Drwal pokręcił głową, uśmiechając się z podziwem.

Kehr zmarszczył brwi. Chyba jednak zbyt wcześnie cieszył się z dźwięku ludzkich głosów. Minęło wiele tygodni, odkąd rozmawiał z człowiekiem... Albo wysłuchał tylu słów naraz. Zastanawiał się, czy wszystkie rozmowy muszą być takie jałowe. Zaimponowała mu jednak spostrzegawczość

drwała. Pogarda rzeczywiście była przekutym lemieszem. Kehr zgarbił się nieco, zaskrzypiały grube rzemienie i sprzączki podtrzymujące obosieczną klingę.

Aron zrobił kilka szybszych kroków, próbując spojrzeć Kehrowi w oczy.

– Na początku wątpiłem. Nie masz gęstej brody ani warkoczy, o których opowiadają...

Odchrząknął.

– Jeśli nie chcesz rozmawiać, zrozumiem. Chciałem ci tylko podziękować.

Skłonił się i pozwolił, aby barbarzyńca go wyprzedził. Kehr nie zatrzymał się, ale wbrew sobie poczuł zaciekawienie. Oto miał przed sobą człowieka, który stanął w obronie obcego dziecka, choć inni uciekli. Zdobył się na odwagę, by okazać barbarzyńcy wdzięczność, choć inni bali się nawet zbliżyć. Takie męstwo, szczególnie wśród prostego ludu, robiło wrażenie. Kehr obejrzał się, chcąc sprawdzić, dokąd drwał poszedł, i zaskoczony zobaczył go zaledwie kilka kroków z tyłu.

– Cicho stąpasz, drwalu. Nauczyłeś się tego, polując na drzewa?

Aron zaśmiał się. W tym pustym i zimnym miejscu był to niezwykle ciepły dźwięk.

– W czasach mojego dzieciństwa w lasach nie spotykało się kazra, ale to nie znaczy, że bezpiecznie było hałasować. Ciężko zbierać drewno, kiedy goni cię niedźwiedź.

Kehr tylko kiwnął głową. Wyjaśnienie było sensowne, ale podejrzewał, że drwał nie powiedział wszystkiego. Każdy ma tajemnice, Kehr o tym wiedział. Odwrócił wzrok.

– Pierwszy raz widziałeś kozłoludy? - zapytał.

– Pierwszy raz aż tyle. Ostatnimi laty widywaliśmy je w niewielkich grupkach, po trzech, czterech, zwykle na większych wysokościach, wśród

ską, gdzie kopyta pozwalają im się poruszać naprawdę szybko. Wiedzieliśmy, że są groźne, ale zazwyczaj uciekały przed uzbrojonymi ludźmi na nizinach. Ale teraz... teraz pełno ich w całym Kohl, od szczytów po doliny.

Drwal zacisnął pięść na toporze. Kehr dostrzegł w jego oczach cień ponurych myśli.

– Zorganizowały się. Wcześniej nigdy nie były aż tak agresywne, tak zgrane. Napadają na dalej wysunięte wioski. Siedem dni temu zauważyłem stado tych potworów wędrujące doliną do Dunsrott, naszej osady. Udało mi się ostrzec ludzi, zabraliśmy, co się dało, i wymknęliśmy się z nadejściem nocy. Na Żelaznej Drodze dołączyli do nas inni uchodźcy. Opowiadali o tym samym. Stanowimy forpocztę. - Drwal wykonał szeroki gest sugerujący, że za nimi podąża większa karawana. - I jeśli nie zrobi się czegoś z tymi atakami, to wkrótce będzie tu niekończący się sznur uciekinierów szukających schronienia.

Te słowa sprawiły, że Kehr się zatrzymał.

– Nikt nic nie robi w sprawie kazra, drwalu. Te góry to rubieże, żaden król nimi nie włada, żaden król ich nie chroni. Zaprowadź ludzi z Kohl w bezpieczne miejsce i niech tam zostaną.

Drwal zwolnił kroku, rozważając słowa Kehra, usta wykrzywił mu ponury uśmiech. Najwyraźniej podjął jakąś decyzję, bo wyciągnął dłoń.

– Jesteśmy ludźmi gór, a nie głupcami. Mamy zamiar iść wzdłuż tej drogi i dotrzeć aż na niziny Zachodnich Marchii, a tam... tam chyba zaczniemy od nowa. A na imię mi Aron - powiedział.

Drwal Aron trzymał wyciągniętą rękę, aż Kehr wreszcie warknął zirytowany i podał mu własną zgrubiałą dłoń. Uścisk był krótki i mocny.

– Kehr Odwyll, ostatni z Klanu Jelenia.

– Ostatni?

– Mojego ludu już nie ma. Arreat pochłonęła ich w swym gniewie.

– Współczuję... Nie wyobrażam sobie większej tragedii niż oderwanie od swoich. Dlatego bez względu na niebezpieczeństwa wędruję z nimi. - Aron wskazał na uchodźców.

Przeszli w milczeniu tuzin kroków.

– Ale... - wymamrotał Aron - jak udało ci się przeżyć katastrofę? Wieści o zniszczeniu góry dotarły nawet do mojej osady. Jakim cudem ocalałeś?

Kehr nie odpowiedział. Wbił wzrok w ziemię i przyspieszył kroku, aż zostawił Arona z tyłu. Wszyscy mają tajemnice, Kehr o tym wiedział. Odwrócił wzrok.

Słońce chyliło się coraz niżej. Wynędzniała kawalkada za Kehrem niedługo zatrzyma się, by rozbić obóz na noc. Wieśniacy zostali daleko w tyle, ale barbarzyńca kontynuował wspinaczkę na skały w sporej odległości od drogi. Mogło się to okazać niepotrzebne... ale wołał zachować ostrożność.

Faen przybyła o zachodzie. Podczas wędrówki straciła zuchwę, jej czarny jęzor zwisał wśród poszarpanych ścięgien odartego z mięsa gardła. Ale słowa brzmiały tak samo i taka sama groza ogarniała Kehra, gdy je słyszał. Miał nadzieję, że siostra zawróci, gdy zobaczy towarzyszących bratu ludzi. Liczył, że skoro ich obronił, odkupił winy i nie ujrzy już oskarżenia w zapadniętych oczach. Miał nawet nadzieję - niezwykle skrytą - że Faen była jedynie wytworem wyobraźni, powstałym wskutek trawiącego Kehra nieustannie poczucia winy. Jednak czuł piekącą falę chłodu obmywającą ramiona i barki. To było rzeczywiste. Lodowaty płomień przeszywającego spojrzenia Faen był prawdziwy.

Kehr wiedział, że wieczory będzie musiał spędzać z dala od Arona i reszty ludzi.

Zdrajca

Kehr pomylił się co do kozłoludów. Nad ranem musiał odeprzeć kolejne dwa ataki, a troje uchodźców poległo w walce. Na Żelaznej Drodze zostało siedmiu kazra. Arona martwiło, ile jeszcze rogatych łbów przyjdzie mu zobaczyć, zanim dotrze do Zachodnich Marchii. Kazra atakowali, gdy tylko barbarzyńca wysuwał się za daleko naprzód.

Strach uchodźców się wzmaczał. Zbici w ciasną grupkę szli w odległości zaledwie dziesięciu kroków za swoim obrońcą. Aron zamykał nierówną zbitkę dwudziestu dusz, z siekierą w gotowości. Kilkoro z silniejszych uchodźców zabrało broń poległym prześladowcom. Szyk ten okazał się skuteczny przeciwko tchórzliwym bestiom i do końca dnia już nie ośmieliły się zaatakować.

Kehr pomógł uchodźcom wznieść łatwy do obrony obóz, a potem mimo ich protestów odszedł, gdy tylko słońce schowało się za górami. Powiedział, że chce zbadać okoliczne wzgórza, by sprawdzić, gdzie następnego dnia kazra mogą zacząć się w zasadzce.

Aron był pewien, że to kłamstwa. Na twarzy barbarzyńcy dostrzegł trwogę.

Kehr ku uldze uchodźców wrócił niedługo po zapadnięciu zmroku. Aron czuł, że wydarzyło się coś przerażającego, bo Kehr niósł ze sobą chłód, zimno o wiele bardziej przenikliwe niż górskie powietrze. Zupełnie jakby zachodzące słońce zabrało Kehrowi Odwyllowi ciepło i życie. Drwal postanowił, że mądrzej będzie nie poruszać tego tematu.

Aron oddał wielkoludowi część żywności, którą nieśli wieśniacy. Wdowa po burmistrzu przydzieliła barbarzyńcy porcję, na którą łakomie zerkali głodni uciekinierzy. Kehr przyjął bez pytania i w ciszy zabrał się do posiłku. Ciekawe, kiedy barbarzyńca jadł po raz ostatni? - pomyślał drwal. Zastanawiał się również, czy jagody i drobna zwierzyna zdobyte po drodze wystarczą na zaspokojenie potrzeb Kehra, jak i uchodźców, czy też głód dopadnie ich, zanim dotrą do Zachodnich Marchii.

Kiedy Kehr się oddalił, Aron rozmawiał z wdową po burmistrzu, imieniem Seytha. Tłumaczył jej, że barbarzyńca nie chce ich skrzywdzić, zwyczajnie: nie przywykł do podróży z ludźmi tak potrzebującymi i bezbronnymi. I mimo swego odpychającego zachowania Kehr dowiódł przecież, że chce zapewnić wieśniakom bezpieczeństwo. Kobieta nie wyglądała na przekonaną, w milczeniu patrzyła na drogę za Aronem.

Tego wieczoru drwal pełnił wartę ze świniopasem Dalnem. Starzec uzbrojony w starą, powyginaną łopatę okazał się twardszy i bardziej przemyślny od niejednego młodzika. Daln się jąkał, a na świat spoglądał z niedowierzaniem. Po sześćdziesięciu latach życia na jednej mordze Dunsrott podróż ta była dla niego zarówno niepojęta, jak i męcząca. Tej nocy po raz pierwszy, odkąd wieśniacy opuścili domy, nie pojawiły się kozłoludy. Daln w urywanych słowach dopytywał się, co takiego zrobił barbarzyńca, że wystraszył potwory. Może Kehr poprosił o pomoc lodowych bogów z Ponurych Ziemi? Aron nakazał mu trzymać język za zębami i obserwować drogę. Nie należy się zastanawiać, skąd pochodzi chrust, należy go zbierać i być zań wdzięcznym.

Dwa dni zmieniły się w cztery, potem cztery kolejne przeszły niezauważenie. Ataki kozłoludów następowały rzadziej, choć nie ustały całkowicie. Aron widział prześladowców. Zazwyczaj para zwiadowców obserwowała uchodźców ze wzgórz przy drodze. Od czasu do czasu do

bestii dołączała kolejna dwójka. Ośmielone własną liczebnością kozłoludy nawet nie próbowały się ukrywać. Ciągła obecność stworów, postukiwanie racic na skale, porykiwania, smród zgniłego mięsa niesiony wiatrem - to wszystko odbierało hart ducha równie skutecznie, co bezpośrednie ataki.

Kiedy Żelazna Droga doprowadziła ich niemal do podnóża gór, Kehr zrobił się nieco mniej oschły. Aron zauważył, że barbarzyńca bardziej skory jest do mówienia pod warunkiem, że drwał miarkował słowa... zwłaszcza pytania. Zdawało się, że Kehr odnajduje otuchę w rozmowach o swoim ludzie, i Aron dowiedział się sporo o Klanie Jelenia i o warcie barbarzyńców - świętym obowiązku obrony Góry Arreat. Dowiedział się również, że warta nadawała sens życiu ludzi Kehra, że pieczętowała ich więź ze zwierzętami na zboczach góry. Było to przymierze, które jednoczyło wszystkie plemiona barbarzyńców, źródło ich duchowej siły.

Kehr zaś dowiedział się, że drwał wychował się w niewielkiej górskiej wsi Dunsrott. Arona wraz z braćmi wychował ojciec, po tym jak matkę zmoęła choroba. Ojciec, były strażnik, niewiele wiedział o sprawach, które nie dotyczyły wojska, więc wychowywał synów jak żołnierzy. Było ciężko. Tak ciężko, że brat Arona uciekł na północ, do Iwogrodu, żeby pobierać nauki u mnichów. Drwał już nigdy więcej o nim nie słyszał. Ojciec zmarł niedługo potem, zostawiając po sobie skromną chatę w lesie, starą siekierę i niewiele żalu. Aron dziękował bogom, że staruszek nie dożył dnia, w którym jego ukochane Dunsrott padło ofiarą piekielnych bestii. Mówił, że to „kaelseff”, co w starej mowie znaczyło „małe błogosławieństwo”. Aron często używał słów starej mowy. Kehr szydził, że to „sztuczne przywiązanie do martwego języka”. Aron nie obrażał się, tylko uśmiechał.

– Słowa mają moc, Kehrze Odwyllu - powtarzał. - Wiążącą moc.

Kehr z pomrukiem ciaśniej osłaniał pierś niedźwiedzią skórą.

Przez kilka dni nie nastąpił żaden atak, nastroje się poprawiły. W oddali wciąż pojawiały się sylwetki kazrowych zwiadowców, ale wszyscy już przywykli do ich obecności i z nadzieją czekali chwili, gdy wkroczą w granice Zachodnich Marchii, zostawiając bestie za sobą. Kehr przewidywał, że zejdą z gór za dwa, trzy dni. Aron modlił się, by na nizinach więcej było żywności. On i kilkoro najsilniejszych mężczyzn i kobiet oddawali swoje racje barbarzyńcy. Ich zapasy były na wyczerpaniu.

Drwalowi zaburczało w brzuchu. Kehr zatrzymał się i zarządził postój. Aron wyzuty z sił oparł się o głaz na skraju drogi i patrzył, jak uciekinierzy rozbijają obóz. Zauważył, że siły pozostały już tylko tym, wśród których rozdzielano żywność: dzieciom, starcom i rannym... oraz barbarzyńcy. Wiedział, że powinien porozmawiać z Kehrem, wytłumaczyć mu, jak naprawdę wygląda podział jedzenia. Postanowił poruszyć ten temat, kiedy wielkolud wróci z odosobnienia.

Z oczyma utkwionymi w zachodzącym słońcu i ustami wykrzywionymi ponurym grymasem Kehr błędził myślami gdzie indziej. Dokończył posiłek bez słowa i ruszył na swoją wieczorną wędrówkę. Mimo całodniowego marszu barbarzyńca nadal kroczył pewnie, długie kroki oznaczały, że nie chce, aby ktokolwiek ruszył za nim.

Aron, nawet gdyby chciał, nie miał siły, by pobiec za odchodzącym. Z głodu zakręciło mu się w głowie. Z otępienia wyrwał go głos kobiety za plecami:

– Kehrze Odwyllu! Jeśli trafisz dziś w nocy na kóregoś z kazra, przynieś go nam, proszę. Część z nas umiera z głodu i nie cofnie się przed zjedzeniem co bardziej kozich części bestii, żeby nabrać sił na dalszą wędrówkę!

Barbarzyńca zamarł. Aron odwrócił się, żeby zobaczyć, kto krzyczał. Czyżby głód odebrał kobiecie rozum? To była Seytha, która co noc

wydziałała Kehrowi rację z nیکنących zapasów. Ujęła się pod boki. O tym, ile odwagi wymagały od niej te słowa, świadczyły zaszklone z przejęcia oczy.

Kehr ani drgnął. Uchodźcy też trwali w ciszy, wpatrzeni w plecy swojego obrońcy. Jego głos odbił się echem wśród ścian kanionu.

– Czy ludzie z Dunsrott żałują, że skorzystali z moich usług?

Aron ruszył w jego stronę na miękkich nogach, rozłożywszy szeroko ramiona.

– Nie, Kehrze! Ona nie to miała na...

Ale Seytha znowu się odezwała i nie było najmniejszych wątpliwości, że szykowała te słowa cały dzień.

– Umieramy w twoim cieniu, barbarzyńco. Co za różnica, czy zabiją nas kaza, czy głód?

Aron usłyszał gniewne pomruki poparcia... Słyszał ludzi zmęczonych i głodnych. Wzdrygnął się. Wieśniacy zaczęli buntować się przeciwko swojemu obrońcy. Drwal odwrócił się do towarzyszy, próbując ich uspokoić, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

– Seytho, podróż jest ciężka dla wszystkich. Musimy go wyżywić, żeby miał siły nas bronić. Kiedy zejdziemy z gór, będziemy mogli polować i...

– Nie przetrwamy nawet dwóch dni dłużej, jeśli nie znajdziemy czegoś do jedzenia! - przerwała mu ostro. Słyszał coraz więcej gniewnych głosów. Barbarzyńca powoli odwrócił się do wieśniaków. Daln wskazał go łopata.

– D-dlaczego n-nie przyniesie nam czegoś z tych swoich wieczornych polowań? - zapytał z drzeniem. - N-nie po to go k-karmimy, żeby szedł, kiedy mu przyjdzie ochota. M-ma o-obowiązek zadbać, b-by-byśmy b-b-byli żywi!

Aron czekał, aż barbarzyńca zareaguje na gniew swoich podopiecznych, ale olbrzym stał, jakby był wykuty z kamienia, drgnął, dopiero gdy usłyszał

słowo „obowiązek”. Zacisnął zęby, napięły się mięśnie szczęk i karku, oddech wielkoluda uniósł się parą w wieczornym powietrzu. Odwrócił się do drwala, a jego głos ciął niczym ostrze.

– Służyłem sułtanom, wodzom i książętom kupieckich rodów z południowych wysp. Jeszcze nigdy nie dobyłem miecza za tak niewiele. - Splunął. - Powinniście byli zginąć w górach, a zapewne zginiecie na nizinach. W Zachodnich Marchiach jest jeszcze gorzej, nie tylko kazra nękają ludzi. Powinienem był zostawić was na Żelaznej Drodze. Okazałbym wam łaskę.

Aron w geście desperacji rozłożył ręce.

– Kehrze, błagam! - jęknął. - Wybacz im te nieprzemyślane słowa. Są przerażeni i głodni i nie wiedzą, co mówią. Nie zostawiaj nas!

Kehr Odwyll złapał się na tym, że wpatruje się w stojącego samotnie drwala.

– Przeżyjesz, jeśli ich zostawisz, Aronie. Masz umiejętności, żeby przetrwać tę podróż. Ale jeśli z nimi zostaniesz, z nimi umrzesz.

Następnie barbarzyńca odwrócił się i ruszył, głuchy na żalosne błagania uchodźców. Aron spojrzął na swoich towarzyszy. Zrzucił siekiere na ramię. Jeszcze nigdy mu tak nie ciążyła.

Brat

Kehr szedł, póki nie zostawił w gęstniejących cieniach widoku żalonych prostaczków, ich głosów i zapachu. Krew barbarzyńcy kipiała gniewem, zacisnął dłonie, aż mu pobieleły kłykcie. Głupcy! Czy nie wiedzieli, w czyich rękach było ich życie? Czy zdawali sobie sprawę, że podróż z nimi tylko go spowalniała, że stracił przez nich kilka dni w zamian za nędzne parę kromek czerstwego chleba? Jak śmieli?!

Słońce skryło się za górami. Gniew barbarzyńcy ustąpił miejsca ponurej frustracji. Zawył, ściągnął Pogardę z pleców, złapał obiema rękami i rzucił ją w ciemność.

– Chodź, siostrzo! Chodź, opowiedz mi o zdradzie! Chodź i lżyj mnie!

Upadł na kolana, a cienie zgromadziły się nad nim. Zamknął oczy, nasłuchując zbliżających się kroków. Siostra i tak przyjdzie, czy będzie bronił tych przygłupich wieśniaków czy nie. Jaki sens w... oddech uwiązał Kehrowi w krtani.

Kroki były liczne. Zbyt liczne. Postukiwały po bruku Żelaznej Drogi.

– Nie jestem twoją siostrą, ale chętnie cię zelzę - zabrzmiał niski, gruby głos. Becząc. - Nazwę cię głupcem i ofiarą, i, tak, zdrajcą.

Kehr zerwał się na równe nogi, ale szybko został powalony. Przetoczył się i próbował wstać, ale kilka kozłoludów złapało go w żelaznym uścisku. Strząsnął dwa, ale cios z tyłu pozbawił go czucia w nogach. Zwalilo się na niego więcej kazra i świat pochłonęła ciemność.

– Starczy! Związać człowieka i przyprowadzić!

Kehr usłyszał szcęk łańcuchów i poczuł zimno stali wokół nadgarstków, ciasne kajdany przecięły mu skórę. Kopany i kąsany, został szarpnięciem postawiony na nogi. Poczuł, jak pęka mu żebro. Po ramionach i plecach spływała mu krew. Jęki i krzyki bólu i gniewu zdawały się dochodzić z daleka.

– Ta droga jest nasza, ta Żelazna Droga. Za późno opuściłeś swoje owieczki, barbarzyńco - zabrzmiał znowu ten sam głos.

Kehr podniósł głowę, mrugnął kilka razy, by pozbyć się z oczu gorącej wilgoci. Przed nim stał monstrualny kozłolud, dwakroć większy od największego kazra, jakiego Kehr widział w życiu. Bestia była odrażająca, nawet jak na kazra. Miała olbrzymie barki, potężne, sięgające ziemi ramiona i kolczaste kłykcie. Szaro-fioletowa skóra poznaczona była jakimiś przeklętymi znakami, runami, literami, które wiły się na umęczonym ciele w odrażającej parodii życia. Zamiast dwóch zakręconych rogów z guzowatej czaszki wyrastały cztery, wyginały się ku przodowi niczym gałęzie i zakręcały obscenicznie łagodnym łukiem przy wstrętnej zuchwie. Ciężkie poroże okute było żelazem, zdobnym w te same znaki, które widniały na skórze. Gęste czarne futro, splamione zaschniętą krwią i zielono-brązowymi barwnikami, pokrywało nogi zwieńczone czarnymi, mocnymi racicami. Potwór podniósł czarny łeb i zaśmiał się bekliwie. Kehr aż się wzdrygnął, gdy zobaczył płaskie, przebite miedzianymi pierścieniami wymiona zwisające niczym suszone ryby. To była samica kazra.

Wyciągnęła łapę i powiodła stwardniałymi palcami po głowie barbarzyńcy, po jego policzkach i w dół, po szyi. Kehr zadławił się z odrazy. Zarechotała, a jej palce dotknęły pobliznionej piersi olbrzyma.

– Nie tylko mnie znaczą słowa bogów, he? - Kehra owiał kwaśny, wilgotny smród jej oddechu. Przesunęła paluchami po bliznach, które skrywał pod niedźwiedzią skórą. - Ha! Nie czytasz? - Cofnęła się,

podnosząc ręce i pokazując swoje blizny. - Moje słowa dają siłę. Moje przynoszą rozkazy i ogień, i moc od mojego czarnego pana. To on kazał mi zająć tę drogę, wyrzył na moim ciele te słowa i uczynił królową!

Wyprostowała się dumnie.

- A ty? - zarechotała. - Nosisz takie? Ha! Ha!

Kehr zauważył, że znaki na ciele samicy emanowały tajemniczo ledwie widoczną fioletową poświatą. Kazra skinęła na jednego ze swoich sługusów, stojącego za barbarzyńcą.

- Przyrowadź pozostałych. Nie zabijajcie ich jeszcze. Życzę sobie, żeby te owce zobaczyły swojego tchórzliwego obrońcę!

Odpowiedziało jej beczenie. Kehr opuścił głowę. Innych? Tak szybko pokonali uchodźców? Odpowiedź na pytanie napłynęła natychmiast, jasna i ostra: oczywiście, że tak. Porzucił ich. Kolejna zdrada.

Kozłoludów przybywało. Dwa tuziny, trzy. Wszystkie oddawały pokłon swojej ohydnej królowej. Niektóre przynosiły krwawe dary, nierozpoznawalne, broczące posoką części zwierząt bądź ludzi, które matrona obwąchiwała i albo wsadzała do pyska pełnego żółtych zębów, albo odrzucała. Powietrze wypełnił smród brudu i koziej juchy.

W tym czasie kazra przycisnęła Kehra do ziemi i powlekli, aż znalazł się u popękanych racic królowej. Przykucnęła i zaczęła go gładzić, jednocześnie syczącym tonem wydając rozkazy kazra rozpalającym ognisko na środku drogi. Zamruczała miękko. Barbarzyńca poczuł na karku jej gorący oddech.

- A ciebie... - wyszeptała. - Będzie z ciebie dobry wierzchowiec. Spętany barbarzyńca to cenne trofeum dla królowej Klanu Kości.

Kehr próbował splunąć, ale usta miał całkiem wyschnięte.

Z oddali dobiegły krzyki. Kehr je rozpoznał. Usłyszał gniewny głos Arona, a potem okrzyk bólu. Między nadchodzącymi kazra Kehr zauważył

pędzonych uchodźców. Byli przerażeni, niektórzy szlochali. Arona ciągnęło dwóch kozłoludów. Zakrwawiony i nieuzbrojony nadal stawiał opór. Wysoki, czarnorogi kazra, wyraźnie faworyzowany przez matronę, stanął przed nią, ściskając w łapskach siekiere Arona.

– Ten tu. On... on walczyć... zabić kilku nas - ciężko było zrozumieć bełkotliwe słowa, kozłolud mówił powoli i z trudem. Jego długa żuchwa i zwierzęce zębiska nie były przystosowane do ludzkiej mowy. Brakowało mu inteligencji, jaką miała jego pani, uzyskanej magicznie czy w inny sposób.

Matrona zarechotała.

– Ha! Kolejny wilk wśród owieczek! Dajcie go tutaj.

Arona popchnięto do przodu, upadł na kolana. Po sposobie, w jaki drwał podtrzymywał rękę, barbarzyńca wywnioskował, że jest złamana. Krwawił z ust. Aron wstał z trudem. I wtedy zobaczył Kehra. Oczy rozszerzyło mu zdumienie.

– Co? Myślałem, że uciekłeś. Jak to...

– Ha! - huknęła zachwycona kazra. - Dopada go zwątpienie...

Aron patrzył na potworną władczynię, ale to jej słowa nim wstrząsnęły. Wzrok drwala pomknął do Kehra leżącego u jej nóg. Znowu się zaśmiała.

– Twój obrońca? Twój zbawca? To tchórz. Wiedział, że jesteście straceni. Zabrał wam jedzenie i uciekł, kiedy zauważył, że szykuje się zasadzka. Kiedy nas zobaczył, odrzucił miecz!

Aron z trudem nabrał tchu.

– Nie. Nie. On nas chronił. Zabił twoje...

– Bezużytecznych zwiadowców. Cherlaki. Mięso, które zaganiało was w moim kierunku.

Sięgnęła łapą i miłośnie pogładziła ramię Kehra.

– Wiara w tego zdrajcę jest typowa dla twojej rasy. Nic dziwnego, że tym górom brak mojego bata. Chcą, żeby uwolnić je od tych myszy, które stanowią utrapienie każdego kanionu, każdej przełęczy. Te góry błagają, żeby stać się siedzibą Klanu Kości.

Kozłoludy zabeczały z zachwytem i jak na rozkaz uniosły broń. Matrona wiedziała, jak porwać swój lud.

Aron ogarnięty gniewem zapomniał o bólu. Zrobił krok w kierunku Kehra i zacisnął pięść.

– Po to nas głodziłeś? Udawałeś człowieka odważnego i honorowego, a uciekłeś, kiedy tylko pojawiło się prawdziwe niebezpieczeństwo?

Aron splunął na barbarzyńcę mieszaniną krwi i śliny.

– Służyłeś sułtanom i wodzom? Zdradziłeś nas dla tej kazrowej suki!

Matrona ryknęła śmiechem.

– Nie, drwalu... Aronie... Chroniłem was dobrze... Nie wiedziałem...

Królowa chwyciła Kehra za nadgarstki i postawiła na nogi. Jej czarodziejskie tatuaże zamigotały wściekle, jakby napełniały potężne ramiona bestii jeszcze większą siłą. Barbarzyńca wypuścił powietrze, gdy matrona podniosła go z ziemi. Rozciągnęła jego ręce na boki, długie łańcuchy zwisały z kajdan niczym metalowe wstążki.

– Patrz, człowieczku. Twój obrońca jest naznaczony! Ha! Wy głupi wieśniacy, zignorowaliście ostrzeżenie wypisane na jego piersi. Jego imię to zdrajca!

Aron spoglądał spod zmrużonych powiek, aż się trząsł z gniewu.

– Zabij mnie, jeśli chcesz, kozo. Ale najpierw chcę krwi tego zdrajcy.

Śmiech matrony przerodził się w ryk, pozostali kazra dołączyli, chichocząc jękliwie.

– Tak! Tak! Zabij barbarzyńcę, człowieczku. Zabij go, a może puszcę cię wolno, żebyś rozpowiedział o Klanie Kości na nizinach. Gherbek! -

wezwała swojego faworyta. - Daj drwalowi siekierę. Niech nam natnie trochę gałęzi!

Kazra zbliżył się do drwala i podał mu topór.

- Coś dla ciebie, cherlaku - zabeczał.

Aron chwycił siekierę w zdrową rękę i podparł się styliskiem. Dokuśtykał do barbarzyńcy. Kehr widział, że drwal jest ciężko ranny, jego krew płynęła po trzonku, zostawiając na ziemi szkarłatny ślad. Matrona opuściła Kehra i przysunęła go bliżej Arona, jakby dawała dziecku zabawkę. Aron uniósł topór i przystawił drżące ostrze do piersi barbarzyńcy.

- Ta blizna - warknął do Kehra - to znamię zdrajcy? Mów prawdę, barbarzyńco. Choć raz powiedz prawdę.

Kehr opuścił głowę. Jego głos był niski i przepełniony wstydem.

- Tak. Opuściłem mój lud, kiedy walczył z najeźdźcami z Entsteig. Porzuciłem swój obowiązek i poszedłem za kobietą, córką handlarza, który odwiedził mój klan. Jestem zdrajcą. Tchórzem. Co gorsze, Klan Jelenia zginął razem z upadkiem Arreat, zanim zdążyłem wrócić i błagać o przebaczenie. - Kehr podniósł głowę, smutek i żal wykrzywiły mu rysy. - Kiedy nie udało mi się odnaleźć swoich, sam naznaczyłem się zdrajcą, drwalu. Rozciąłem własne ciało, wypaliłem rozgrzanym do białości nożem. Ale oni nadal przeklinają mnie za powrót, odrzucają moją pokutę. Moja martwa siostra... nawiedza mnie po zachodzie słońca. Mój lud nigdy mi nie wybaczy. Nie zasługuję na jego przebaczenie. - Barbarzyńca zamknął oczy. - I nie proszę o twoje.

Spojrzenie Arona stało się nieobecne. Jakby słyszał głosy z dalekiej przeszłości. Słowa brzmiały surowo i prawdziwie, z łatwością dawały się słyszeć mimo radosnego ryku otaczających ich zwierząt. Tylko Kehr usłyszał szept drwala.

– Słowa mają moc, Kehrze Odwyllu. Ta wiedźma myli się co do ludzi gór. Nasi przodkowie byli pierwszymi, którzy zapisali te starożytne znaki, które nosisz na piersi. - Drwal pochylił się bardziej. - Wiem, co znaczy twoje znamię, barbarzyńco. Wiedziałem, gdy tylko je zobaczyłem. Ale zobaczyłem też twoją odwagę. I to jest inny rodzaj prawdy.

Drwal przycisnął topór do piersi Kehra, ostrze przecięło skórę. Barbarzyńca gwałtownie nabrał powietrza.

– To ostrze splamione jest moją krwią - rzekł Aron głośno i wyraźnie. - I zmienię nim twoje piętno.

Ostrze wyryło czerwoną linię przez środek blizny.

– Teraz zwiesz się bratem.

Matrona zasyczała i upuściła Kehra na ziemię. Skoczyła i kopnęła drwala w pierś. Aron poleciał nad ogniskiem wśród kropel krwi z rozerwanego kopytem ciała. Zwalił się na stertę drewna i z trudem spróbował się podnieść.

– Ty mały głupcze! - warknęła królowa kozłoludów. Była wściekła, że zepsuto jej zabawę. - Myślisz, że możesz tworzyć słowa bogów swoją lichą siekierą?! Myślisz, że taką moc można przywołać bez potwornej zapłaty, bez agonii, bez mrocznych rytuałów?!

Podniosła barbarzyńcę za kajdany i zaczęła rozciągać jego ramiona. Kolorowe runy wokół jej ramion zatańczyły.

– Rozerwę go jak chleb! - jej ryk przeszył powietrze. - A twoich ludzi wypcham kawałkami jego ścierwa.

Dał się słyszeć trzask kości wyskakującej ze stawu. Kehr jęknął.

Aron podniósł zakrwawioną głowę i wyciągnął rękę ku udręczonemu barbarzyńcy.

– Zostało ci wybaczone.

Kozłoludy zaśmiały się piskliwie. Jeden podszedł do Arona i przebił go włócznią. Drwał znieruchomiał.

Nagle potworny ryk wypełnił noc. Kazra zamilkli. Przecięte pionową żrenicą ślepią zwróciły się ku matronie.

Stała, dygocząc. Zębiska miała zaciśnięte. Jęczała z wysiłku. Zniżyła łeb i zaryła racicami w ziemię, próbując rozpostrzeć ramiona... lecz nie była w stanie. Zasyczała, gdy Kehr powoli zaczął składać ręce, zmuszając ją do tego samego. Matrona, próbując stawić mu opór, podniosła go wyżej. Kehr wywinął dłonie i chwycił palcami za jej nadgarstki. Próbowała go puścić, lecz za późno, została uwięziona w żelaznym uścisku.

– Nie! - stęknęła przez obnażone zęby, z ust toczyła pianę. - Moja... Moja siła jest większa niż twoja! Nie, nie możesz tego zrobić!

Jej mięśnie nabrzmiały ohydnie, gdy próbowała się przeciwstawić Kehrowi. Trzasnęło ramię wyskakujące ze stawu i matrona zawyła, odrzuciwszy łeb. Barbarzyńca owijał jej ramiona wokół siebie pod okrutnym kątem. Nie mogła się uwolnić. Otaczające ich kozłoludy zaczęły kłębić się nerwowo, kiedy ryki królowej nabrały żalosego, błagalnego tonu. Wygięła się, wijąc w uścisku... a wtedy stopy barbarzyńcy dotknęły ziemi.

Już ją miał.

Pochylił się, wykorzystując ruch bestii, i przerzucił ją przez ramię, po czym z hukiem cisnął w ognisko. Kozłoludy pierzchły przed płonącymi gałęziami. Barbarzyńca rozpostarł ramiona i zawył ku niebu. Kajdany się zerwały i opadły ciężko na ziemię. Łańcuchy zadzwoniły wokół niego niczym rozbity dzwon.

Skamłając, matrona próbowała wstać. W płomieniach rysowała się jej zwalista sylwetka. Barbarzyńca skoczył i wrzucił ją z powrotem w płomień, chwyciwszy za powykęcane rogi. Potwornym szarpnięciem

zdarł poroże z czaszki, a potem posłużył się nim jak maczugą i zaczął okładać bestię, póki nie usłyszał trzasku kości.

Agonalne wycie matrony wznosiło się ku niebu wraz z dymem ze zdławionego ogniska. Żelazna Droga aż drżała w rytm uderzeń. Uwolniona starożytna magia niosła się echem wśród górskich szczytów, które przyjęły gniew barbarzyńcy. Przyjęły jego ofiarę.

Trzeba było godzin, by gniew wypalił się w Kehrze. Czerwone słońce wzeszło wśród absolutnej ciszy i skąpało szczyty w czerwonym blasku.

Kehr wstał z pogorzelniska, cisnął na ziemię krwawą masę i rozejrzał się po Żelaznej Drodze.

Nie został żaden kazra i żaden już tutaj nie wróci. Nieopodal znalazł uchodźców. Kulili się wokół ciała Arona, skamieniali z przerażenia.

– Zbierzcie tyle pożywienia, ile wam się uda - zagrzmiął barbarzyńca. -
Nasz cel jest dwa dni drogi stąd.

Warta

Promienie zachodzącego słońca zabarwiły dolinę Zachodnich Marchii kolorami jesieni. Kehr przestał ostrzyć siekiere, wstał i odwrócił się, żeby popatrzeć na zachód. Wieczorna bryza rozgarnęła jego siwiejące już włosy ze znajomą delikatnością. Liczył oddechy, póki słońce nie ześlizgnęło się poza górskie szczyty.

Jedynym odgłosem, który dobiegał jego uszu, był świergot ptaków. Żadnych kroków. Żadnych słów. Kraina dotrzymywała przymierza, póki barbarzyńca trzymał wartę.

Tak jak przewidział Aron, zjawili się kolejni uchodźcy, nadchodzili niekończącą się falą. Uciekali Żelazną Drogą przed siłami zła, które zebrały się, by zająć góry Kohl. Klan Kości zmałał i stracił na znaczeniu, ale wśród szczytów czyhały zagrożenia gorsze od kazra. Zwyczajni ludzie potrzebowali kogoś, kto ich obroni. Od Zachodnich Marchii po Iwogród zaczęły krążyć opowieści o Żelaznym Wędrowcu, obrońcy drogi. Kehr przyłożył dłoń do piersi i ponownie wyruszył na szlak. Uchodźcy będą potrzebowali brata.





Matt Burns
NIEUSTĘPLIWY





Kiedy dmie wichur zła, drzewo, które się ugnie, zostanie złamane...” - pożegnalne słowa mistrza Akijewa wciąż pobrzmiwały w pamięci Zoty. Towarzyszyły mu na każdym kroku wędrówki przez ostatnie kilka tygodni. Za dnia słowa mistrza zdawały się jedynie szeptem, ale w nocy dudniły gorączkowo we wspomnieniach Zoty.

Tej nocy było podobnie... Wiedział, że zostanie poddany kolejnej próbie.

Wiatr się wzmógł, zawodząc przez Gorgorrę niczym ostatnie mroźne tchnienie umierającego boga. Chłód z łatwością przegryzał się przez zielono-niebiesko-białe szaty mnicha. W minionych latach znosił pokornie smaganie porywistych górskich wichrów w Klasztorze ponad Chmurami, ale ten wiatr był inny. Niósł ponaglenie, które napełniało Zotę niepokojem, jakby to sami bogowie lasu kulili się ze strachu.

Zota poszedł na skraj obozowiska, postukując swoim bo w pokrytą porostami ziemię. Nad polaną, gdzie zatrzymał się na noc, górowały omszałe sosny i brzozy oraz prastary dąb. Jego wielkie, powykręcane konary rozpościerały się niemalże opiekuńczo nad obozowiskiem.

Dwaj mężczyźni nadal spali przy jego ognisku, szczelnie owinięci w poszarpane wełniane koce. Zota liczył, że spędzi noc w samotności, ale uchodźcy, którzy znaleźli go tu tuż po zachodzie słońca, udaremnił tę

nadzieję. Pokusa, aby odmówić im miejsca w obozie, była niemała, ale mistrz Zoty wyraźnie zabronił mu odwracać się plecami do podróźnych.

„Przyjmuj ich z otwartymi rękami, ale zachowaj czujność w sercu” - nakazał Akijew. „Obserwuj ich z uwagą, jeśli bowiem skalał ich bóg chaosu, zrobi on wszystko, by ukryć się przed twoim wzrokiem”.

I tak Zota, powolny naukom mistrza, przyjrzał się nieznanym uważnie. Stwierdzenie, że byli wolni od zepsucia, nie zabrało mu wiele czasu. Wychudzeni mężczyźni o zmęczonych oczach - siwiejący ojciec i dwudziestoletni syn - jako jedyni przeżyli atak grupy dzikich kaza. Brudne kozłoludy zaatakowały ich wioskę znienacka i zostawiły po sobie tylko dogasające cmentarzysko.

Mężczyźni pochodzili z regionu Gorgorry, który łączyły religijne i kulturowe więzy z Iwogrodem. Uciekali na północ w poszukiwaniu schronienia za miejskimi murami. Pomimo przeżytych potworności ojciec i syn nie tracili nadziei i wierzyli głęboko, że spotkanie z Zotą to znak i bóg losu nad nimi czuwa. Mnich poczuł się niemal okrutnie, gdy słuchał, jak mówią o życiu, które zaczną po dotarciu do Iwogrodu, ale wiedział w głębi duszy, że ci dwaj prawdopodobnie zginą, zanim dotrą do miasta.

Przed położeniem się do snu zaproponowali Zocie część swoich skromnych racji żywnościowych w podziękę za nocleg. Mnich oparł się pokusie i uprzejmie odmówił przyjęcia daru. Po prawdzie nie chciał w żaden sposób wiązać się z ludźmi spotkanymi w Gorgorze w obawie, że będą mu przeszkodą.

– W takim razie ofiarujemy podwójne dary bogom - zdecydował niezrażony ojciec. - Byli łaskawi zaprowadzić nas do ciebie, święty mężu. Nic w Gorgorze nie jest takie, jak się wydaje.

Nie jest, chciał odpowiedzieć Zota. Ja także nie.

Mężczyzna mówił prawdę o lesie. Zota wychował się na opowieściach o pierwotnej puszczy Gorgorry na południe od Iwogrodu. Nawet najmłodsze z tamtejszych drzew były pradawne już w czasach, gdy powstawał jego zakon. W tej przedwiecznej puszczy, jak zawsze Zocie wpajano, równowaga między tysiącem i jednym bogiem ładu i chaosu była niezachwiana. Zota zastanawiał się, co powiedzieliby starsi mnisi, gdyby zobaczyli, że puszcza stała się źródłem kipiącego mroku.

Kontynuował marsz wokół obozowiska, powtarzając mantrę, która otworzyła jego umysł na pobliską knieję, gdzie jego wzrok nie sięgał. Zota wyczuł ruch w ciemnościach, obecność, której był świadom już wcześniej tej nocy. Powoli, niemal metodycznie, z każdą godziną przybierała na sile, jakby zbliżała się do obozowiska. Zota czuł na sobie spojrzenia setek oczu należących do obserwatorów, których prawdziwa forma pozostawała przed nim ukryta. Co gorsza, żaden z leśnych bogów ładu nie odpowiedział na modlitwy, nie objawił mu źródła owej obecności. Bóstwa pozostały obojętne... niegodne zaufania.

Bogowie trwali w tym stanie już od tygodni, odkąd tajemniczy ogień zapłonął na nocnym niebie Iwogrodu i spadł gdzieś na południu. Po tym wydarzeniu w puszczy zaroilo się od bogów chaosu i demonicznego pomiotu, a bandyci zaczęli plądrować samotne osady Gorgorry. Komecie nadano tuziny nazw i na tyleż sposobów wyjaśniano jej pojawienie się, ale wszystkie te historie miały jeden punkt wspólny. Wszystkie wspominały o przepowiedni zwiastującej nadejście złych czasów. Nigdzie przy tym cień nie był równie wszechobecny co tutaj - w gęstych górskich lasach. Wyjaśnienie prawdziwego znaczenia spadającej gwiazdy nie było zadaniem Zoty. Powierzono je innemu mnichowi, który nie miał sobie równych, a którego Zota darzył najwyższym poważaniem.

Im później się robiło, tym większy niepokój ogarniał mnicha. Zdawało mu się, że przekłeta siła kryjąca się w lesie drwi sobie z niego, bawi się. Przebiegł palcami po glifach i słowach mądrości, których setki wrył na swym bo. Wiły się od końca do końca broni w skomplikowanych wzorach, a każdy upamiętniał inny etap szkolenia. Zota powtórzył słowa jednej z inskrypcji w nadziei, że rozjaśni mu to umysł i doda otuchy. Lecz przywołał tylko wspomnienia porażek poniesionych podczas nauk u Akijewa.

Recytował pod nosem pouczenia mistrza, gdy nagle wichur ucichł.

Z oddali dobiegł trzask podobny do tego, jaki wydają suche drwa pękające w ogniu, a po nim następny i następny. Dźwięki z początku były nieliczne i odległe, lecz szybko nabrały częstotliwości i stały się znacznie głośniejsze. Słyszeć je było dosłownie z każdej strony. Zota wyteżył wzrok, próbując dostrzec cokolwiek w ciemnościach. Odgłosy przybierały na sile, aż zmieniły się w ogłuszający huk pękających gałęzi i łamanego drewna. Szeregi drzew na skraju polany zatrzęsły się, po czym rozpadły w drzazgi. Z każdym kolejnym wybuchem fala odłamków sięgała bliżej mnicha i uchodźców.

Wszystko zatrzymało się na skraju obozu, w lesie zapadła martwa cisza.

Starzec z synem podnieśli się z posłań, spojrzenia wciąż mieli rozespane.

– Co to było? - wymamrotał ojciec.

Zota uciszył go gestem. Ostrożnie podszedł ku ciemności. Czarna otchłań, pozbawiona kształtu, trwała w bezruchu, lecz mnich wyczuł w niej sługi bogów chaosu. Chociaż ich nie widział, zdawało się jednak, że są na wyciągnięcie ręki. Wszędzie wokół, w ziemi, powietrzu, w drzewach.

W drzewach.

W tej samej chwili ziemia poruszyła się pod jego stopami. Kłębowisko korzeni wystrzeliło w górę, rozbryzgując wilgotną ziemię i posyłając go w

powietrze. Wylądował w przewrocie po drugiej stronie obozowiska i natychmiast poderwał się na równe nogi.

Drzewa wokół zakołysały się i wyciągnęły ku Zocie konary, skrzypiąc przy tym jękliwie niczym olbrzymy budzące się po eonach snu. W przytłumionym świetle ogniska dostrzegł ruch. Liczne korzenie wychynęły z ziemi i na oślep zaczęły sunąć do Zoty i uchodźców.

– Trzymajcie się ognia! - krzyknął mnich.

Ojciec i syn rzucili się wyciągać drwa z płomieni i wymachiwać tymi prowizorycznymi pochodniami w stronę odsłoniętych korzeni, które dotarły już na środek obozowiska. Zota ruszył w kierunku pobliskiej sosny, odtrącając pędy sięgające jego stóp. Runął na drzewo nawałnicą uderzeń kijem i poprawił ciosem z otwartej dłoni w pień. Pęknięcia rozbiegły się po korze wokół jego dłoni. Zota odskoczył, gdy sosna wybuchła i rozłupała się, rozsiewając drzazgi. Złamane w pół drzewo powaliło sąsiednią brzozę.

A jednak Zota nie czuł, by ze zniszczeniem sosny zginął też demon w jej wnętrzu. Był raczej gotów stwierdzić, że bezbożna moc osłabła tylko nieznacznie. Otworzył swój umysł na drzewa otaczające obozowisko. Wszystkie skażone, ale to jedynie marionetki, kontrolowane przez jedną istotę.

Zatrzymał wzrok na pradawnym dębie, nieruchomym, jakby bez życia. I nagle w wysmaganym wiatrem i deszczami pniu wyczuł demona, którego wpływ ogarnął pobliski las.

W odpowiedzi na odkrycie Zoty pień dębu rozwarł się, tworząc ziejącą paszczę pieniącą się zielonym mchem. Noc przeszył przeraźliwy, wysoki krzyk. Pod Zotą ugięły się nogi. Uchodźcy przypadli do ziemi, zakrywając uszy i wyjąc w agonii.

Inne drzewa znieruchomiały, a demon zbierał moc, gromadząc ją z powrotem w dębie. Konary wystrzeliły do Zoty niczym tuziny zębiastych

lanc. Mnich uskoczył i wykonał szeroki zamach bo, wysyłając niewidzialne ostrze skondensowanego powietrza w sękate gałęzie.

Dąb zawył z furją i ponowił atak tym, co zostało z połamanych ramion. Zota wykonał salto nad siekącymi powietrze gałęziami i wylądował u stóp drzewa. Wściekłym pchnięciem wbił bo w drewnianą paszczę, skoncentrowawszy się na jednym punkcie na końcu swojej broni.

Dąb wił się w konwulsjach, pień zaczął pulsować, a z paszczy buchnęła struga boskiego ognia. Płomienie błyskawicznie strawiły drzewo, pozostawiając spopieloną, czarną skorupę.

– Święty mężu! - krzyknął do mnicha ojciec.

Zota odwrócił się i wtedy dostrzegł, że jedna z gałęzi przebiła ramię syna i przygwoździła go do ziemi. Młodzieniec był nieprzytomny, lecz żył.

– To rana powierzchowna. Przeżyje, jeśli mu pomożesz. - Ojciec ukląkł przy synu.

Tak, chciał powiedzieć Zota. Jak wszyscy mnisi opanował sztukę leczenia. Zbadał skórę wokół gałęzi. Krew miała zdrowy, szkarłatny kolor, bez oznak skażenia... na razie.

Ojciec posłał Zocie spojrzenie pełne nadziei.

– Na pewno możesz go wyleczyć?

Zota zmusił się, aby wypowiedzieć puste słowa, które kazano mu recytować:

– Został skażony. Skażenie będzie ukrywać się przed moimi świętymi mocami, póki nie odejdę. Dopiero wtedy opanuje ciało i umysł twojego syna. Musimy oddać go bogom, aby zaznał spokoju.

– Nie! - wykrzyknął przerażony starzec. - On to zwalczy. Jest silny. Zostaw go pod moją opieką. Klnę się na tysiąc i jednego boga, że jeśli zobaczę u niego oznaki skażenia, zabiję go własnymi rękami. To ostatni z mojej krwi.

Padł Zocie do stóp w desperackim błaganiu. Wszystko to wydawało się niewłaściwe. Przecież mnich powinien dawać ludziom nadzieję, a nie ją odbierać. Przez chwilę Zota zastanawiał się, czy nie odejść. Ale gdy tylko przyszło mu to do głowy, z jego wspomnień powrócił Akijew.

Zota niemal widział, jak stary mistrz spogląda na swego ucznia z rozczarowaniem i odrazą. Ostatni raz widzieli się wiele tygodni temu, po tym jak Zota przeszedł rytuał wieńczący nauki, a okręgi symbolizujące ład i chaos zostały wytatuowane na jego czole. Dzień po tym, jak niebiański ogień zapłonął nad Iwogrodem, mistrz wezwał Zotę na jeden z klasztornych tarasów. Górskie wichry targały brunatno-szaro-czarnymi szatami starszego mnicha, ale ten nawet nie zadrżał. Nie bez powodu Akijewa zwano Nieustępliwym. Jego siła i zdecydowanie stanowiły wzór dla Zoty, wciąż niedościgniony, i młody mnich obawiał się, że tak już zostanie.

- Ci, którzy zostali dotknięci przez pomiot bogów chaosu, muszą być oczyszczeni. Nie zadawaj pytań. Nie próbuj leczyć ich ran. Musimy mieć pewność, że skaza zostanie powstrzymana - mówił Akijew, przekazując uczniowi instrukcje, które sam otrzymał od dziewięciu Patriarchów - zwierzchników Kościoła Saftiew i władców Iwogrodu. Jako zbrojne ramię wiary mnisi odpowiadali za wprowadzanie w życie dekretów boskich pomazańców rządzących królestwem. - Patriarchowie wyznaczyli ci trudne zadanie, zarezerwowane wyłącznie dla najbardziej oddanych spośród członków naszego zakonu. - Przez chwilę patrzył na Zotę, marszcząc brwi. - Wyświęcono cię na mnicha, ale zastanawiam się, czy rzeczywiście jesteś gotów. Są chwile, gdy myślę, że nadal jesteś tym głupim chłopcem, który po raz pierwszy przekroczył bramy klasztoru. Bardziej zwierzęciem niż człowiekiem... dzikim stworzeniem zaślepionym przez intuicję i ulotne uczucia, zmiennym niczym chorągiew na wietrze. Czy jesteś tym chłopcem, czy mnichem?

– Tamten chłopiec już umarł - zapewnił Zota.

– Dowiedz tego. Lecz pamiętaj, że gdy dmie wicher zła, drzewo, które się ugnie, zostanie złamane.

Następnego dnia Akijew wyruszył na własną misję. Zota opuścił klasztor niedługo po nim, ale słowa mistrza wciąż brzmiały mu w uszach, niecichnące przypomnienie przeszłych porażek.

Teraz głos Akijewa brzmiał jeszcze głośniejszy, zgrzytał w uszach niczym szczęk mieczy. Zota poczuł gniew, że w ogóle przyszło mu do głowy porzucenie obowiązku i sprzeciwienie się dekretem Patriarchów.

Obowiązek jest wszystkim, pomyślał. Przez Patriarchów przemawiają bogowie. Kim jestem, by kwestionować ich słowa? Stanowię tylko narzędzie ich woli.

Święci przywódcy Iwogrodu byli reinkarnacjami pierwszych dziewięciu ludzi, którym bogowie dali władzę nad królestwem. Czterech złożyło śluby ładu, czterech śluby chaosu, a jeden zachował neutralność. Starali się utrzymać równowagę. Czasem oznaczało to, że mnisi będą musieli zmierzyć się z trudnymi zadaniami, ale taka właśnie była natura wszechrzeczy. Wszystko zmierzało do zachowania równowagi między ładem i chaosem, aby żadna ze stron nie górowała nad drugą.

– Odsuń się - rozkazał Zota, lecz starzec ani drgnął.

– Mój chłopiec nigdy nie znieważył Patriarchów! A oni tak mu się odpłacają? - Uchodźca cofnął się i ze swojej torby przy ognisku wyciągnął tępy nóż. Zamachnął się dziko na mnicha.

Zota złapał starca za nadgarstek i wykręcił, aż mężczyzna puścił nóż. Ojciec krzyknął z bólu i padł na kolana.

– To mój jedyny syn. - Zaszlochał.

Stracił wolę walki. Osunął się na ziemię.

Zota powoli podszedł do chłopca, recytując w duchu jedną ze starożytnych przysięg zakonu. Między bogami chaosu i ładu kroczę. Dla jednych i drugich naczyniem jestem, lecz sługą niczym. Jestem wojownikiem, który nie walczy dla żadnej ze stron. Dopóki działam w imię równowagi, dopóty jestem bez grzechu.

Bez grzechu, powtórzył bezgłośnie, położywszy dłoń na piersi młodzieńca.

Zota zamknął oczy i wyszeptał mantrę, która napełniła syna świętą energią. Był to cios miłosierdzia, którego mnich nauczył się od Akijewa. Przynosił spokojną i bezbolesną śmierć tym, którzy zostali śmiertelnie ranni i nie mogli już zostać uzdrowieni mocą zakonu. Poczował, jak serce chłopaka bije coraz wolniej i wolniej, aż w końcu staje. Zota zebrał drewniane odłamki i oczyścił ciało w płomieniach.

Pierwsze promienie świtu przecisnęły się przez gałęzie drzew. Ze stosu została garść zwęglonych kości. Zota ruszył w drogę. Powinien czuć dumę, jako że wypełnił wolę Patriarchów. Ale myślał tylko o złamanym starcu, w którego duszy nadzieja gasła wraz z płomieniami pogrzebowego stosu, o ojcu, który klęczał nad szczątkami ostatniego dziecka i modlił się do bogów, choć ci już go nie słuchali.



Trzy dni później Zota natrafił na wymordowaną karawanę.

Łącznie osiem ciał, rozrzuconych na niewielkiej polance zasłanej sosnowymi igłami. Okrył nos rąbkiem szaty, aby nie czuć smrodu, i otworzył umysł, szukając w okolicy śladów obecności demonów. Niczego nie znalazł.

Ze dwa tuziny toreb z prowiantem leżało wokół truchła potężnej bestii juczej przerąbanej w połowie na wysokości masywnych barków. Zapasów

było zbyt wiele, jak na jedno zwierzę, nawet tak duże i silne. Nieopodal drogi Zota trafił na ślady kopyt, każdy z trzech tropów wiódł w innym kierunku.

Ciała były jeszcze świeże, ludzie zginęli nie dalej jak dzień temu. Większość ofiar miała na sobie szare opończe, typowe dla mieszkańców Gorgorry. Jednak kunsztownie wykonane miecze i topory, które Zota znalazł przy zwłokach, skłaniały do podejrzeń, że ów prosty strój był jedynie przebraniem.

Przykucnął przy najbliższym zmarłym, dobrze zbudowanym mężczyźnie o zgrubiałych i pooranych bliznami dłoniach wojownika. W licznych ranach na rękach i piersi kłębiły się larwy. Wyglądało na to, że wędrowcy byli przed śmiercią torturowani.

Szczególnie jedno z ciał przykuło uwagę Zoty. Kobieta. Została rozebrana do naga i wrzucona w wygasłe teraz ognisko w centrum obozu. Jej nogi były całkowicie zwęglone. Jako jedyną pozbawiono ją też głowy. Zota przeczesał polanę, ale nigdzie jej nie znalazł.

Masakry dokonano z wyrachowaniem. Zota był pewien, że ze śladów można by wyczytać straszliwą historię. Ale Patriarchowie nie wysłali go do Gorgorry, aby rozwiązywał zagadki. Musiał jedynie oczyścić ciała, zanim ruszy w dalszą drogę.

Zauważył podłużny przedmiot zasypany do połowy w popiele ogniska. Pochylił się i wyciągnął drewniany flet ozdobiony mosiężnymi okuciami. Dziecięca zabawka. Pamiętał, że miał podobną, kiedy rozpoczął szkolenie w klasztorze. Muzyka była od zawsze ceniona zarówno w zakonie, jak i całym Iwogrodzie, ale Akijew nie podzielał zamiłowania swych towarzyszy do sztuki. Gdy tylko mistrz znalazł u ucznia flet, złamał go w pół i rzucił z urwiska na skraju Klasztoru ponad Chmurami.

Zota wytarł instrument z sadzy i przyłożył do ust. Kiedy weń dmuchnął, rozległy się dźwięki pozbawione harmonii. Puste i bez znaczenia jak życie Zoty, zanim dołączył do zakonu. Już miał wrzucić zabawkę w popiół, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Ciężar instrumentu w ręku niósł niespodziewaną otuchę i spokój. Mnich schował więc flet za pazuchę, wmawiając sobie, że to pamiątka po słabym, głupim chłopcu, jakim kiedyś był.

Gęsty baldachim drzew na skraju polany zaszeleścił przy ruchu.

Zota zerwał się na równe nogi i odwrócił do źródła dźwięku.

– Pokaż się! - zażądał.

Posypały się martwe liście. Zota zakradł się w mrok między drzewami. Nagle z wysokiej brzozy zeskoczyła niewielka postać i pomknęła w głąb lasu.

Zota ruszył w pogoń. Uciekinier miał na sobie popielate szaty jak martwi wędrowcy. Wyglądało na to, że to dziecko, na dodatek niezdarne. Potknęło się o wystający korzeń i zahaczyło ramieniem o pień.

Wreszcie Zota chwycił je i przewrócił na mech. Dzieciak wił się w uścisku i szlochał. Kiedy mnich odchylił mu kaptur, zobaczył wynaturzenie tak straszne, że aż ciarki mu przeszły po plecach.

Chłopiec nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat. Długie, niemal przezroczyste włosy opadały aż do ziemi, otaczając chudą, mysią twarz. Skóra miała kolor wypłowiałej na słońcu kości. A oczy...

Oczy były całkiem białe. I płynęły z nich krwawe łzy.



Od czasu jak Zota oczyścił ogniem ciała zamordowanych wędrowców, ślepy dzieciak nie odezwał się ani słowem. Zignorował pytania o to, co

stało się z karawaną. Mnich zaś doszedł do wniosku, że dziecko jest również nieme, aż pewnej nocy usłyszał, jak zamruczało: „Mamo” we śnie.

Podrostek kilkakrotnie próbował uciec, aż w końcu Zota związał małemu ręce jednym końcem szarfy i prowadził go niczym na smyczy. Niełatwo przyszło mnichowi zdecydować się na to niecodzienne towarzystwo. Wystarczyło, że spojrzął tylko na dzieciaka, a już pełen był złych przeczuć. Rozważał nawet możliwość, że chłopiec to demon ukryty w skórze dziecka, ale szybko odrzucił tę myśl. Nic w Gorgorze nie jest takie, jak się wydaje.

Chłopiec był dziwadłem, to prawda, ale Zota nie wyczuł w nim niczego demonicznego. Mały zachowywał się i poruszał tak, jak może tylko ktoś, kto nie zdaje sobie sprawy, czym są bystre oczy. Mimo to nieustannie potykał się o pokryte mchem kamienie i wystające korzenie, przez co spowalniał marsz do tempa właściwego bardziej dla ślimaka.

Największym zmartwieniem Zoty było to, że chłopak miał kondycję zdychającego psa. Co pół mili musiał się zatrzymywać, żeby złapać oddech. Gdy tylko z pobliskiego lasu dobiegał go śpiew ptaków lub odgłosy zwierząt, chłopiec ruszał w tamtą stronę, kierowany dziecięcą ciekawością. Zota chciał go nawet zostawić samego, ale wciąż miał nadzieję, że dowie się, co stało się z karawaną.

Jednak dziecko nadal uparcie milczało. No ale skoro smarkacz chciał ciągnąć tę grę, to Zota zagra razem z nim.

– Pospiesz się, mały demonie. - Zota pociągnął za szarfę. - Uważaj, gdzie stawiasz nogi, demonie dziecię - ostrzegął, prowadząc małego na kamieniste podłoże.

Judził tak chłopca przez cały dzień, patrząc, jak blada skóra oblewa się rumieńcem gniewu. W końcu mały nie wytrzymał i szarpnął się na uwięzi.

– Nie jestem demonem!

– A więc mówisz.

Dziecko skuliło się pokonane i zwiesiło głowę.

– Powiedz, jak się nazywasz. Chcę ci pomóc.

– Kłamca. Oszukałeś mnie. Zagrałeś złą piosenkę.

– Oszukałem cię? W takim razie może powinienem był cię tam zostawić. Jak myślisz, ile czasu ślepy chłopiec przeżyłby w Gorgorze... - Zota przerwał, przypomniawszy sobie o flecie schowanym za pazuchą. Wyjął instrument spod szaty i podał małemu. - Rozumiem, że należy do ciebie.

Młodziak szukał w powietrzu, aż trafił na flet i przycisnął do piersi. Krwawe łzy popłynęły mu po twarzy, zostawiając szkarłatne ślady, jakby ktoś pociął buzię chłopczyka ostrzem klingi.

– Mama... - wyszeptał chłopiec. - Mama obiecała, że przywoła mnie naszą piosenką. Kiedy usłyszałem muzykę, była niewłaściwa... wszystko brzmiało źle... Pomyślałem, że zapomniała. - Skierował niewidome oczy na Zotę, jakby mógł go zobaczyć, a blada buzia wykrzywiła się w gniewie. - Co jej zrobiłeś?

– Jeśli twoja matka była w obozie, to jest już wśród bogów - odpowiedział Zota, wspomniawszy kobietę bez głowy. Nie widział celu w zatajaniu przed chłopcem prawdy i dawaniu mu fałszywej nadziei. - Ona i inni spotkali swoje przeznaczenie na długo, zanim na nich trafiłem.

– Tyle bogowie sami mi powiedzieli - prychnął chłopiec. - Ale nie chciałem im wierzyć.

– Jakiegokolwiek zło ich zabiło, zniknęło. Nie będzie cię nękać.

– Nie! - krzyknął chłopiec. - Demon, który nas zaatakował, ciągle tam gdzieś jest. Ludzie z obozu ukryli mnie na drzewie i uwolnili juczne bestie, żeby go zmylić. Ale kiedy demon zorientuje się, że mnie tam nie ma, znowu zacznie mnie szukać. Mama powiedziała, że on nigdy nie przestanie nas gonić, dopóki żyjemy.

– Demony zabijają kogo popadnie. I nie ścigają podróżników do końca świata. A teraz powiedz mi, skąd pochodzisz? Masz jakichś krewnych w Gorgorze?

– Nie wierzysz mi - stwierdził dzieciak, ignorując pytania Zoty.

Kiedy mnich rozbił obóz, chłopiec zasnął skulony przy ognisku, tuląc flet. Upór malca był prawdziwie irytujący, ale mnich zaczął się zastanawiać, czemu bogowie zdecydowali się skrzyżować ich ścieżki, jeśli nie po to, by Zota chronił malca. Nic przecież nie dzieje się bez woli bogów. Chłopiec był bezbronny, samotny i przerażony...

„Prości ludzie będą próbowali odwieść cię od kroczenia ścieżką obowiązku łzami i lamentami. Musisz być od nich mądrzejszy. Nie wolno ci zboczyć z obranej drogi” - ostrzegał Akijew.

W słowach mistrza była mądrość, Zota musiał to przyznać. Został wysłany, aby przywrócić równowagę Gorgorze, a nie niańczyć sieroty. Lecz nie mógł zmusić się, by porzucić chłopaczka.

Opuszkami palców śledził maksymy wyryte na bo. Dłoń znieruchomiła przy głębokiej bruździe w połowie kija. Nacięcie było brzydkie i szpeciło kunszt rytów, ale Akijew nie pozwolił naprawić skazy, ponieważ Zota mógłby zapomnieć jej znaczenie.

– Twoja broń jest tak silna jak twój duch - powiedział mu Akijew w dniu, w którym na bo pojawiła się szpecąca szczerba.

Mnisi doskonalili ciała i umysły, przekuwając je w instrumenty boskiej sprawiedliwości. Miecze, kije i inne narzędzia walki były tak naprawdę zbyteczne. Zakon jednak cenił sobie szkolenie z użyciem różnorodnego uzbrojenia, ponieważ zwiększało to sprawność bojową. Nader często więc mnich władał biegle wybraną przez siebie bronią, używając jej jako przedłużenia dla swego doskonale zrównoważonego ducha, by zogniskować atak. Akijew był zwolennikiem tych metod i przez te

wszystkie lata poświęcił mnóstwo czasu na przekazanie Zocie filozofii korzystania z broni.

– Głupcy uznają twoje bo za kawałek drewna, coś, co łatwo można złamać - tłumaczył Akijew. - Lecz ono złamie się jedynie wtedy, kiedy się zawahasz. Dopóki krocysz ścieżką obowiązku, nic takiego się nie stanie.

Zota i jego mistrz stanęli na jednym z ogrodzonych murem placów klasztoru, dzierżąc prawdziwą broń. Czas ćwiczeń z użyciem nienaostrzonych mieczy i wydrążonych kijów dobiegł końca.

Młody mnich stanął do walki przepełniony pewnością siebie, która stopniała niczym śnieg w słońcu, gdy Akijew dobył bułatu. Szabla nie miała zdobień, lecz Zota wiedział, że nie była to zwyczajna broń. Nieustępliwy wykonał ją własnoręcznie, skuwał ze sobą kolejne warstwy stali, jedną po drugiej, miesiącami. Każdego ranka modlił się do Zeima, boga gór, aby ten wypełnił ostrze niepowstrzymaną siłą. Klinga cięła głazy i zbroje płytowe niczym wodę.

– Broń to jedynie ozdoba. - Akijew dostrzegł strach na twarzy Zoty. - Patriarchowie orzekli, że moje ostrze nie jest groźniejsze od twojego kija. Chcesz podać w wątpliwość ich mądrość?

– Nie - Zota starał się, by zabrzmiało to tak, jakby w to wierzył.

Rozpoczęli walkę. Kiedy Akijew wyprowadził pierwsze, potężne uderzenie, Zotę dopadło zwątpienie. Nie widział przed sobą miecza, lecz człowieka, który go dzierżył - człowieka, który zawsze nad nim górował, który nigdy nie uchylił się przed powierzonym zadaniem, bez względu na trud i przeszkody.

Bułat rozłupał kij, powalając Zotę na kolana. Jego mistrz wyrwał szablę i ryknął z furją:

– Głupcze! Mogłeś zginąć! Pozwoliłeś, żeby kierował tobą strach! - Popatrzył z odrazą na ubranego w zielono-niebiesko-białe szaty ucznia. -

Zbyt wiele w tobie rzeki... Czasem cicha i nieruchoma, czasem wzburzona.

Barwy odzienia Zoty symbolizowały Ymila, boga rzek, kojarzonego z emocjami, intuicją i życiodajnymi właściwościami wody. Niektórzy mnisi jednak, przede wszystkim Akijew, dowodzili, że Ymil jest kapryśny i zmienny. Ponieważ Zota wybrał tego boga na swojego patrona, Patriarchowie postanowili uczynić Akijewa jego mistrzem. Mieli nadzieję, że surowość starszego mnicha utemperuje żywiołowego młodzieńca. I vice versa.

– Nasze zadanie jest proste, nasze rozkazy jasne. Dlaczego wszystko komplikujesz swą niepewnością? - Akijew przyjrzał się nacięciu na kiju Zoty. - To cena nieposłuszeństwa. Tak właśnie się dzieje, kiedy uchylasz się od obowiązku. Pamiętaj, że gdy dmie wichur, drzewo, które się ugnie, zostanie złamane.

Księżyc był już wysoko, kiedy Zota przestał rozpamiętywać przeszłość. Zranił sobie kciuk od tarcia po postrzępionej bruździe na bo. Dziecko nadal spało. Wystarczyło jedno spojrzenie na chłopaka, by Zota poczuł gniew. Żałował, że w ogóle spotkał małego.

On się nie liczy, powiedział sobie. Przeszłość sieroty i tajemnice wymordowanej karawany tylko go rozpraszały. Gdy noc zbliżała się ku końcowi, mnich podjął decyzję. Na południe leżało kilka wiossek. Jeśli nie zostały splądrowane, znajdzie się tam ktoś, kto zaopiekuje się dzieckiem.

Gdyby jednak nie trafił do żadnej oazy bezpieczeństwa, w ciągu trzech dni będzie musiał dać chłopcu to, co okaże się jedynym możliwym rozwiązaniem: spokój.



Zota stanął w prześwicie między koronami drzew, napawając się ciepłem porannego słońca. Wzniósł się na palce, wyciągnął ręce ku niebu, a głowę

opuścił tak, że brodą dotykał piersi. Zastygł w tej pozycji, z zamkniętymi oczami, recytując cicho mantry, by oczyścić umysł.

Jego poranne medytacje stanowiły jedyną formę odpoczynku, na jaką mógł sobie pozwolić. Przez ostatnie tygodnie prawie w ogóle nie sypiał, podróżując za dnia, a w nocy pełniąc wartę.

Minęło pięć dni. A chłopczyk wciąż żył. Tak jak się Zota obawiał, osady po drodze były opustoszałe. Każdego dnia mnich wynajdywał nowe powody, by nie oddać małego bogom. Dzisiaj usprawiedliwiał swoje wahanie tym, że kolejna osada leży niedaleko.

– Miszka... to moje imię - oznajmił chłopiec, wrywając mnicha ze stanu skupienia.

– Zota - mruknął tamten, ponownie koncentrując się na mantrach.

Naraz mnich usłyszał obcy dźwięk, słodki trył, brzącający obco w Gorgorze. Zaskoczony otworzył oczy. Miszka grał na flecie.

Chłopiec opuścił instrument, jakby wyczuł spojrzenie towarzysza.

– Znasz *Szachraja z Omszałych Wzgórz*?

– Nie - odpowiedział zirytowany Zota, choć doskonale znał utwór. Była to dziecięca piosenka o niezwykłych przygodach, jedna z tych, które sam grał za młodu.

– To ulubiona piosenka mamy. Grała mi ją, kiedy byliśmy bezpieczni. - Miszka uśmiechnął się na poły słodko, na poły smutno. - Mogę cię nauczyć.

– To nie będzie... - zaczął Zota, ale chłopiec, nie czekając na odpowiedź, przyłożył flet do ust.

Zota westchnął i porzucił pozycję stosowną do medytacji.

Niech się chłopak cieszy, póki może. I tak wkrótce się to skończy, pomyślał.

Kiedy wyruszyli, Zota wziął chłopca na barana. Dwie noce wcześniej pędrak potknął się o powalone drzewo i niemal złamał rękę. Od tamtej pory

mnich niósł małego raz na jakiś czas, aby przyspieszyć tempo podróży i trzymać chłopca z dala od kłopotów.

Kiedy Zota przemierzał gęste górskie lasy, dziecko podjęło przerwana melodię. Mnich próbował ignorować piosnkę w nadziei, że chłopiec szybko się znudzi. Wkrótce nadszedł jednak wieczór, a Miszka nadal dmuchał w swój instrument.

Dopiero w nocy, po rozbiciu obozowiska, muzyka dotarła do Zoty naprawdę. Z zakamarków pamięci rozległo się echo śmiechu i wspomnienie bosych dzieci biegających między lepiankami krytymi strzechą, niewinnych i nieświadomych delikatnej równowagi między ładem a chaosem. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że wspomina swoje dzieciństwo.

„Kiedy wieje zły wiatr, drzewo, które się ugnie, zostanie powalone” - zadźwięczały mu w pamięci słowa mistrza.

– Dość! - Zota wyrwał Miszce flet i schował za pazuchę.

– Chciałem ci tylko zagrać piosenkę. - Chłopiec zmarszczył brwi.

– Wystarczyłoby raz, a nie tysiąc - warknął Zota. Kiedy zauważył, że Miszka spuścił głowę w poczuciu winy, dodał: - Ciemno już, a ty niepotrzebnie przyciągasz uwagę.

Miała to być tylko wymówka, usprawiedliwienie dla ostrego tonu, ale chwilę później słowa okazały się prorocze.

Dwa ostre gwizdy przeszyły nocną ciszę. Zota otworzył umysł na las, szukał ruchu, ale żaden z bogów nie chciał być mu przewodnikiem. Z lasu wychylnęło dwóch mężczyzn odzianych w podniszczone, niepasowane części zbroi.

Zota rozpoznał ich od razu. Najemnicy... brygandzi... Bezbożnicy.

Niepewnie zbliżyli się do obozowiska i wymienili spojrzenia. Jeden z nich, osiłek o grubych, żylastych ramionach i połyskującej bliźnie ciągnącej się od lewego ucha ku podbródkowi, popatrzył na Zotę i zawrócił na pięcie.

Drugi go zatrzymał. Miał gładko ogoloną, przystojną twarz, otoczoną kruczoczarnymi włosami sięgającymi ramion. Szmaragdowozielone oczy błysnęły chciwością, gdy wpatrywał się w Miskę.

– Noc jest ciemna, święty mężu. - Przeniósł wzrok na Zotę.

– Niechaj więc blask mego ogniska rozświetli ją dla was - Zota dokończył starożytne pozdrowienie. Przy tej dwójce nie musiał przypominać sobie poleceń Akijewa i od początku czujnie obserwował wędrowców. - Co was sprowadza tak głęboko w las? - zapytał, gdy przybysze usadowili się przy ogniu. Mnich oddychał miarowo, a na jego twarzy malował się spokój, ale zza tej maski przyglądał się ruchom i zachowaniu obcych, wyszukując słabe punkty. Mężczyźni byli uzbrojeni: osiłek w potężny topór, a jego towarzysz w półtorak przewieszony przez plecy.

– To samo co ciebie - odpowiedział przystojniak, ogrzewając ręce. - Mnisi nie mogą być wszędzie, więc twój zakon poprosił o pomoc najemne ostrza.

Kłamstwa, miał ochotę odpowiedzieć Zota, ale się powstrzymał. Myśl, że Patriarchowie mogliby wykorzystywać bandytów do pomocy w świętych misjach, była świętokradztwem. Bezbożnicy czcili tylko jedno: złoto.

– Kiedy Patriarchowie wydali ten dekret?

– Nie oni. Jeden z twoich braci przemierzający te okolice. Opowiedział nam o demonie, który snuje się po tym lesie. O małym, podstępny diablęciu przebrany za ślepe dziecko o licach i włosach białych jak śnieg. - Uśmiechnął się do Miszki. - Zdaje się, że nas uprzedziłeś i już odnalazłeś diabelskie nasienie.

Miszka oburzył się na te słowa:

– Nie jestem demonem!

– To czemu jesteś związany? - zarechotał mężczyzna z blizną.

– Ten, kto mnie goni, jest demonem. Zabił mamę i innych. - W oczach Miszki zaczęły się zbierać szkarłatne łzy.

– Krwawe łzy... - Czarnowłosa się wzdrygnął. - Możeś i nie demon, ale na pewno przeklęty.

– Nie robię tego specjalnie. Taki się urodziłem. Mama mówiła, że tylko głupcy myślą, że to klątwa. - Miszka wyciągnął spętane ręce, szukając Zoty.
- Wierzysz mi, prawda?

– Cicho - nakazał mnich. Przenikały go strach i niepewność.

Nic w Gorgorze nie jest takie, jak się wydaje.

Możliwe, że jakiś głupiec z zakonu wynajął do pomocy brygandów. I jeśli mnich ów uznał chłopca za demona... Czyżby Zota dawał się zwodzić cały ten czas?

Nie. Obserwował chłopca od wielu dni. Miszka był tylko dzieckiem, choć przeklętym przez bogów. Wieści o szkaradnym niedorostku wędrującym przez las na pewno się rozniosły, a tamten drugi mnich musiał uznać, że w takim gadaniu o demonie kryje się ziarno prawdy.

– Gdzie ten mnich? Muszę pomówić z nim o dziecku.

– O demonie znaczy się? - poprawił czarnowłosa. - Ostatni raz widzieliśmy go na zachód stąd. To on znajduje nas, nie my jego.

– Oddaj nam stwora - wtrącił człowiek z blizną. - Mnich obiecał nam za niego nagrodę, tyle złota, ile waży ta szkarada. Potrzebujemy pieniędzy. Od wielu dni żywimy się korzonkami i padliną.

Zota go zignorował.

– Na zachód, powiadasz. Odszukam go.

– Pójdziemy z tobą - oznajmił osiłek. - Mnich jest nam coś winny za nasz trud.

– Wasze zadanie dobiegło końca. - Zota powstał i podniósł Miszkę.

– Wnoszę, że masz nas czym spłacić? - zapytał ten bardziej urodziwy.

– Możecie liczyć na wdzięczność Patriarchów.

Mężczyzna z blizną splunął pod stopy Zoty. Jego kamrat westchnął.

– Widzisz, i tu rodzi się problem. Obowiązek i honor są w porządku dla ciebie i twoich łysych braci, ale dla nas nie mają wielkiej wartości.

Zota wziął kilka oddechów, aby stłumić gniew. Zbyt długo musiał znosić obecność tej dwójki.

– Dlatego właśnie żyjecie w brudzie i hańbie.

Mężczyzna z blizną zachnął się, ale jego kompan jedynie zaśmiał się z pogardą. Śmiejąc się, dobył półtoraka.

– Uparty, co? - rzucił. - Twoja broda jest znacznie krótsza niż u tego drugiego. Pewnie nie tak dawno jeszcze wisiałeś u świętego cyca Patriarchów w tej waszej wylęgarni na górze.

Zota stał w bezruchu, napiął mięśnie.

– Wystarczająco dawno, żeby rozprawić się z dwójką bezbożników.

– Z dwójką może, ale co powiesz na trójkę?

Czarnowłosa gwizdnął.

W ciemności za Zotą brzęknęła zwalniana cięciwa i strzała ze świstem rozdarła powietrze. Mnich zawirował i zamachnął się kijem, łamiąc pocisk w połowie, jakąś stopę przed swoją piersią.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, jak czarnowłosa rusza wokół ogniska, by dopaść Miskę. Zota wyrzucił ramię z kijem w kierunku płomieni. Fala powietrza przetoczyła się z bo w ogień i zasypała bandytę płonącymi szczapami. Większość odbiła się od zbroi, ale jedna smolna drzazga trafiła napastnika w oko. Mężczyzna zawył potwornie. Czarne włosy zajęły się płomieniem.

Osilek przeskoczył nad ogniskiem i z uniesionym toporem wylądował przed mnichem. Zota nawet nie drgnął. Bandyta opuścił potężną broń. Mnich z gracją zrobił krok w bok. Topór wbił się w ziemię. Zota uderzył

przeciwnika kijem w ramiona. Pękły, bryzgając czerwienią, niczym garnce pełne wina, obnażając potrzaskane kości.

Za plecami Zota znów usłyszał brzęk cięciwy. Zanurkował w bok, strzała przemknęła nad jego ramieniem i wbiła się w pierś człowieka z blizną. Niewidoczny napastnik zaklął szpetnie, szelest i trzaski gałęzi świadczyły, że czmycha w głąb lasu.

Zota rozejrzał się czujnie. Ten przystojny też już nie żył, skóra na jego szyi i twarzy pokryta była krwią i pęcherzami. Ale Miszka zniknęła.

– Miszka? - Mnich poczuł ukłucie trwogi.

– Tutaj. - Chłopiec wygramolił się spod powalonego pnia. - Oni kłamali. Demon wysłał...

– Milcz! - ryknął Zota.

Myśli kołatały mu w głowie. Słyszał głos besztającego go Akijewa: „To wszystko podstęp, ma uspić twoją czujność. Jak możesz być tak głupi, że tego nie widzisz?”.

– Dlaczego mi nie wierzysz? - Miszka złapał Zotę za rękę.

Co za ironia losu... Oto dziecko, które wiele dni temu Zota postanowił zabić, stało przed nim niczym wcielenie niewinności. I dokładnie wtedy mnich zrozumiał, że Miszka przypomina jego sprzed lat. Chłopca pełnego nadziei, zaufania i tego wszystkiego, czym tak gardził Nieustępliwy, bo były to przeszkody na ścieżce obowiązku. Zota myślał dotąd, że zabił w sobie to dziecko podczas szkolenia.

Ale ono nigdy tak do końca nie umarło. I teraz dzięki temu Zota z niezwykłą jasnością zrozumiał oczywistą prawdę: Miszka był tylko chłopcem, samotnym, przerażonym i ślepym. Dzieckiem potrzebującym przewodnika, który przeprowadzi je przez cienie Gorgorry. Nie bez powodu bogowie losu skrzyżowali ich drogi.

– Mów prawdę - nakazał Zota. - Co to za demon? Dlaczego cię ściga?

Chłopiec z wahaniem przygryzł dolną wargę.

– Ojciec go wysłał - wykrztusił wreszcie.

– Co za człowiek tak postępuje?

– Mój ojciec... ojciec nie jest człowiekiem - wyjaśnił wstydliwie Miszka.

Potem zdradził mnichowi tajemnicę swojej przeszłości.



Gęsta mgła spowiła Gorgorrę, stłumiła światło dnia i malowała las barwami rozkładu. Minęło sporo czasu, odkąd Zota wyruszył z Miszką na plecach. Skierowali się na zachód. Chciał znaleźć mnicha, o którym mówili bezbożnicy, ale zaczynał czuć złość na siebie, że znów jak głupiec uwierzył im na słowo.

Parł jednak naprzód. Jeśli naprawdę był tu ktoś z zakonu, Zota musiał go znaleźć i przekazać prawdę o ślepym chłopcu. Mały do późna opowiadał mnichowi swoją historię, historię tak bluźnierczą, że od samego słuchania Zota czuł się zbrukany. Im dłużej o niej myślał, tym bardziej nieprawdopodobna mu się wydawała. Jak mam przekonać mnicha o prawdzie, skoro sam w nią wątpię?

Uciszył zwątpienie i szedł dalej. Po godzinie mgła zaczęła się podnosić. Dotarli na małą polanę, Zota wyczuł kadzidło. Woń była ledwie wyczuwalna wśród aromatu wilgotnej ziemi i zapachu lasu. Trochę to trwało, zanim Zota wychwycił nuty róży krwistoczerwonej oraz drzewa jadeitowego. Ale gdy wychwycił, zamarł.

Znał ten zapach.

– Co się stało? - zaniepokoił się Miszka.

Zota nie odpowiedział. Nie zdołał. Skamieniał. Znał ten zapach równie dobrze jak własny. Kadzidło Akijewa, aromat spowijający starszego mnicha na każdym treningu.

Zota nagle poczuł się mały i słaby... zupełnie jak chłopiec, którym był, zanim Akijew zabił w nim tę część, a przynajmniej próbował...

Tamtego ranka, gdy po raz pierwszy spotkał starszego mnicha, powietrze było czyste i przejrzyste. Nieustępliwy wezwał go do siebie o wschodzie słońca na jeden z klasztornych tarasów. Młody mnich słyszał wiele opowieści o sile mistrza, nie mógł się doczekać, aż go pozna i rozpocznie trening.

Lecz właśnie tego dnia Zota pożegnał błogie dzieciństwo. Szybko nauczył się, że Nieustępliwy jest osobliwością w zakonie, człowiekiem, który gotów jest zrobić wszystko, żeby wypełnić polecenia. Jego sile i odwadze dorównywały jedynie fanatyzm i nieustępliwość.

– Skacz - rozkazał Akijew, wskazując za krawędź tarasu, na dwustumetrowe urwisko.

Dopiero po chwili Zota zrozumiał, że stary mnich nie żartuje. A wtedy ogarnął go strach. Wiedział, że zginie, jeśli posłucha rozkazu, ale też w głębi duszy wierzył, że będzie bezpieczny. To przecucie nie płynęło z potrzeby ślepego wykonywania rozkazów, ale z głębi jego jestestwa. Ostatecznie jednak Zota uznał, że to czyste szaleństwo.

Kiedy mistrz złapał go za szaty i zaciągnął na skraj urwiska, Zota zaczął wołać o litość. Nieustępliwy w odpowiedzi na te błagania rzucił go w przepaść. Zota zamknął oczy, szykując się na śmierć, lecz nieoczekiwanie uderzył w skalną półkę dwa metry niżej - półkę, której tam wcześniej nie było.

Wtedy nie wiedział jeszcze, że klasztor kryje wiele tajemnic: ściany nie były ścianami, a schody schodami - liczne iluzje miały na celu utrzymanie akolitów w ciągłej czujności.

Po upadku Zoty Akijew wciągnął go z powrotem na taras. Młody mnich trząsł się konwulsyjnie.

– Drżysz jak listek na wietrze - zbeształ go mistrz. - Strach cię niewoli. Dlatego nigdy nie zostaniesz mnichem. Jesteś tylko przestraszonym chłopcem, dla którego nie ma miejsca w tym zakonie.

Zota zebrał się na odwagę, aby spojrzeć Akijewowi w oczy. Nieustępliwy zapytał:

– Wybieraj. Jesteś tym chłopcem czy mnichem?

– Nie jestem chłopcem. - Zota otarł łzy.

– Dobrze zatem. Jeśli jeszcze raz ujrzę tego chłopca, nie będzie półki, która mogłaby uratować go przed upadkiem.

Zota przestał wspominać i potrząsnął głową. Tego dnia nie zaufał intuicji. Nie po raz ostatni. Przez lata Nieustępliwy z prawdziwą zajadłością próbował wykorzenić u młodego ucznia zaufanie do przeczuć, zwłaszcza w trudnych sytuacjach. To, czy Zota miał rację, czy nie, dla Akijewa się nie liczyło. Uważał, że poleganie tylko na sobie samym upośledza zdolność do wykonywania poleceń Patriarchów i wypełniania boskiej woli.

– Co się dzieje? - zapytał Miszka, schodząc Zocie z pleców.

– Nic. - Zimny niepokój ścisnął mu żołądek. Gdyby to był jakikolwiek inny mnich, może Zota zdołałby go przekonać o niewinności Miszki. Ale nie Akijewa. Nie Nieustępliwego.

Zota już chciał zawrócić i odejść, lecz zanim zdążył wprowadzić haniebną myśl w czyn, mistrz odnalazł jego i Miszkę. Akijew wyszedł zza olbrzymiej sosny, prowadząc juczną bestię obładowaną skórzanymi torbami różnych rozmiarów. Wyglądał jak zawsze - spokojny i opanowany, bez śladu siwizny w czarnej brodzie. Kręgi ładu i chaosu na jego czole nadal rysowały się wyraźnie, zupełnie jakby wytatuowano je wczoraj, a nie wiele lat temu.

– Zota - rzekł Akijew. Obrzucił krótkim spojrzeniem Miszkę, ale na jego twarzy nie odmalowało się zaskoczenie.

– Mistrzu. - Zota złożył dłonie i pokłonił się nisko.

Starszy mnich powoli zrobił kilka kroków i zatrzymał się przed dawnym uczniem. Zota o głowę przewyższał mistrza, ale i tak miał wrażenie, że stoi przed olbrzymem.

– Obawiałem się, że nie jesteś jeszcze gotowy, ale chyba dowiodłeś, że nie miałem racji. - Akijew spojrział na Miskę. - Udało ci się to, czego ja nie zdołałem uczynić. Zaiste niezbadane są ścieżki bogów.

Pierś Zoty wypełniła duma. Akijew nigdy wcześniej go nie chwalił. Zawsze widział niedociągnięcia i błędy w tym, co czynił jego uczeń. Podczas pobytu w klasztorze młody Zota widział, jak inni mistrzowie nawiązywali pozytywną więź z akolitami. Kiedy uczniowie popełniali błąd, nie zawsze ich karano, częściej pokazywano, co należało zrobić. Z Akijewem było inaczej. Zota otrząsnął się z odurzenia wywołanego niespotykaną pochwałą mistrza i przypomniał sobie, że waży się los dziecka.

– Szukasz demona, lecz chłopiec ten... - zaczął Zota, lecz mistrz mu przerwał.

– ...nie jest chłopcem. Nic w Gorgorze nie jest takie, jak się wydaje. Popatrz tylko, co stało się z tym świętym miejscem. Równowaga została utracona. Dla takiej chwili jak ta szkolimy się całe życie. - Akijew ściszył głos do szeptu i wskazał na Miskę: - Bogowie ładu drżą w niepokoju. To plugastwo w skórze dziecka, kolejny znak, że źle się dzieje.

Chłopiec ani słowem się nie odezwał. Zota zrozumiał nagle, że dziecko było sparaliżowane ze strachu. Z oczu płynęła mu krew, dygotał.

– To demon! - krzyknął nagle. - Ten demon!

– Widzisz - Akijew pozostał niewzruszony - plugawy stwór posunie się do kłamstwa, aby ukryć swoje prawdziwe oblicze.

Plugastwo. Absurdalność historii Miszki przygniatała Zotę nieznośnym ciężarem. Młody mnich wiedział, że musi działać szybko, zanim dopadnie go zwątpienie, dlatego oczyścił umysł i przypomniał sobie opowieść dziecka...

Zeszłej nocy Miszka wyznał, że jest synem jednego z Patriarchów i jego konkubiny. Z powodu kalectwa potomka ojciec chciał skazać go na śmierć, ale matka przekonała Patriarchę, aby zamknął dziecko w iwogrodzkim pałacu. Tam Miszka żył przez wiele lat w odosobnieniu, dopóki z nieba nie spadł ogień, dopóki opowieści o mrocznych siłach w Gorgorze i innych rejonach nie dotarły do Iwogrodu, a strach i obłąd ogarnęły królestwo. Prosty lud przerażony zwracał się ku Patriarchom w poszukiwaniu odpowiedzi... zbawienia.

Patriarchowie byli głosem samych bogów, patronami prawości. Spłodzenie przez jednego z nich dziecka o wyglądzie Miszki w najlepszym wypadku uznane zostałyby za zły omen. Ale w tych ponurych i złowieszczych czasach posiadanie takiego potomstwa podałoby w wątpliwość nieskalaną czystość Patriarchów. Z tego powodu, jak wywnioskował Zota, święty przywódca postanowił pozbyć się syna. Tylko dzięki staraniom matki i garstki lojalnych sług Miszka uniknął śmierci i został wywieziony z Iwogrodu w samo serce Gorgorry.

Kiedy Zota skończył opowiadać, Akijew patrzył na niego uważnie. Nie podważył historii ani nie zadał żadnego pytania. Powiedział tylko:

- Usłyszałeś jedynie kłamstwa, którymi karmił cię demon.
 - Wiem, że to niewiarygodne, ale wierzę, że jest niewinny.
 - Wierzysz?! Czy przysiągłbyś na honor adepta zakonu, że to prawda?
 - Tak - odrzekł Zota, ale w jego głosie brak było przekonania.
- Akijew opuścił głowę i wziął głęboki oddech.
- Zatem myliłem się...

– Jak mówiłeś: nic w Gorgorze nie jest takie...

Akijew przerwał mu nagłym kopnięciem z półobrotu, które trafiło Zotę w mostek i wypchnęło z płuc powietrze.

Świat ogarnęła ciemność, rozdzwoniły się niewidzialne dzwony. Gdzieś z oddali Zota usłyszał krzyk Miszki. Kiedy odzyskał wzrok, ujrzał, że Akijew stoi obok i trzyma dziecko za włosy.

– Myliłem się co do ciebie - rzucił gniewnie Akijew. - Jak mogłeś tak bardzo zboczyć z drogi? To właśnie jeden z Patriarchów powiedział mi o demonie! Kim jesteś, by kwestionować słowa pomazańca?

Zota próbował wstać, wspierając się na kiju. Uderzyły go słowa Nieustępliwego.

Jeden z Patriarchów nakazał mu to zrobić. A ośmiu pozostałych nie miało swojego udziału w tej misji?

– Zabij stwora... - rozkazał Nieustępliwym - a twoje grzechy zostaną ci odpuszczone.

Chęć, by posłuchać rozkazu, była przemożna. Tak długo żył wedle nauk swego mistrza, że sprzeciw przyprawiał Zotę o fizyczne cierpienie. Jednak wewnętrzny głos szeptał mu, że tak właśnie należy postąpić. Intuicja, przeczucie, przebłysk zrozumienia, które przez lata treningu Akijew próbował w Zocie stłumić. Stały w sprzeczności ze wszystkim, czego młodzieńca uczono, ale na swój niewytłumaczalny sposób lśniły blaskiem prawdy.

– Nie... On nie jest... - zdołał wydusić Zota, dysząc charkotliwie.

Mistrz westchnął.

– Miałem nadzieję, że będziesz silny, że przezwycięzysz słabość. Ale nadal jesteś chłopcem. Tylko siebie mogę winić za twoją porażkę.

– Bogowie są niespokojni, sam mówiłeś, mistrzu - zaczął Zota, zbierając się w sobie, by wygłosić bluźnierstwo. - Patriarcha, który cię wysłał, nie

dba o zachowanie równowagi. Demon, którego szukasz, jeśli w ogóle istnieje, jest gdzie indziej.

Akijew wbił mu kolano w brzuch. Młody mnich upadł. Podniósł wzrok na zbliżającą się dłoń mistrza. Poczul rwący ból w czole i ciepło zalewające mu oczy i nos. Kiedy Akijew cofnął dłoń, Zota ujrzał w niej krwawy płat skóry z wytatuowanymi symbolami ładu i chaosu.

– Nie masz już prawa nosić tych świętych znaków! Nie jesteś mnichem... Natychmiast wróć do klasztoru i czekaj na moje przybycie. Patriarchowie osądzą twoje świętokradztwo.

Nieustępliwy odwrócił się, ciągnąc za sobą Miskę. Zwalczywszy wstyd, Zota powstał. Świadectwo porażek oraz nauk wyryte na kiju zdawało się palić jego dłoń żywym płomieniem.

Gniew... gniew za te wszystkie razy, kiedy Akijew go pokonał, za te wszystkie chwile, kiedy Zota chciał uwierzyć w siebie tylko po to, by Nieustępliwy odebrał mu te wiary, gniew gorzał w sercu Zoty niczym płomień.

Rzucił się na Akijewa, pokonując dzielący ich dystans. Uderzył mistrza kijem w szyję. Od siły ciosu zadrżały ramiona młodego mnicha, jakby napotkały litą skałę. Kij się ugiął, inskrypcje przecięła długa szczelina.

Akijew zachwiał się lekko, lecz to wystarczyło, by Miska zdołał się wyrwać.

– Ukryj się, jak ci matka kazała! - wykrzyczał doń Zota. - Nie wychodź, aż usłyszysz melodię!

Potykając się, Miska zniknął w lesie. Zota wiedział, że chłopiec sam daleko nie zajdzie. Ale Akijew chwycił przynętę. Dobył bułata i natarł na swego ucznia, ostrze szabli zamigotało blado w leśnym półmroku. Zota skierował bo w pierś Nieustępliwego. Akijew bez trudu sparował uderzenie i zamachnął nisko szablą z oślepiającą szybkością. Zota równie szybko

zrobił obrót, odbił się od ziemi, a następnie od drzewa z tyłu i przeskoczył nad starszym mnichem.

Ostrze Nieustępliwego przecięło pień. Ogromna sosna zaczęła się chwiać, zagrażając stojącej na polanie jucznej bestii. Zwierzę prychnęło i ociężale ruszyło przed siebie. Grzbietem zahaczało o niskie konary, gubiąc w nieładzie juki i torby. Zota drgnął, gdy sosna z potężnym hukiem uderzyła w ziemię.

Rzeczy Akijewa rozsypały się na wszystkie strony. Największa torba rozerwała się, a ze środka wytoczył się przedmiot pokryty solą i ziołami. Błady, gnijący, zdobny w pasma czarnych włosów.

Głowa kobiety. Usta rozwarte w niemym krzyku.

Fragmenty układanki ułożyły się w całość. Wymordowana karawana. Ciało bez głowy. Demon.

Zota popatrzył na Akijewa z niedowierzaniem. Może i jego dawny mistrz był najokrutniejszym i najbardziej surowym z mnichów, ale Zota nie przypuszczał, że Nieustępliwym mógł kiedykolwiek stać się zwykłym mordercą.

Nie wyobrażał sobie, aby w jakichkolwiek okolicznościach Patriarchowie mogli zaaprobować rzeź karawany. Nie, to wszystko nie tak. Oczywiście, że ojciec Miszki był jednym z Patriarchów oddanych chaosowi i że działał bez wiedzy pozostałych władców. Możliwe, że dlatego wybrał Akijewa - człowieka, który bez wahania wykonywał rozkazy.

Akijew nawet nie spojrzął na głowę. Ciął bułatem w lewe ramię Zoty, idealnie wymierzony cios rozerwał mięśnie. Ręka młodego mnicha zwisała bezwładnie. Odsunął się o kilka kroków, żeby dojść do siebie.

Zota zamachnął się kijem, markując uderzenie w głowę, a następnie wymierzył Nieustępliwemu kopniaka w brzuch. Akijew złapał go za kostkę i rzucił na powalone drzewo.

Zanim Zota zdołał przetoczyć się na bok, Akijew uniósł ramię, by przebić ucznia bułatem. Zota machnął kijem, aby sparować cios, ale nagle poczuł się zupełnie bezradny. Miał dotrzymać pola legendzie! Jego umysł ogarnęło zwątpienie, tak jak podczas treningów. Szabla rozłupała bo, ale kij zdołał osłabić i odbić atak. Bułat Akijewa ciął poprzecznie pierś, zostawiając płytką ranę.

Zota, podparłszy się zdrową ręką, próbował wstać, ale padł na kolana powalony bólem.

– Walczysz tak, jak sądziłem, bez wdzięku i w sposób nieprzemyślany - stwierdził Akijew.

– Wiesz, że chłopiec nie jest demonem - zdołał wykrztusić Zota.

– Wiem tyle, ile powiedział mi Patriarcha. Nie kwestionuję jego słów.

– Karawana... Zamordowałeś tych ludzi.

– Wypełniłem swój obowiązek.

– Obowiązek kazał ci nająć bezbożników? Mordować niewinnych?

– Bandyci byli moim narzędziem, tak jak ja jestem narzędziem boskich rąk. Posłałbym ich bogom na sąd, gdyby dostarczyli mi demona. A co do uchodźców, ukrywali stwora. Kiedy zapytałem, gdzie się schował, przeklinali Patriarchów. Wędrowcy zginęli jak psy, którymi byli.

Akijew wskazał na ściętą głowę.

– Należy do diablicy. Wziąłem to na dowód jej śmierci. Była niewolnicą demona-dziecka. Wszetecznicą, którą stwór wysyłał do wioski, żeby zwabić nowe ofiary.

– Kłamstwo - zaproponował Zota. - Jego ojciec, Patriarcha, uciekł się do morderstwa ze strachu. Bał się, że lud uzna go za nieczystego, że poddani obrócą się przeciw niemu, jeśli wyjdzie na jaw, że spłodził kalekie dziecko. Porzucił równowagę dla własnych celów.

– Nigdy nie pojmiesz, czym jest obowiązek - skrzywił się Akijew. - Potępiasz moje czyny, patrząc na nie ludzkim okiem, lecz kieruje mną wola bogów. Jesteś gorszy od heretyków. Jesteś plamą na honorze moim i całego zakonu. Oddam cię bogom pod sąd.

– Wiesz, że to tylko chłopiec, prawda? A jednak wolisz zignorować prawdę - powiedział Zota, gdy Nieustępliwy wznosił szablę nad jego głowę. W oczach mistrza błysnęło zwątpienie.

Akijew uderzył. Czas zwolnił, kiedy klinga zaczęła opadać... niżej... niżej... niżej... Nagle Zota doznał olśnienia, zdał sobie sprawę, że to nie on zboczył z drogi, lecz Akijew. Nieustępliwy w swej słabości ugiął się pod naporem chaosu i zamknął oczy na prawdę.



Zota wznosił modły do milczących bogów o siłę. Jeśli w Gorgorze pozostało cokolwiek niewinnego, był to Miszka. Młody mnich skupił się na tej jednej myśli, przypomniał sobie, że przez cały czas kierował się prawami równowagi. Stłumił strach i ból, koncentrując się na grzbiecie prawej dłoni, prosząc, by wypełniła się siłą, po czym uderzył w nacierające ostrze.

Klinga zatrzymała się w jego dłoni. Szabla miała ciężar głazu, ale nawet nie drasnęła skóry Zoty, a on wiedział, że nie ugnie się tak jak Akijew. Nie złamie się.

– To tylko chłopiec - wycedził przez zęby, objąwszy ostrze palcami. - Jeszcze możesz zrobić to, co należy!

– Milcz! - ryknął starszy mnich. Pot skropił mu się nad brwiami, gdy próbował wyrwać bułat z uścisku Zoty. Kiedy zrozumiał, że nie zdoła, naparł na ostrze ze wszystkich sił.

Nie ugnę się. Nie złamię.

Młody mnich z pierwotnym rykiem zgiął nadgarstek. Broń Akijewa złamała się jak sucha gałązka i starszy mnich runął z impetem do przodu. Zota obrócił złamane ostrze i z wysokiego zamachu przeciął szyję Akijewa tak szybko i sprawnie, że głowa oddzieliła się od ciała, dopiero gdy starszy mnich runął na ziemię.



Zota nie pamiętał, jak długo leżał na plecach i patrzył w bezchmurne niebo, równie czyste jak jego umysł. Nie pamiętał też nic z tego, co zrobił po wstaniu: ani opatrywania ran, ani uzdrawiających mantr, ani tego, jak z niesprawną ręką udało mu się zbudować stos pogrzebowy dla Akijewa. Pamiętał tylko, że przyłożył flet do ust i zaczął grać. Pamiętał strach, że zapomniał melodię, wszak ostatni raz grał tę piosenkę, gdy był dzieckiem.

Ale chyba nie pomylił tonów, bo Miszka wyszedł na polanę.

– Zota? - zapytał nieśmiało.

– Tutaj.

Miszka poszedł za jego głosem i stanął obok.

– Demon...

– To nie był demon i już nie żyje - odpowiedział Zota.

Rozwiązał Miszce ręce i doprowadził do głowy jego matki. Chciał pozwolić dziecku pożegnać się, zanim zostanie oddana bogom. Ale dziecko odpowiedziało tylko:

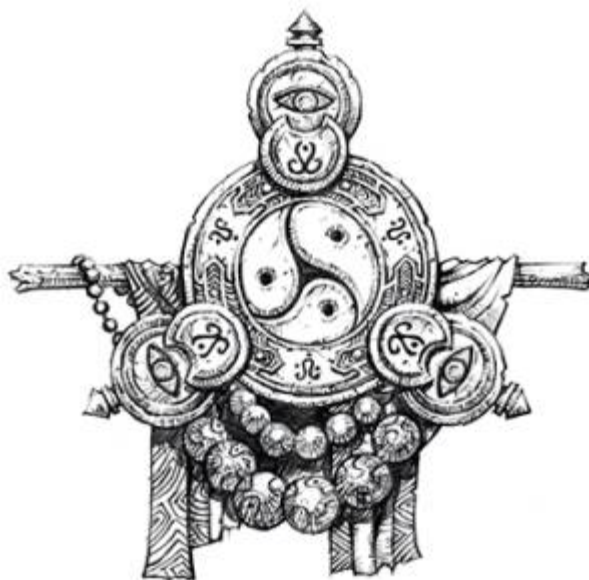
– Nie... Nie muszę. Mam piosenkę.

Ukończywszy pracę, Zota zastanowił się, w którym kierunku wyruszyć. Nie był pewien, jak zareaguje Patriarcha, jeśli Akijew nie wróci z dowodami śmierci Miszki. Zota wiedział jednak, że władca nie znajdzie drugiego takiego mnicha jak Nieustępliwy, który bez sprzeciwu wykona

każdy rozkaz, dopuszczając się aktów bezsensownego okrucieństwa i siejąc zniszczenie wbrew prawom równowagi.

Pomimo potworności, których stał się świadkiem, świadomość, że Akijew i Patriarcha byli wynaturzeniem, przynosiła Zocie ukojenie. Tak jak i obecny stan samej Gorgorry, ich występki były świadectwem nadejścia niespokojnych czasów, złem, które można było naprawić. Pozostali mnisi, czcigodni i honorowi wojownicy, którzy nigdy nie dopuściliby się tego, co Akijew, ryzykowali życie, aby przeciwstawić się rosnącej potędze chaosu. Nie odwracali się od słusznych zasad, na których zbudowano klasztor, i Zota też się od nich nie odwróci. Oni, podobnie jak Zota, nie zamykali oczu na niesprawiedliwość i nie ufali ślepo dogmatom zakonu.

Ująwszy Miskę za rękę, wyprowadził chłopca z polany. Ruszyli na północ, do Iwogrodu. Należało przekazać zakonowi relację ze zdarzeń, których Zota był świadkiem. Nigdy jeszcze jego droga nie jawiła się tak jasno i po raz pierwszy w życiu czuł, że rozumie, co to znaczy być mnichem.





Michael Chu
ŚWIETLIK





Wiele jest opowieści o czarodziejce, lecz - zechciej wybaczyć - tylko ja znam tę prawdziwą. To moje brzemie, tak jak i to, co nadejdzie później. Zakończenie nie jest żadną tajemnicą. Zapisane w strzaskanych kamieniach i walących się murach wokół nas, powtarzane szeptem z ust do ust.

Lecz jeśli chodzi o magię, nic nie jest proste. To, co się widzi i słyszy, stanowi zaledwie część opowieści. Wracam powoli do zdrowia, leżąc w łóżku, zapewniony przez uzdrowicieli, że będę żyć. Nie mam co robić, jak tylko przesiewać blednące już wspomnienia minionych dni w nadziei odkrycia jakiegoś wzoru, który zapowiadałby nadejście tego kataklizmu. Znam tę dziewczynę lepiej niż ktokolwiek inny, lepiej niż ona sama, aczkolwiek nie sądzę, żeby kiedykolwiek to potwierdziła. Możliwe, że jest najpotężniejszym magiem naszych czasów. Ma czyste serce i nie pragnie niczego, jak tylko czynić dobro, ale jest przy tym nierozważna i przekonana, że żadna porażka nie może stać się jej udziałem, co zwykle idzie w parze z młodością i błyskotliwością. Nie ma zasady, której by nie złamała. I nigdy nie potrafiła zrozumieć, co znaczą słowa: nie możesz i nie powinnaś. Tak było, odkąd spotkałem ją po raz pierwszy wiele lat temu.

W dniu takim jak ten.



Czarodziejka Isendra wkroczyła do mojej komnaty, prowadząc młodą dziewczynę. Te dwie różniły się od siebie jak ogień i lód. Isendra nosiła się po królewsku, wyglądała dostojnie i przepysznie w zielonych szatach i złotej biżuterii. Dziewczynka zaś przypominała ptaszka, główka niemalże obracała jej się na ramionach, strzelała oczyma na boki, zafascynowana otoczeniem: księgami na półkach, rzędami butelek wypełnionych magicznymi eliksirami i proszkami oraz tajemną aparaturą, której przeznaczenie nawet dla mnie było zagadką. Jej strój niewiele był lepszy od szmat. Bez trudu mogłaby udawać jedno z krzykliwych dzieci żebrzących na bazarze w Kaldeum. Długie ciemne włosy wisiły splątane, bez blasku i miękkości, pozlepiane brudem i błotem. Cała zresztą była umorusana, skórę miała osmaloną przez słońce, a wargi spierzchnięte.

– To ona? - zapytałem Isendrę, przyglądając się zaniedbanemu dziecku, które przyprowadziła.

Isendra obrzuciła je nieufnym spojrzeniem.

– Znalazłam ją na dziedzińcu, wyzwala Mattiza, Allerna i Talię na pojedynek - w głosie czarodziejki brzmiało niezadowolenie. - Chętnie przyjęli jej wyzwanie.

– Wygląda na to, że doświadczenie nie poczyniło jej krzywdy - skonstatowałem. - A pozostali?

– Mattiz i Allern są opatrywani. Co do Taliyi, to ucierpiała tylko jej duma.

Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko, słysząc te słowa.

– Może dobrze się stało - stwierdziłem. - Tej trójce przyda się lekcja pokory. Później się nimi zajmę.

– Ale teraz zajmiesz się MNA, starcze - wtrąciła dziewczynka. Pewność siebie właściwa dzieciom pozwalała jej przemawiać tonem władczym i nieznośnym sprzeciwu.

– Potrafi mówić - uśmiechnąłem się do Isendry.

– A owszem - zgodziła się oschle czarodziejka. - I nie przebiera w słowach.

– Kim jesteś? - zapytała z naciskiem dziewczynka. - Po co mnie tu sprowadziłeś?

– Nazywam się Valthek, jestem członkiem wysokiej rady Vizjerei, mistrzem klanów magów z Sanktuarium Yshari.

Dziewczyna zamilkła na dłuższą chwilę, mierząc mnie wzrokiem.

– Ty? - zapytała w końcu.

Zaśmiałem się.

– Powiedz mi, dziewczusko, kim jesteś i po co przybywasz? Na pewno nie po to, aby posyłać moich uczniów do lazaretu.

– Nazywam się Li-Ming. I nie jestem dziewczuszką. - Dziewczynka wyprostowała się dumnie. - Jestem CZAROWNICĄ.

– Śmiałe słowa.

Z niejakim trudem ukryłem rozbawienie, gdy nazwała się czarownicą, tytuł „czarownika” zarezerwowany był dla najbardziej niesławnych magów w historii - takich, o których zwykli ludzie mówili ze strachem, a ci obeznani w sztukach magicznych - ze zgrozą.

– To więcej niż tylko słowa - zapewniła groźnie Li-Ming.

Wzniosłem rękę w pojednawczym geście.

– Udowodnij zatem.

Ledwie skończyłem mówić, a potężny wicher zmiótł z mego biurka wszystkie dokumenty, księgi, kałamarze i inne przedmioty, tworząc z nich bezładny stos na podłodze. Moja twarz ani drgnęła, dziewczyna uznała to za zachętę dla dalszej demonstracji. Rozpostarła ramiona, z jej dłoni wystrzeliły jężory ognia, sięgając sufitu. Podmuch gorącego powietrza rozwał jej włosy, czerwień pożogi odbijała się w brązowych oczach.

Wzruszyłem ramionami.

– Kuglarskie sztuczki.

Li-Ming zacisnęła zęby ze złością. Złożyła dłonie i płomienie zniknęły, choć powietrze pozostało gorące. Ruchem ręki przywołała wijące się czerwono-pomarańczowe wstęgi ognia, które zatańczyły na środku mojego biurka. Po kolejnym skinieniu rzędy książek wysunęły się z półek i zawisły w powietrzu. Zmusiła je, by przeleciały przez pokój, otoczyły ją spiralą, jakby złapane w wir tornada, a potem jedna po drugiej ułożyły się w tron. Li-Ming zasiadła na nim i popatrzyła na mnie wyzywająco.

Uniosła brew, na co ja zaklaskałem powoli, z umiarkowanym entuzjazmem.

– To wszystko, na co cię stać, dziewczuszko? - Machnąłem ręką, gasząc płomienie na biurku i burząc tron z książek, na którym siedziała. Li-Ming w porę zerwała się, uniknąwszy upadku. - Ludzie bali się magów, których nazwali czarownikami. Czarownicy niejednokrotnie popychali świat na krawędź zagłady. Władali mocą tak potężną, że ziemia drżała od ich czarów. Układali się z demonami z Płonących Piekieł, zawierali pakt, które nam wszystkim groziły śmiercią. Oszukiwali śmierć i potrafili rozerwać samą materię stworzenia. Ty porozrzucałaś rzeczy staruszka i podpaliłaś mu biurko.

– Umiem więcej - zapewniła. - Pewnego dnia będę największa wśród magów, jacy chodzili po świecie.

– Z mojego doświadczenia wynika, że można czekać na taki dzień bardzo długo i, gdy wreszcie nadejdzie, czuć jedynie rozczarowanie.

– Słyszałeś o cudzie w dolinie rzeki Heron?

– Słyszałem opowieści o tym miejscu. Chodziło o jakąś suszę i dziewczynkę, która próbowała naprawić bieg rzeczy - odpowiedziałem bez namysłu. - O ile wiem, nazywali ją czarownicą.

– To ja - wyprostowała się dumnie Li-Ming. - Przez wiele miesięcy w dolinie rzeki Heron nie spadła ani kropla deszczu, rzeka zaś zamieniła się w strumyczek, a pola wyschły i poczerniały. Mieszkańcy doliny sądzili, że tylko bogowie mogą ich uratować. Ale ja wiedziałam, że potrafię zrobić to, czego bogowie nie raczyli.

– Może uznasz za rozsądne nie bluźnić tak lekkomyślnie - zauważyłem.

Zignorowała moje słowa.

– Szukałam wody, gdzie się dało. Czerpałam ją z sadzawek głęboko pod ziemią i zbierałam z cienkiego strumyka wijącego się na dnie spękanego koryta rzeki. Zbierałam każdą kroplę i rzuciłam na wiatr, chciałam rozpętać burzę. Na początku nic się nie stało, a ludzie uznali mnie za głupią dziewczynę, która macha rękami i modli się o deszcz. Ale ja wiedziałam. Minęły godziny i wokół pociemniało. Na czystym niebie pojawiły się szare chmury, ciągnęły się po horyzont, aż zasłoniły słońce. Wkrótce ciężkie od wody poczerniały i skryły dolinę w ciemności jak w nocy. Ci, którzy wcześniej się śmiali, zaczęli wierzyć. Gromy huczały, a błyskawice raz po raz rozjaśniały kłębowisko chmur. Powietrze zrobiło się ciężkie od wilgoci, czułam tę wilgoć na skórze, gdy z gór spłynęła mgła. Mgła zamieniła się w mżawkę, ta w deszcz, a on w ulewę. Ziemia łapczywie wypila wszystko i rzeka Heron znów zaczęła płynąć silnym nurtem. To właśnie potrafię.

Isendra nie dała wiary tym słowom.

– Żadne dziecko nie mogłoby tego dokonać.

– To, że przekracza to twoje możliwości, nie znaczy, że przekracza też moje - odcięła się Li-Ming starszej o dwadzieścia lat czarodziejce.

– Też miałem wątpliwości - przyznałem się Isendrze. - Ale słyszałem o tym zdarzeniu i było tak, jak mówi. Choć pominęła pewne szczegóły.

Uśmiech znikł z twarzy Li-Ming, choć nadal spoglądała na nas wyzywająco.

– Kilka miesięcy po tamtej burzy nastąpiła kolejna susza, tym razem jeszcze gorsza - mówiłem dalej. - Ludzie zaczęli wytykać palcami czarownicę, która sprowadziła deszcz, i obwinili ją o wszystkie nieszczęścia.

– Ci, którzy wcześniej wychwalali mnie pod niebiosa, postanowili mnie wygnać - przyznała cicho Li-Ming. - Matka i ojciec się zgodzili. A ja chciałam tylko pomóc. Nie wiedziałam, co się stanie.

– Ludzie nie ufają magom, boją się bowiem tego, czego nie rozumieją. Każdy z magów wyuczonych w Sanktuarium Yshari potrafiłby przewidzieć konsekwencje tego, co zrobiłaś. - Uśmiechnąłem się do dziewczyny. - A jednak gdyby ci sami magowie spróbowali zrobić to, co ty, wątpię, aby udało im się dorównać ci choć w niewielkim stopniu.

Li-Ming wyczuła zmianę w moim nastawieniu.

– Więc mnie naucz.

– Rozwzględam to, ale teraz, gdy cię poznałem, nie wiem, czy leży w twoich możliwościach zostać tu uczennicą. Musisz się wiele nauczyć, a jeszcze więcej oduczyć, i zastanawiam się, czy twoja wola jest na tyle silna, żeby temu podołać.

– Jak możesz tak mówić? Jestem silniejsza od wszystkich twoich uczniów. Przyprawdź ich, to ci pokażę! Będę walczyć nawet z tobą, starcze, jeśli tego sobie życzysz, wszystko jedno. Przebyłam morze i pustynię, żeby się tutaj uczyć, i będę.

– Decyzja nie należy do ciebie, lecz do mnie - przypomniałem.

– Pozwól mi ją uczyć - odezwała się nagle Isendra.

– Słucham?!

Li-Ming popatrzyła z powątpiewaniem na czarodziejkę.

– Jest coś w tej dziewczynie. Jak mówisz, wysiłek może okazać się bezowocny, ale jak i ty dostrzegam w niej potencjał. Może nadejść czas, że

będzie nam potrzebna, a wtedy pożałujemy, że ją odesłaliśmy - uśmiechnęła się Isendra. - A może też widzę w niej nieco siebie sprzed lat.

- Nie chcę ciebie. - Li-Ming potrząsnęła stanowczo głową. - Chcę, żeby uczył mnie ten starzec.

Isendra parsknęła.

- Powinnaś się cieszyć. Walczyłam przeciwko Władcom Piekieł, kiedy byłaś zaledwie niejasnym marzeniem twoich rodziców. I nie po to tyle przeszłam, żeby uczyć bezczelnego dzieciaka magii, ale i tak ponawiam propozycję.

- Moja odpowiedź brzmi nie - odrzekła z uporem Li-Ming.

Rozwahałem w milczeniu, czy zgodzić się na to partnerstwo. Zdolności Isendry dorównywały niemal moim, miała też doświadczenie, które mogło zainteresować dziewczynkę, przyciągnąć jej uwagę. Ale dręczyły mnie zastrzeżenia.

- Zamilczcie obie - nakazałem. - Isendra opanowała magię żywiołów w stopniu równym mojemu i sądzę, że znajdziecie wspólny język. Dla ciebie nie ma lepszej nauczycielki. Na twoim miejscu miałbym nadzieję, że swoim zachowaniem nie skłoniłem Isendry do wycofania propozycji. Albo będziesz się uczyć od niej, albo zobaczymy, jak daleko zajdziesz sama. Historia pełna jest zapomnianych czarowników, którzy niczego nie osiągnęli.

Li-Ming przygryzła wargę.

- I nie mam nic do powiedzenia?

- Nie - odparłem. - Nie masz.



To było pierwsze nasze spotkanie i pamiętam je nader wyraźnie. Isendra przyjęła rolę mentorki, a młoda Li-Ming nabrała głębokiego szacunku do

swej nauczycielki. Były do siebie bardziej podobne, niż się wydawało na początku. Ale Li-Ming szybko nauczyła się wszystkiego, co Isendra mogła jej przekazać. Ich stosunki uległy zmianie i wkrótce dziewczyna zaczęła traktować starszą czarodziejkę nie jak mentorkę, ale jak równą sobie. Isendra również się zmieniła, a to bardzo mnie martwiło. Zbyt pobłażała Li-Ming. Ta zaś, nie mając zadań od nauczycielki, zaczęła sama zaspokajać nieposkromiony głód wiedzy. I właśnie wtedy zaczęły się problemy.

Kiedy przyłapałem Li-Ming, jak myszkuje w zamkniętej części biblioteki, gdzie przechowywano zakazane teksty, zbyt niebezpieczne, by prowadzić nad nimi badania, wiedziałem, że należy położyć temu kres. Mimo sprzeciwów Isendry przejąłem szkolenie Li-Ming i miałem na dziewczynkę baczenie. Próbowałem ująć w karby samowolę Li-Ming i zaproponowałem tok badań, które nakierowałyby jej zainteresowania na bardziej stosowne dziedziny.

Isendra, która przestała być odpowiedzialna za dalszy rozwój Li-Ming, nie czuła już potrzeby pozostawania w Sanktuarium Yshari i coraz częściej opuszczała mury. Wciąż była jednak moją oddaną przyjaciółką i zawsze mogłem liczyć na jej cenne rady. Kiedy nasza trójka ponownie spotkała się kilka lat później, Isendra wiodła już żywot z dala od Sanktuarium i z dala od swej dawnej uczennicy.

Szkoda, że nie mogę teraz zasięgnąć jej rady.



Lato skończyło się już wiele miesięcy temu i powinno ustąpić miejsca jesiennym chłodom, a później zimowym mrozom, lecz z upływem dni upał utrzymywał się od południowych krańców imperium po Suche Stepny na północy. Był to wczesny okres panowania cesarza Hakana II i przesądni szeptali, że to zły omen dla jego rządów. Nawet w pustynnym klimacie nie

było dotąd takiej pogody. Nieznośna spiekota dokuczała wszystkim, burze piaskowe i kurzawy pędziły przez rozgrzane pustkowia. Rozległe morza piasków pozostawały wierne swej nazwie. Wydmy przemieszczały się nieustannie, zmieniając krajobraz i odkrywając olbrzymie czerwone skały o krawędziach tak ostrych, że bez trudu mogły przeciąć ciało czy kości, niczym zębiska potworów. Pustynia połykała całe osady, pozostawiając jedynie kamienne fundamenty i sterty cegieł tam, gdzie kiedyś stały domy.

Minął kolejny rok niekończącego się lata. W imperium zapanowała susza. Wysłałem wiadomość do Isendry z prośbą o zbadanie możliwych przyczyn tego stanu. Tymczasem z Li-Ming wyruszyłem z Kaldeum w serce pustyni, aby przekonać się, czy znajdziemy tam jakieś wskazówki.

Jednak gdy kilka miesięcy później wracaliśmy z wyprawy, mieliśmy więcej pytań niż odpowiedzi. Jechaliśmy na wielbłądach w stronę widocznego w oddali Lut Bahadur, jednego z największych miast na Pograniczu, gdzie dało się mieszkać na pustyni, choć nie było to łatwe. Żar był niemal żywy, wpełzał pod skórę i wypierał nawet wspomnienia zimna. Miałem na sobie lekką bawełnianą opończę z kapturem, który naciągnąłem na głowę, twarz owinąłem chustą, aby chronić się przed burzami piaskowymi, jedynie oczy pozostały nieosłonięte. Li-Ming była już wtedy młodą kobietą. Zniknęły ostatnie ślady dziecięcej niewinności, a na jej twarzy często gościł poważny wyraz, który czasem ustępował miejsca wystudiowanemu uśmieškowi. Mimo upału miała na sobie najlepsze szaty, wspomagając się magią dla okrzepienia i ochłody.

– Zbliżył się koniec naszych poszukiwań, Li-Ming, lecz ani trochę nie zbliżyliśmy się do poznania tajemnicy niekończącego się lata - westchnąłem.

– Nie potrafię tego wyjaśnić, mistrzu. Podejrzewam, że coś pożera pustynię. Jakby krawędzie rzeczywistości zostały nadwerężone. Podobne

wrażenie ma się wtedy, gdy próbuje się spojrzeć w dal we śnie.

– Być może wyczuwasz ocean ognia i płynnej skały pod nami.

– Albo słońce nad nami? - zirytowała się. - Lekceważysz to, co mówię, ale jestem pewna, że ta pogoda nie pojawiła się z naturalnych przyczyn. Kiedy przeglądałam archiwa w mieście i...

– Śmiały wyczyn, zważywszy, że nie wolno ci opuszczać Sanktuarium Yshari.

Spojrzała na mnie przeszywająco.

– Przyjrzałam się zapiskom dotyczącym pogody. Jeszcze nigdy nie zanotowano tak długotrwałych upałów. Jeśli czegoś nie zrobimy, wkrótce Oaza Dalgura wyschnie.

– Temu zaprzeczyć nie można.

– Ale jest coś jeszcze - kontynuowała Li-Ming. - Jest coś w powietrzu, coś, czego nigdy dotąd nie czułam. Powinno być chłodno, a nie jest. Wiatr powinien ucichnąć, a nie przestaje wiać.

– Czy to możliwe, że z uporem starasz się znaleźć wyjaśnienie, którego tak naprawdę nie ma? Mimo całej naszej wiedzy o tym świecie i gwiazdach ponad nim może się okazać, że wydarzenie to jest równie naturalne, co epoka śniegu i lodu. Nie żyłaś tak długo jak ja, więc nie wiesz jeszcze, jak bardzo zagadkowy jest wszechświat.

– Skoro w to wierzysz, co tu jeszcze robisz, mistrzu? - spytała.

Zaśmiałam się.

– Tu mnie masz.

Li-Ming spojrzała na rozciągające się przed nami miasto.

– Nasz świat wypełnia magia. Pomyśl o Ponurych Ziemiach. Cała kraina uległa zniszczeniu. Skąd wiemy, że tak się to właśnie nie zaczęło? Od czasów, gdy Władcy Piekieł kroczyli po tej ziemi, minęły niemal dwie

dekady. Isendra opowiadała mi o inwazji, która nigdy nie nadeszła. Może nadchodzi właśnie teraz.

– Czasami zastanawiam się, czy twoje pragnienie wypełnienia swojego przeznaczenia jest tak wielkie, że z radością przywitasz zagładę naszego świata - wytknąłem.

– To moje przeznaczenie. I prędzej czy później się o mnie upomni.

Takie przekonanie żywiła Li-Ming, a Isendra je podzielała. Moja uczennica wierzyła, że pisane jest jej obronić świat przed inwazją z Piekieł, tak jak kiedyś uczyniła to Isendra. Li-Ming wyczytała to w jednym z ukrytych w bibliotece tomów, przepowiednię ze szczegółami opisującą powrót Władców Piekieł. Isendra wielokroć próbowała przekonać mnie o prawdziwości proroctwa, a choć nie lekceważyłem niebezpieczeństwa, pozostawałem sceptyczny.

Li-Ming miała wiele talentów, ale największy stanowiło czytanie magii. Dziewczyna była bardzo spostrzegawcza i odkrywanie struktur ukrytych w zaklęciach przychodziło jej z łatwością. Kiedyś zapytałem ją, jak to jest posiadać dar tak dogłębnego widzenia. Opisała mi niewidzialne nici magii, jak wirujące aury tajemnych mocy otaczają rzucających zaklęcia magów. Mówiła, że po każdym zaklęciu pozostaje powidok, niczym zielono-czerwone plamki przed oczyma, gdy człowiek popatrzy prosto w słońce. Nie tylko widziała magię, lecz czuła także jej zapach i smak. Dlatego gdy powiedziała mi, że niekończące się lato zostało sprowadzone ręką śmiertelnika lub inną potęgą, byłem skłonny jej uwierzyć. Sam zresztą uważałem podobnie. Ale zachowałem to dla siebie, bo gdyby to podejrzenie okazało się prawdziwe, strach było myśleć, co to mogło oznaczać.

Kaldeum leżało na ogromnym pustynnym płaskowyżu. Wyżyna kończyła się wysokimi urwiskami, a u podnóża jednego z nich rozciągało się Lut Bahadur. W normalnych czasach ponad murami miasta widać było

obracające się leniwie skrzydła wiatraków, ale większość została zniszczona przez szalejące wichury. Wyblakłe i poszarpane markizy zwisały z drewnianych belek opartych o dachy lepianek dla ochrony przed słońcem. Cień nie dawał jednak wytchnienia. Niemal wszyscy mieszkańcy mieli zasłonięte twarze, podobnie jak ja, mogłem więc zaledwie zobaczyć ich oczy. Oczy pełne strachu lub pozbawione nadziei.

Miasto umierało.

Li-Ming korzystała ze swojego ulubionego zaklęcia, spowijała ją cienka otoczka lodu, który topniał i parował równie szybko, jak powstawał, przez co dziewczynę otaczała mgiełka. Kiedy zsiadała z wielbłąda, zignorowała strzemiona - skorzystała z niewidzialnego prądu, który miękko zniósł ją na ziemię. Przyciągnęła uwagę garstki ludzi na ulicy.

- Musisz tak nierozważnie korzystać z magii? - zwróciłem jej uwagę rozdrażniony.

- Upał jest nie do zniesienia, mistrzu. Nie wiem, jak ty go wytrzymujesz - odpowiedziała.

- Wytrzymuję, ponieważ muszę - mruknąłem, zsuwając się z wierzchowca. - Swoim zachowaniem nie zaskarbisz nam tutaj przyjaciół.

- Martwisz się moim zachowaniem tylko wtedy, kiedy wygodnie ci mnie besztać - oburzyła się Li-Ming.

- Czyż można mnie winić, skoro dajesz mi do tego aż nadto okazji?

Mimo protestów Li-Ming przerwała zaklęcie, podchodząc do mnie. Resztki otaczającej ją wilgoci zniknęły, wysane natychmiast przez pustynne powietrze.

- Przybyliśmy tutaj przeprowadzić obserwacje i zadać kilka pytań, nic więcej - przypomniałem jej.

- Obserwować i pytać. Nic więcej - powtórzyła.

- Doglądnij wielbłądów - nie dałem się podpuścić.

- Myślałam, że będę obserwować.
- Jak już zadbasz o wielbłądy - nakazałem. - Pójdę poszukać Isendry.
- Isendra tu jest? - ożywiła się Li-Ming.
- Jest. Zostań tutaj - nakazałem. - Aha, Li-Ming?
- Tak, mistrzu? - Podniosła na mnie uważne spojrzenie.
- Unikaj kłopotów.

Li-Ming uśmiechnęła się szeroko.

Ściany urwiska chroniły miasto przed upalnym wiatrem, kiedy dął z zachodu na wschód, ale kiedy wiał z innych kierunków, Lut Bahadur było wystawione na jego działanie. Widać było, że mieszkańcy próbowali postawić jakiś wiatrochron, ale dawno już porzucili wysiłki. Tego dnia wiało ze wschodu, ale wiatr nie stanowił zagrożenia i można było bezpiecznie wyjść z domu. Li-Ming przywiązała wielbłądy koło studni i zajrzała w głąb cembrowiny. Nie musiałem tego robić, żeby wiedzieć, że studnia wyschła. Ludzie trzymali wodę w dzbanach, choć zapewne jej zapasy były niewielkie. Podeszedłem do jednego z mężczyzn siedzących pod poszarpaną markizą, żeby zapytać, gdzie znajdę czarodziejkę.

Nagle ziemia zadrżała, jakby pod naszymi stopami przetaczały się potężne fale, po czym gwałtowny wstrząs zbił mnie z nóg. Podniosłem głowę i zobaczyłem Li-Ming z rozpostartymi rękami. Poruszała palcami, jakby sterowała marionetką.

Wstrząsy były jej sprawką.

- Li-Ming! Co zrobiłaś? - krzyknąłem po kolejnym drzeniu.
- Podejź i sam zobacz, mistrzu. - Z dumą wskazała na studnię.

Kiedy przechyliłem się nad cembrowiną, ujrzałem słaby połysk wody, która przebiła się przez suche dno. Li-Ming sprowadziła do miasta niezbędną do przetrwania wodę.

– Głęboko pod ziemią znalazłam źródło. Może to podziemna rzeka, która nawadnia Oazę Dalgura. Przekierowałam jej bieg, żeby napełnić studnię. To miasto...

– Wystarczy - przerwałam ostro. - Mówiłem ci, że przybyliśmy tutaj, żeby przeprowadzić obserwacje i uzyskać odpowiedzi. To wszystko.

– Możemy uczynić znacznie więcej, mistrzu. Moglibyśmy zbudować nowy wiatrochron lub naprawić szkody wyrządzone przez burze piaskowe. Zawsze powtarzasz, że nie powinniśmy niczego robić. Dlaczego zostaliśmy obdarzeni tymi umiejętnościami, jeśli nie po to, by pomagać innym? - odparła. - Zastanawiałam się nad tym i myślę, że dzięki naszej magii moglibyśmy odwrócić żar i zakończyć lato.

– Niczego nie będziemy robić. To nie nasze zadanie. Powinnaś od dawna wiedzieć, co się stanie, gdy spróbujemy dokonać zmian klimatycznych na tak wielką skalę - zbeształam ją. - Zapomniałaś już, jaką poniosłaś porażkę?

– Nie jestem tamtą małą dziewczynką. Wiele się nauczyłam. I nigdy nie pozwolę, żeby ludzie cierpieli - odparła twardo Li-Ming. - Powiedz mi, dlaczego nie możemy im pomóc? Powiedz, co w tym złego?

Wskazałam na studnię, z której dobiegał chlupot.

– Skąd bierze się ta woda? Dokąd płynie? Czy woda, która płynęła do oazy, może płynąć tutaj bez żadnych konsekwencji? Nic nie tworzy się z niczego. Naprawisz jeden problem, a spowodujesz dziesiątki innych.

Li-Ming była młoda i nie zwracała sobie głowy szczegółami. Działała pod wpływem impulsu, widząc jedynie tu i teraz.

– Woda już tam była, mistrzu. Wystarczyłoby pogłębić studnię. Ja to tylko ułatwiłam.

– Twój altruizm dobrze o tobie świadczy, Li-Ming, ale magowie nie mogą tak postępować. Owszem, są chwile, gdy dzięki magii możemy pomóc ludziom, ale nie za każdym razem. Musimy starannie rozważać

konsekwencje naszych działań, zanim na cokolwiek się poważymy. To nie podlega dyskusji. Masz mnie słuchać.

– Ale Li-Ming ma rację - zabrzmiał kobiecy głos.

– Isendra! - krzyknęła Li-Ming i pobiegła do swej dawnej nauczycielki, która przytuliła dziewczynę z czułością.

– To nie nasze zmartwienie ani twoje - odpowiedziałem. - Li-Ming, zostaw nas z Isendrą samych.

Li-Ming zmarszczyła brwi i już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale szybko zrezygnowała i dołączyła do zgromadzonych przy studni mężczyzn i kobiet napełniających dzbany oraz wszelkie możliwe naczynia wodą. Patrzyłem, jak do nich podchodzi.

– Jeśli problemy tych ludzi cię nie obchodzą, to po co tu przybyłeś? - zapytała Isendra.

– Czasem jesteście zbyt do siebie podobne - mruknąłem. - Zapytała mnie o to samo.

– Co u niej?

– Z wiekiem niewiele się zmieniła. Jest równie porywcza jak w dniu, kiedy ją poznaliśmy. Zastanawiam się czasem, czy nie popełniliśmy błędu, biorąc ją na uczennicę.

– Ona nie godzi się na zastany porządek rzeczy. Chce dać ludziom lepsze życie.

– Li-Ming nie zastanawia się nad skutkami swoich działań. Żyje tu i teraz, a tacy jak ja i ty muszą spoglądać w przyszłość. To nasze brzemię, przewodzić klanom magów.

– Li-Ming może mieć rację. My troje jesteśmy najpotężniejszymi magami, jacy dzisiaj kroczą po ziemi. Tak między nami, dlaczego nie miałyby nam się udać? Moglibyśmy położyć kres latu i przywrócić pory roku...

– To myśl zrodzona przez emocje, a nie rozum - odpowiedziałem. - Nie możemy zmienić pogody. To nie zadziała.

– Li-Ming byłaby innego zdania - zaproponowała Isendra.

– Ale ty nie jesteś Li-Ming. To niemądra dziewczuszka.

– Ty widzisz dziewczynkę, a ja kobietę, która może uratować świat.

– Proroctwa. Przeznaczenie. - Wzruszyłem ramionami. - Kto tak naprawdę wie, co przyniesie kolejny dzień? Jeśli to wszystko się ziści, zmierzmy się z tym razem. Może Li-Ming do nas dołączy. Ale nie ona jedna dysponuje mocą. I skąd mamy wiedzieć, że proroctwa są prawdziwe? Władcy Piekieł mieli zaatakować dwadzieścia lat temu. Najbardziej powinniśmy obawiać się samych siebie.

– Na starość zrobiłeś się bojaźliwy - stwierdziła Isendra.

– A ty nierozważna - odparłem. - Nie będziesz w to ingerować.

– Zrobię, co muszę - rzuciła na odchodne. - Ty również.

Po odejściu Isendry obserwowałem Li-Ming. Zajął się dzieckiem, które omdlało w upale. Chłopczyk gorączkował, na policzkach miał niezdrowy rumieniec, na czole krople potu. Li-Ming rzuciła zaklęcie i powietrze wokół jej dłoni się oziębiło. Gdy przytrzymała ręce nad twarzą chłopca, ten westchnął z ulgą, a jego włosy rozwiła lekka bryza.

– Dziękuję - powiedziała matka chłopca. - Słyszałam, co mówili o tobie inni, ale napełniłaś naszą studnię i uratowałaś mojego syna. A to nie są złe uczynki, moim zdaniem.

Li-Ming uśmiechnęła się, wstając, ale gdy do mnie podeszła, minę miała ponurą.

– Ci ludzie umrą - stwierdziła.

– Możliwe. Ale nasza ingerencja może temu wcale nie zapobiec.

– Nigdy się nie dowiemy, prawda? - Li-Ming uniosła brązowe oczy i popatrzyła na mnie badawczo. - Ich twarze będą nawiedzać cię w snach?

– Będą. Ich i innych. To nasze przekleństwo, Li-Ming, i ty też poznasz ten ból, aż za dobrze. - Łagodnie położyłem dłoń na jej ramieniu. - Chodźmy.



Wiem, że kiedy ostatnio rozmawialiśmy, opowiedziałem ci znaczną część historii, ale pominąłem udział Li-Ming, bo wówczas bardziej martwiłem się o Isendrę. Na pewno zgodzisz się, że słusznie postąpiłem, ale nie jestem potworem. Jak zawsze, gdy staję w obliczu podobnych wyborów, czułem wielki smutek, że nie mogłem spełnić życzenia Li-Ming i pomóc mieszkańcom Lut Bahadur. Nieraz już sprzeczałyśmy się w tej kwestii. Mimo wszystko rozumiałem ją lepiej, niż sądziła.

Działo się to krótko po naszym pierwszym spotkaniu. Bałem się o Isendrę i o to, co może zrobić. W głębi serca czułem, że sprawa ta nie została doprowadzona do końca.

Podejrzewam, że wiesz, co zdarzyło się później, i znasz szczegóły, których mnie nie zdradzono. Podejrzewam, że to wówczas Li-Ming zaczęła skłaniać się ku decyzji, która doprowadziła do tej katastrofy.



Wiele miesięcy później w środku nocy drzwi zaskrzypiały i do mojego pokoju weszła Li-Ming. Nie miała w zwyczaju pukać, cecha właściwa dla jej osobowości. Nauczyłem się to akceptować, choć dziewczynie rzadko zdarzało się przychodzić, zwłaszcza o tak późnej porze. Li-Ming wciąż była zaspana, coś najwyraźniej wyrwało ją ze snu. Zazwyczaj nienaganne szaty narzuciła niedbale i w pośpiechu, a w spojrzeniu czaił się niepokój.

– Wyczułeś to, mistrzu? - zapytała.

– Niczego nie wyczułem.

– Na wschodzie rzucono potężne zaklęcie. Niedaleko stąd. Musimy ruszać. Coś się stało.

– Możemy ruszyć rankiem.

– Masz aż tak wielką potrzebę odpoczynku, starcze? - rzuciła zirytowana, po czym nagle spoważniała. - To była Isendra, mistrzu.

Milczałem, bojąc się zaufać własnemu głosowi, ale ustąpiłem.

Opuściliśmy Sanktuarium Yshari i wyruszyliśmy do Lut Bahadur. Według kalendarza trwała zima, trzecia zima od czasu wiecznego lata, ale nocne powietrze było równie suche i gorące co w środku dnia, jedynie brak słońca dawał odrobinę wytchnienia. Miałem wrażenie, że stoję obok szklarskiego pieca. Byłem zlany potem, moje szaty lepiły się do ciała.

Li-Ming nie odezwała się ani słowem.

Kiedy przyjechaliśmy, Lut Bahadur spowite było ciszą. Wiatr nawet o tej porze sypał piaskiem i trzepotał skórą oraz ubraniami rozwieszonymi na sznurkach obok chat, ale nie było słycać żadnych innych dźwięków. Lecz moją uwagę zwróciło coś innego.

Powietrze było zimne.

Gdy wjechaliśmy do miasta, przeszył mnie chłodny dreszcz. Nie czułem zimna od tak dawna, że moje ciało spróbowało odrzucić doznanie. Ale wkrótce pod wpływem chłodnej bryzy moje mięśnie się rozluźniły, zupełnie jakby uchodziło z nich napięcie zgromadzone w trakcie upałów.

Li-Ming przyzwała kule światła i rozesała je po mieście. Przelatując, oświetlały ziemię i ściany mijanych budowli. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego czaru.

– Co to?

Zignorowała moje pytanie.

– Mistrzu, czujesz to powietrze?

– Jest zimne.

– Nie o to chodzi. Iskrzy energią. Jeszcze nigdy nie czułam tego tak wyraźnie, więc nie wiem, czy przyczyną jest zakłęcie, czy coś zupełnie innego. - Zamilkła, ale widać było, że przepełnia ją niepokój.

Ruszyła krętą drogą w dół. Poszedłem za nią. Mimo późnej pory było zdecydowanie zbyt cicho, nawet jak na śpiące miasto. Wiatr osłabł i markizy kołysały się teraz bezszelestnie. Jedynym dźwiękiem był szmer naszych kroków. Słyszałem nerwowe bicie swojego serca. Szedłem za Li-Ming pustymi ulicami, aż znalazła się pod drzwiami skleconymi z listewek i otworzyła je pchnięciem.

– Co robisz? - syknąłem, wślizgnąwszy się za nią do wnętrza, aż nazbyt świadomy, że w ciszy słychać każdy mój krok.

Już chciałem pouczyć Li-Ming, już wyciągałem rękę, by ją zatrzymać, lecz słowa reprimendy zamarły mi na ustach, a dłoń zawisała w powietrzu, nie sięgnąwszy celu. Zupełnie jakby czas w izbie się zatrzymał. Mężczyzna, kobieta i dziecko siedzieli przy stole, ale nie zwrócili uwagi na nasze nagłe wtargnięcie. Byli zimni i nieruchomi niczym posągi. Kobieta miała rozchylone usta, jakby formowała słowo, którego nikt już nie miał usłyszeć. Mężczyzna odwracał się do dziecka, które wyciągało do niego rękę. Jedzenie wyglądało na niedawno przyrządzone i podane, ale było zimne. Wydawało się, że światło księżyca wyssało z tej zwykłej sceny życie i barwy.

– Co się tutaj stało? - wyszeptałem.

– Nie wiem. - Li-Ming rozglądała się po pokoju, śledząc niewidzialne dla mnie pasma mocy tajemnej. - Kształt zakłęcia z czasem zanika. To jak próbować odgadnąć rozmiar burzy po kałużach i chmurach na horyzoncie.

Nie chciałem dłużej patrzeć na zastygłe postacie. Zaczekałem na Li-Ming przed domem. Wyszła niedługo później.

– Próbowwała usunąć ciepło z powietrza, ale straciła panowanie nad zaklęciem. Rozszalało się zimno i wszystko zamarzło.

– Kto? - zapytałem, choć oczywiście znałem odpowiedź.

– Isendra. Znam wzór jej magii, tak samo jak twój. Niewielu jest magów, którzy potrafiliby rzucić takie zaklęcie.

– Jak do tego doszło?

– Nie była dość silna. Możliwe, że na początku szło jej dobrze, ale gdy zimno się wzmogło, struktura jej zaklęcia osłabła i zachwiała się... - głos Li-Ming zadrżał. - To moja wina.

– Isendra może potrzebować naszej pomocy - przywołałem ją do porządku. - Musimy ją odszukać.

Li-Ming przyzywała swoje sfery światła, aby ułatwić poszukiwania. W każdym domu witał nas podobny widok: wszyscy trwali nieruchomo, jakbyśmy szli wśród posągów na pogrążonym w ciszy cmentarzu. Nigdzie nie natrafiliśmy nawet na ślad Isendry.

Znaleźliśmy ją dopiero godzinę później. Chatka nie różniła się od innych, ale Li-Ming wiedziała, że to tutaj, gdy tylko ją zobaczyła. Zatrzymała się, zanim popchnęła drzwi sklecone z drewnianych listew. Wszedłem za nią.

To wnętrze wyglądało inaczej. Wcześniej każdy dom trwał pogrążony w upiornym bezruchu, tutaj ujrzałem ślady gwałtownych zdarzeń. Na ścianach widniały duże czarne ślady w miejscach, gdzie ogień wypalił cegły z błota. Stoły, krzesła i pozostałe meble były połamane i spalone. W powietrzu wisiał swąd popiołu. Tutaj coś poczułem, choć nie ślady magii, jakie widziała Li-Ming. Coś pierwotnego. Instynkt podniósł mi włosy na rękach. Nagle dostrzegłem to, czego zobaczyć nie chciałem: Isendrę. Wyglądała jak rzucona niedbale szmaciana lalka. Krew z ran na brzuchu i ramionach utworzyła kałuże na deskach. Skóra czarodziejki była zwęglona

w kilku miejscach, głowa przechylona pod nienaturalnym kątem, martwe oczy patrzyły w podłogę.

Li-Ming doskoczyła do Isendry i uklękła przy niej. Objęła pozbawioną życia czarodziejkę i zapłakała.

– Mistrzu, co się tutaj stało? - wydusiła.

Potrząsnąłem głową. Trwaliśmy tak w milczeniu, pogrążeni w żalu, aż w końcu Li-Ming delikatnie ułożyła ciało Isendry i wstała.

– Nie cały ogień został wyczarowany - stwierdziła ochryple. - Magia zaklęcia Isendry już zanika, ale część jest świeższa, to stało się później.

– Kiedy mag traci kontrolę nad zaklęciem, skutki mogą być trudne do przewidzenia i oceny - odparłem. - Widywałem to wiele razy.

– Jej nie zabiła magia, mistrzu - zaprzeczyła stanowczo Li-Ming.

– Możliwe, że nie, ale jej magia na pewno do tego doprowadziła. Miasto zostało zniszczone, a ona nie żyje. Komu pomogła? Kogo obroniła? Powiedz mi! - mój krzyk zabrzmiał nienaturalnie wśród martwej ciszy.

– Jesteś ślepy! - rozgniewała się Li-Ming. - Isendra chciała im pomóc. To więcej, niż ty kiedykolwiek zrobiłeś. Nie będę stać bezczynnie i patrzeć, jak ludzie cierpią. Nigdy więcej. Nie kiedy świat mnie potrzebuje.

– Czy inni ludzie mają zapłacić za twoje błędy, tak jak to miasto zapłaciło za błąd Isendry? Chcesz poświęcić niewinnych w imię swojego bohaterstwa? - zapytałem ostro.

– Nie - odparła Li-Ming cicho.

Przez chwilę zdawało mi się, że moja genialna uczennica jest nadal tylko dziewczynką. Popatrzyłem ze smutkiem na ciało poległej przyjaciółki, która po śmierci wyglądała jak ktoś, kogo nie znałem. I nie powiedziałem już ani słowa.

Gdy nadszedł czas, aby odejść, Li-Ming zaklęciem podpaliła chatkę. W środku na podłodze Isendra spała snem wiecznym. Jej oczy były zamknięte,

obowiązek spełniony. Kiedy ogień się wzmógł i płomienie wystrzeliły w górę, na twarzy Li-Ming skropliła się woda i popłynęła po policzkach niczym łzy. Złapałem dziewczynę za rękę i odprowadziłem dalej od chatki.

Nasze spojrzenia się spotkały. W jej oczach nadal czaił się smutek i gniew, ale przede wszystkim ponura determinacja.

– Ja nie popełnię błędu.

Przeszliśmy przez ciche miasto, zatopieni we własnych myślach. Świadomość, co kryje się za każdymi drzwiami, wzmagала mój niepokój. Kiedy odjeżdżaliśmy, jeszcze raz spojrzałem na pogrążone w nocy Lut Bahadur. Jego wąskie górzyste drogi oświetlało tysiące latarni, które migotały niczym świetliki.



Wierzę, że to wtedy Li-Ming zaczęła pojmować niebezpieczeństwa wiążące się z jej działaniami oraz zrozumiała, co oznaczać może porażka. Więcej nie rozmawialiśmy o śmierci Isendry. Czy Li-Ming wiedziała, dlaczego czarodziejka zginęła? Czy wiedziała, w jaki sposób odebrano życie jej nauczycielce?

Zdarzenia w Lut Bahadur w najmniejszym stopniu nie ugasiły w mojej uczennicy pragnienia wiedzy. Nauka stała się jej obsesją. Li-Ming każdą chwilę poświęcała na to, by dowiedzieć się dokładniej, nauczyć więcej i odnieść sukces tam, gdzie Isendra poniosła porażkę. Większość czasu spędzała w bibliotece i mimo moich najwytrwalszych starań zawsze trafiała do tej części księgozbioru, gdzie nie powinno się nawet zaglądać. Nauczyła się magii czasu, czytając zapiski tych magów, którym udało się wydłużyć swoje życie o lata, i tych, którzy byli tak potężni, że omijał ich wzrok śmierci. Magów takich, jak szalony czarnoksiężnik Zoltun Kull, który zastąpił swoją krew piaskami czasu, więc nie mógł zostać zgładzony, a

tylko uwięziony. Dzięki temu, że postrzegła niewidoczną dla innych sieć mocy tajemnej, Li-Ming nauczyła się magii teleportacji. Opanowała tworzenie iluzji, potrafiła wyczarować dwa idealne lustrzane odbicia, które naśladowały każdy jej ruch. Znalazła zwoje i diagramy pokazujące, jak nagiąć do swej woli niewidzialne siły wszechświata. Jej moc rosła, a wraz z nią - mój niepokój.

Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, poleciłem ci jedynie obserwować Isendrę w obawie, że posunie się do jakiegoś szaleństwa. Nie kwestionuję decyzji, którą musiałaś podjąć.

Wkrótce potem Li-Ming dokonała własnego wyboru.



Wielka sala Sanktuarium Yshari była olbrzymim ośmiokątnym pomieszczeniem. Na jej sklepieniu freski opowiadały historię klanów magów. Ośmioro drzwi prowadziło na korytarze i do innych komnat, ale żadna z nich nie dorównywała tej. Każdy cal ścian pokrywały arrasy, a płyty, z których ułożono posadzkę, pochodziły z kamieniołomów w krainach za Bliźniaczymi Morzami.

Kiedy tam wszedłem, Li-Ming stała pośrodku, obserwując wzory na podłodze. Poza nami w komnacie nikogo nie było.

– Nie chciałam odchodzić bez pożegnania - odezwała się, gdy usłyszała moje kroki. - Jestem ci to winna.

– A dokąd to się wybierasz?

– Dziś przez niebo przemknęła gwiazda i spadła na zachodzie. To znak, na który czekałam. Czytałeś księgi przepowiedni, tak jak ja. Wiesz, co to oznacza. Dwadzieścia lat temu oczekiwaliśmy inwazji demonów, ale tak się nie stało. Ponure wieści, które każdego dnia słyszę na bazarze, utwierdziły mnie w przekonaniu. Mój czas nadszedł.

– Twoje miejsce jest tutaj, wśród uczniów Sanktuarium Yshari. Jesteś niczym niebezpieczna iskra, a świat to suchy konar podatny na płomienie. Nie potrafisz się kontrolować i jeśli pozwolę ci odejść, to, co jesteś zdolna zrobić, okaże się gorsze od wszystkiego, co mogę sobie wyobrazić.

– Niczego więcej się od ciebie nie nauczę.

– Pamiętasz dzień, w którym się poznaliśmy, Li-Ming? Wiesz teraz więcej niż wówczas, ale jesteś niewiele mądrzejsza. Jeśli teraz odejdziesz, będziesz jedynie czarownicą.

– Niepotrzebna mi ta twoja mądrość. I jestem czarownicą. Zamierzam chronić ten świat, skoro magowie nie chcą. - Odwróciła się. - Pozwól mi podążyć za przeznaczeniem. Ty będziesz tu bezpieczny, ze swoimi księgami i obawami.

Uniosłem rękę, kierując strumień mocy ku drzwiom. Jedne po drugich zamykały się z hukiem, aż zatrzasnęły się wszystkie.

– W takim razie muszę cię powstrzymać. - Starannie podwinąłem rękawy szaty. - Byłaś moją najznamienitszą uczennicą, Li-Ming. Wierzyłem, że z czasem mnie zastąpisz i staniesz na czele klanów. Wierzyłem, że mnie przewyższysz. Przykro mi, że do tego doszło. Może to ja poniosłem porażkę jako nauczyciel.

– Byłaś dobrym nauczycielem, mistrzu. I wzięłam sobie twoje nauki do serca. Ale nigdy nie pojmiesz w pełni tego daru, jaki otrzymaliśmy. Dlatego właśnie cię przewyższę - jej głos poniósł się echem po sali.

Widziałem, jak mruży oczy w koncentracji. Pochodnie na ścianach zamigotały, gdy zaczęliśmy gromadzić energię z otoczenia. Li-Ming rozłożyła ręce, palce zakrzywiła niczym szpony. Staliśmy naprzeciw siebie jak dwa niewzruszone głazy pośrodku rwącej rzeki. Opuściłem laskę i trzymałem ją przed sobą, skupiając w niej moc.

– Mistrzu, nie zastanawiałeś się nigdy, czy nie jestem silniejsza od ciebie? - zapytała spokojnie Li-Ming.

– Nie. - Uśmiechnąłem się. - Nie zastanawiałem się.

Czekałem, aż Li-Ming zaatakuje pierwsza. Wyczarowała kule ognia, które pochłonęły światło pochodni, ale było to tylko wrażenie, bo moje oczy przyzwyczajały się do ciemności. Li-Ming cisnęła we mnie te kule. Odepchnąłem je. Nawet mnie nie drasnęły, lecz gdy uderzyły o posadzkę, wybuchły, tworząc przede mną ścianę ognia. Odebrało mi dech. Li-Ming popatrzyła na mnie rozbawiona i zaczęła szykować następny atak. Wyrwała z sufitu potężne kawałki kamienia, podpaliła i cisnęła na mnie ognistym deszczem. Podniosłem laskę, uwalniając falę mocy, która utworzyła wokół mnie lśniąca sferę, a ta zamieniła deszcz meteorów w deszcz pyłu. Kilka większych odłamków spadło na podłogę. Przezroczysta tarcza ochroniła mnie przed uderzeniami, lecz boleśnie odczułem wibracje. Za młodu nawet bym nie drgnął, ale teraz opadłem na kolano. Marmurowe płyty wokół mnie popękały od wstrząsu niczym rozbite lustro, nawet Li-Ming odrzuciło daleko w tył.

– Musisz się bardziej postarać - powiedziałem.

Li-Ming warknęła z gniewem. Tym razem z jej palców wystrzelił ogień, tworząc cieniutkie wiązki opalizujących płomieni. Zdażyłem jedynie uskoczyć przed tymi ognistymi ostrzami. Kiedy uderzyły w kamień, przecięły go tak jak nóż masło. Rozorały marmurową podłogę, która zaczęła się zapadać. Wyciągnąłem rękę i połączyłem kamienne płyty niewidzialną magiczną nicią. Gdybym puścił, podłoga by się zapadła, a ja razem z nią. Pod wielką salą leżały katakumby i wątpię, abym przeżył upadek. Utrzymanie wszystkiego wymagało ogromnego wysiłku i od ściskania laski aż zbieleły mi kłykcie.

Li-Ming popatrzyła na popękaną podłogę i poruszyła ręką. Kamień pod moimi nogami zakołysał się i spadł w otchłań. Isendra nauczyła mnie kiedyś sztuczki, którą teraz zastosowałem odruchowo. W okamgnieniu zniknąłem z walącej się płyty i pojawiłem się kilka metrów dalej, na stabilniejszym podłożu. Ból, który powodowała teleportacja, nawet na tak krótkim dystansie, był nie do opisanego. Czułem, jakby rozdarto mnie na tysiąc kawałków, a następnie zszyto ognistą nicią. Nie wiem, która część tego procesu sprawiała większe cierpienie. Li-Ming metodycznie niszczyła kolejne podpory, na które się przenosiłem. Kontynuowaliśmy ten taniec, ale moje reakcje stawały się coraz wolniejsze, czułem, że walka odciska swoje piętno na starym, kruchym ciele.

Wbiłem łaskę w podłogę, od uderzenia aż zagrzmiało. W mgnieniu oka przez salę przeleciał piorun. Tam, gdzie trafiał, pękała posadzka, rozrzucając odłamki marmuru. Błyskawica pomknęła z hukiem ku dziewczynie. Ale Li-Ming już tam nie było. Postrzępione rozwidlenia energii zamarzyły w powietrzu. Li-Ming stała z wyciągniętymi rękami, w ogromnym skupieniu. Niewzruszony nie przestałem wzywać błyskawic. Rozpętała się istna burza. Wisiała nieubłaganie nad Li-Ming, aż w końcu dziewczyna nie była w stanie się jej opierać. Wyładowania huczały wokół, wreszcie powaliły ją na podłogę w oślepiającej kaskadzie iskier.

Li-Ming zniknęła.

Niepewny jej zamiarów, rozpałem burzę, która zmieniła się w ryczące piekło ognia wypełniające teraz całą salę. Płomienie zaczęły kąsać nawet moją skórę, niebezpiecznie nadwężając i tak już mocno nadwątlone siły. Kiedy ponownie zobaczyłem Li-Ming, była otoczona przez płomienie. Krzyczała, gdy trawił ją ogień. Podeszedłem do niej, a marmurowe płyty chygotały pod moimi stopami związane zaklęciem, które nie pozwalało im

runąć w otchłań. Przy Li-Ming podłoga stała się bardziej stabilna, co przyjąłem z ulgą.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć, Li-Ming.

Uderzyłem laską, ale tam, gdzie jej koniec winien przebić ciało mojej uczennicy, była tylko pustka.

Odwróciłem się w porę, by dostrzec ją za sobą. Otworzyłem usta, by wypowiedzieć zaklęcie, jakiegokolwiek zaklęcie, ale potężna eksplozja wytrąciła mnie z równowagi. Straciłem kontrolę nad czarem utrzymującym podłogę. Marmurowe płyty popękały i runęły w otchłań. A ja za nimi. Spadałem, spadałem, aż wreszcie uderzyłem o zimne głazy katakumb.

Leżałem tam poobijany, otoczony przez śwąd ognia i pyłu. Li-Ming sfrunęła na dół i przyklęknęła obok.

– Uważasz, że niczego się od ciebie nie nauczyłam, ale to nieprawda - powiedziała. - Śmierć Isendry była dla mnie lekcją. Ale dano mi tę moc nie bez powodu i to moje brzemię. Będę z niej korzystać, a nie bać się jej tak jak ty.

– A jeśli nie zdołasz jej kontrolować? - wycharczałem. - Twoja moc może zniszczyć świat.

– Więc niech świat zapłacze. - Odwróciła się. - Jest jednak jedna rzecz, o którą chcę cię zapytać, mistrzu.

Milczałem, bo wiedziałem, jakie padnie pytanie. Niczego innego Li-Ming nie mogła się ode mnie dowiedzieć.

– Dlaczego Isendra zginęła? Powiedz mi prawdę - nakazała.

– Wiem tyle, co ty.

Li-Ming pokiwała głową i wzbiła się w powietrze.

Otworzyłem usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale ogarnęła mnie ciemność.



Kiedy się ocknąłem po wielu dniach, Li-Ming opuściła już miasto i nikt nie wiedział, dokąd się udała. Powiedziano mi, że nie da się zataić tego, co zaszło, bo w całym Kaldeum było widać kolumnę dymu unoszącą się nad Sanktuarium, a blizny, jakie zostawiła po sobie nasza walka, potrzaskane kamienie i ruiny, mówiły same za siebie.

I na tym kończy się moja wiedza o losach Li-Ming - czarownicy. Pozostało mi jedynie podjąć decyzję. Kiedy w dawnych czasach powstała obawa, że magowie mogą doprowadzić do zniszczenia świata, jeden z mistrzów Klanu Vizjerei założył zakon zabójców, łowców magów, którzy mieli dopilnować, abyśmy nie urosli w siłę tak, by groziło to niebezpieczeństwem. Tamten mistrz przed wiekami przemawiał do pierwszego w dziejach zabójcy magów tak jak ja teraz do ciebie i skazał na śmierć niejednego wielkiego maga.

Ja uczynię to teraz po raz drugi.

Myślę, że Li-Ming wie, że to ja cię wysłałem śladem Isendry, lecz mimo wszystko pozwoliła mi żyć, wiedząc, że tak samo jak przypieczętowałem śmierć Isendry, mogę postąpić w jej przypadku.

Zrozum jedno: Li-Ming nie kłamała. W naszej bibliotece istotnie znajdują się księgi opisujące wydarzenia, które może właśnie mają nadejść. Wszystko zaczyna się od gwiazdy, która spada z nieba, i gwiazda spadła z nieba w dniu, w którym walczyłem z Li-Ming.



Znam prawdziwą naturę magii i wiem, kim jestem. Li-Ming również to wie, ale obrała inną drogę. Stoimy na rozdrożu, zabójczyni magów. Nie jestem ślepy na zło, które nam zagraża, lecz obawiam się bardziej zła, jakim może się okazać Li-Ming. Dlatego też niniejszym skazuję na śmierć moją

najznamienitszą uczennicę, być może jedyną nadzieję świata, i modłę się, abym wybrał słusznie.

Wciąż jednak pamiętam dziewczynkę, która stała przede mną w tym pomieszczeniu i nie bała się niczego. Pamiętam bezinteresowną młodą kobietę, która chciała czynić dobro i dla której żadne zadanie nie było zbyt trudne ani niemożliwe. Kobietę, która szukała mego przewodnictwa.

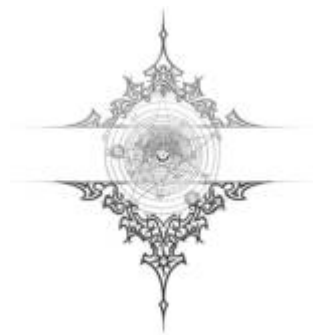
Ona dokonała swojego wyboru, a ja swojego.





Matt Burns
KROCZĄCY
W ZWĄTPIENIU





Wojna rozpoczęła się o wschodzie słońca. Jak zawsze.

Benu i dziesięciu innych szamanów z Klanu Siedmiu Kamieni zakradli się do serca Teganze szybko i cicho niczym pantery. Jedynie cichy grzechot kościanych i żelaznych amuletów przywieszonych do plemiennych masek zdradzał ich obecność. Ciała wymalowane w białe, żółte i czerwone pasy, ozdobione jaskrawymi piórami ptaków bokai wtapiały się w wibrującą kolorem i życiem dżunglę.

Wkrótce szmaragdowy baldachim nad ich głowami zgęstniał i zanurzyli się w wieczny półmrok. Benu nadstawiał uszu na każdy dźwięk, starając się usłyszeć najmniejszy nawet ruch... który mógłby doprowadzić go do ludzkiej zwierzyny.

Nadszedł czas na Igani Bawe - Żniwa Dusz.

Była to pierwsza rytualna wojna dla Benu i oczekiwanie sprawiało, że serce waliło mu niczym bęben. Gdzieś w głuszy, może nawet niedaleko, ruszyli na łów jego rywale, szamani Pięciu Wzgórz i Doliny Chmur, posłuszni wezwaniu najwyższych kapłanów tak samo jak Benu i jego lud.

Wojownicy plemienia Siedmiu Kamieni zatrzymali się na odpoczynek już na terytorium Pięciu Wzgórz. Dwóch szamanów ruszyło między drzewa, by upewnić się, że w okolicy nie ma wrogów.

– DRŻYSZ na myśl o nadciągającej bitwie? - szepnął Ungate, mentor Benu. Szczyt jego przerażającej maski wieńczył róg z kości słoniowej, ozdobiony fioletowymi piórami.

– Nie - odparł Benu.

– Pokaż mi dłoń.

Benu odetchnął, by uspokoić nerwy, nim wykonał polecenie. Z zadowoleniem stwierdził, że jego dłoń ani drgnęła.

– CZUJESZ STRACH Na myśl o nadciągającej bitwie? - Ungate przysunął się bliżej, ścisząc zarazem głos.

– Każdy czuje strach. Taki jest świat cieni. Moja dłoń nie drży, albowiem znam prawdę. Gdybym zamknął na nią oczy, to uczucie zawładnęłoby mną całym - odpowiedział młody szaman.

Ungate lekko ścisnął ramię Benu na znak aprobaty, a ten odetchnął z ulgą. Nie bał się, ale czuł niepokój. Wyczekiwał tego dnia przez lata treningu. Nie było bowiem większego zaszczytu, niż walczyć w trakcie Igani. Ta starożytna ceremonia pozwoliła jego ludowi i wierze przetrwać wieki. Zanim zajdzie słońce i polowanie dobiegnie końca, Benu albo powróci do domu w chwale, albo polegnie z rąk rywali.

I każda z tych możliwości była na swój sposób zakończeniem honorowym. Jeśli Benu weźmie jeńców, zyska uznanie i podziw swych pobratymców. Jeśli sam trafi do niewoli, jego duch zostanie uwolniony z krainy cieni i będzie mógł wejść do prawdziwej rzeczywistości Mbwiru Eikura, Bezkształtnej Krainy.

To było jego przeznaczenie, jako szamana, strażnika dziedzictwa umbaru, żywego pomostu między światami. Tak było zawsze i tak zawsze będzie.

– Życie znaczy składać ofiarę. - Podniósł głowę, a jego pierś wypełniła duma.

Ungate dokończył stare powiedzenie umbaru:

– Składać ofiarę znaczy żyć.

Zwiadowca wynurzył się z dżungli i na migi przekazał, co widział: szamana Pięciu Wzgórz. Samego.

Wojownicy ruszyli. Szli przez zarośla, utworzywszy ciasny półkrąg. Dżungla rzedła z każdym ich krokiem, dotarli do miejsca nazywanego Wzgórzami Mgieł. Wkrótce zobaczyli człowieka wśród niskich chmur: starszego szamana, którego maska była poznaczona bliznami i wpływami pogody, jak i jego własna skóra.

Ungate przykucnął, wyciągnął zza pasa dmuchawkę o długości przedramienia i przyłożył do ust przez otwór w masce. Posłał w kierunku wroga strzałkę nasączoną trucizną z ropuch uapa. Strzałka trafiła mężczyznę w plecy, zanim ten choćby zauważył przeciwnika. Paraliż przyszedł błyskawicznie. Starzec osunął się na kolana. Trucizna nie czyniła jednak większych szkód. Miała tylko zranić i unieruchomić. Zabijanie przeciwników na tym etapie Igani stanowiło tabu i było surowo karane.

Szaman przeciwników uznał porażkę i postąpił tak, jak dyktował zwyczaj.

– Siedem Kamieni... - wystękał. - Weszliście daleko na moje ziemie.

– Żeby znaleźć godną ofiarę - odparł Ungate. - Jesteś wielki Zuwadza, tak?

– To ja. - Starzec pochylił głowę.

Benu z daleka przysłuchiwał się tej wymianie zdań, obserwując uważnie poczynania bardziej doświadczonych. Studiował wcześniej reguły bitwy, ale dopiero gdy ujrzał je na własne oczy, poczuł spełnienie, oto był świadkiem urzeczywistnienia wszystkiego, czego się dotąd nauczył i w co wierzył.

– Jesteś większym wojownikiem niż ja. - Ungate podszedł i objął Zuwadzę. - Tutaj jesteśmy wrogami, ale w Mbwiru Eikura jesteśmy braćmi po wsze czasy. Czekam na szansę, by cię tam spotkać.

Zuwadza wstał o własnych siłach, trucizna powoli przestawała działać. Kiedy podszedł, Benu skłonił głowę na znak szacunku. Zazdrościł starcowi. Dzisiaj kapłani zakończą cierpienia pojmanego szamana. Krew i organy starca zostaną ofiarowane duchom Bezkształtnej Krainy, nie tylko po to, by użyźnić dziedzinę dla tych, którzy nadejdą później, ale również by umocnić świat cieni. Udane plony, zmiany pór roku i całe życie ludu umbaru zależały od tej ofiary. W oczach Benu Zuwadza był bohaterem.

Grupa zawróciła do domu. Zuwadza rozpoczął Te Wok Nu'cha, Ostatni Marsz. Trzymał głowę wysoko, pogodzony z losem.

– Zostawcie go! - rozległ się głos we mgle, gdy Benu i jego pobratymcy dotarli już na skraj dżungli.

Wszyscy, także Zuwadza, kręcili się zmieszani, próbując dojrzeć, kto to powiedział.

– Zostawcie go i odejdźcie. Nie ma powodu odbierać mu życia. Wiele ma jeszcze do przekazania. - Z oparów wyłonił się szaman. Jak wszyscy uczestnicy Igani ciało miał zdobione malunkami, a twarz ukrytą za maską. Znaki na skórze potwierdzały, że obcy pochodzi z plemienia Pięciu Wzgórz.

– Zgodnie z prawem należę do nich - przemówił Zuwadza. Ze spokojnego tonu jego głosu wynikało, że nie był zaskoczony obrotem zdarzeń. - Oni czynią tylko to, czego ich uczono.

– Duchy nie chcą twojego życia, mistrzu - odpowiedział drugi szaman Pięciu Wzgórz.

Ungate wymierzył w niego gniewnie ceremonialny szept.

– Źle postępujesz, przerywając Te Wok Nu'cha.

– Tak mówią wam kapłani. To oni wszczynają te wojny, nie duchy. Życia w tej krainie nie powinno się oddawać tak łatwo. Ta ofiara nie jest potrzebna... Igani nie jest potrzebne. To tylko sposób, żeby siać strach i sprawować kontrolę.

Towarzysze Benu zasycieli z dezaprobatą. Jego też przepełniał gniew. Pierwszy raz słyszał, żeby ktoś sprzeciwił się świętym nakazom Igani. Było jasne, że człowiek ten postradał zmysły.

– Idź precz! - ryknął Ungate.

Młody szaman Pięciu Wzgórz zignorował wezwanie, szedł ku nim, wznosząc otwarte dłonie.

– Oferuję wam życie. Wróćcie do wioski. Zapytajcie kapłanów, co naprawdę zobaczyli w Bezkształtnej Krainie i co powiedziały duchy. Chcę tylko ocalić życie mojego mistrza.

Benu, przepełniony gniewem, dobył sztyletu i rzucił się na bluźniercę. Przeciwnik płynnie uniósł ręce przed siebie i z jego dłoni wystrzeliły turkusowe wstęgi energii. Duchowy pocisk został wystrzelony z niezwykłą precyzją, musnął ramię Benu z wystarczającą siłą, by go powalić i oszołomić.

– Wypuście mojego mistrza. Tylko o to proszę! - nalegał obcy.

Ungate i jego ludzie rzucili się na tajemniczego szamana. Z oczami pełnymi żalu przeciwnik z Klanu Pięciu Wzgórz skierował dłoń ku ziemi i wykrzyknął śmiertelny urok, zakazany podczas Igani. Wojownicy Siedmiu Kamieni padli na kolana i złapali się za gardła. Z ust wypłynęła im fioletowa piana. Po kilku sekundach wszyscy leżeli nieruchomo.

– Jesteś młody. - Bluźnierca pochylił się nad Benu. - Łatwiej ci będzie dostrzec prawdę.

Benu sięgnął po leżący na ziemi sztylet, ale drugi szaman kopnął broń na bok. Z oddali, zza mgły, dobiegły okrzyki ludzi zaalarmowanych odgłosami

walki.

– Moi pobratymcy... - powiedział szaman. - Jeśli cię znajdą, zostaniesz złożony w ofierze.

– Godna śmierć! - krzyknął Benu. Oczy miał pełne łez z żalu po poległych towarzyszach, którzy zginęli tak niegodną śmiercią. - Ty nie masz o tym pojęcia!

– Nie. Ledwie posmakowałeś życia. Nie wiesz, jakie to błogosławieństwo. JESTEŚ ŚLEPY.

Ostatnie słowa zadzwoniły w uszach Benu. Urok. Pociemniało mu w oczach. Rzucił się niczym ryba wyrzucona na piasek.

– Słuchasz rozkazów kapłanów. Jesteś powolny lękom.

Kolejna klątwa chwyciła Benu w szpony. Z zakamarków jego duszy wypełzły najgłębsze lęki i wypełniły młodego szamana obezwładniającą grozą. Choć oślepl, czuł, że jego ciało gna przez dżunglę, wiedziało, gdzie stawiać stopy. I cały czas słyszał głos bluźniercy, człowieka, który zbezczeszczył pierwsze Igani, który wciąż szeptał Benu do ucha:

Idź. Biegnij do domu. Szukaj w miejscach niewidocznych. Zadawaj pytania, na które nikt nie odpowiedział. Szukaj prawdy.



– Nie mów o tym nikomu - rozkazał Guwate'ka. Najstarszy kapłan Siedmiu Kamieni stał nad Benu, a nad zmarszczonymi brwiami wznosił się pióropusz wysoki na trzy stopy. Starzec od stóp do głów pokryty był białą farbą, gotów rozpocząć rytualne składanie ofiar.

– Duchy wiedzą, że postąpiłeś honorowo, Benu. To nie twoja wina - zapewnił drugi kapłan. W chatce tłoczyło się pięciu najstarszych członków rady plemienia Siedmiu Kamieni. Benu udał się do nich od razu po

powrocie do wioski i zdał relację z potwornych wydarzeń, których był świadkiem.

Teraz kiwał głową, potakując słowom starszego szamana, ale wciąż czuł gniew i wzburzenie. Czuł się zbrukany i zastanawiał się, czy duchy na pewno zrozumiały, że starał się - ze wszystkich sił - powstrzymać bluźniercę.

- Chodź. - Guwate'ka skierował się do wyjścia.

Pośrodku wioski płonęło ognisko. Szamani tańczyli wokół płomieni, tupiąc zgodnie z hipnotycznym rytmem bębnów i natrętnie rytmicznym śpiewem mieszkańców osady. Między chatami płynęły w powietrzu, niczym ogromne świetliki, pochodnie niesione przez kobiety i mężczyzn, którzy szykowali puste, splamione krwią dzbany na dzisiejszą ofiarę.

Benu rozejrzał się, sprawdzając, którzy z szamanów wrócili, a którzy nie. Pominąwszy jego niefortunnych towarzyszy, dziesięciu innych wojowników nie wróciło do wioski. W wyobraźni widział ich w wioskach Pięciu Wzgórz i Doliny Chmur, namaszczone rytualnymi olejkami i przygotowywanych do podróży do Mbwiru Eikura, tak jak to miało miejsce z ofiarami, które będzie składać jego plemię.

Kiedy mistrzowie ceremonii przyprowadzili do ogniska pierwszych pojmanych, cała wioska zaczęła śpiewać pieśń szacunku i podziwu. Guwate'ka zbliżył się do ofiary i podniósł bogato zdobiony metalowy sztylet.

- Oddajemy wam cześć! - ryknął najstarszy kapłan. - Oddajemy was największemu z plemion, gdzie wszyscy umbaru są jednym ludem. W nadchodzących godzinach będziemy śpiewać pieśni, dziękując za waszą wielką ofiarę.

- A kiedy i wy przybędziecie do Bezkształtnej Krainy, powitam was tam - odpowiedział wojownik składany w ofierze.

Guwate'ka ciął poprzecznie, precyzyjnie podrzynając szyję pojmanego szamana. Ofiara nie krzyknęła ani nie skręcała się w agonii. Umarła z honorem, tak jak powinna. Czym był ból na tym świecie w porównaniu z wieczną chwałą, która czekała w zaświatach?

Kapłan odchylił głowę, wyciągnął ręce ku niebu i zadrżał konwulsyjnie. Wokół niego uformowała się zapierająca dech w piersiach lazuruwa aura, rozświetlając rysy starca.

Benu patrzył, jak starszy wchodzi w duchowy trans, stan umysłu, który pozwalał wybranym umbaru zajrzeć do Mbwiru Eikura. Młody szaman dobrze znał ten rytuał. Jak każdy inny szaman, Benu od urodzenia związany był z Bezkształtną Krainą. Więż okazała się silniejsza niż u większości, jednak bladła w porównaniu z tym, co oglądał. W tamtym świecie Benu widział zaledwie kształty. A podobno przywódcy klanu porozumiewali się bezpośrednio z duchami, zasięgając rad i słuchając nakazów.

Uczestnicy obrzędu natychmiast podbiegli do miejsca rytualnego mordu i zaczęli zbierać krew ofiary do ceramicznych naczyń. Ciało szamana zostało wypatroszone, a organy pieczołowicie - niemal z troską - umieszczone w dzbanach.

Guwate'ka wyszedł z transu chwilę później. Popatrzył po mieszkańcach wioski, stojących z zapartym tchem, spojrzenie miał niewidzące, jakby z trudem przyszło mu odnaleźć się w świecie rzeczywistym. Benu wiedział, że czas w Bezkształtnej Krainie płynął inaczej. Tam trans mógł trwać kilka minut, podczas gdy w świecie materialnym mijały zaledwie sekundy.

– Ofiara dotarła do Mbwiru Eikura i śpiewa pieśń dziękczynną! - ogłosił Guwate'ka. Współplemieńcy zaczęli wiwatować radośnie. Z oczu niektórych popłynęły łzy.

Była północ, gdy wyzwolono ostatnią z ofiar. Mieszkańcy wioski oddalili się do długich chat, aby spożyć posiłek i rozmawiać o szamanach, których

życie zostało ofiarowane. Świątowanie trwało aż do świtu. Benu został przy ognisku sam.

Coś go dręczyło, jakiś odległy niepokój. Choć minęło wiele godzin od jego spotkania z uczniem Zuwadzy, głos tego głupca wciąż brzmiał mu w uszach:

Szukaj w miejscach niewidocznych. Zadawaj pytania, na które nikt nie odpowiedział. Szukaj prawdy.

Benu zacisnął pięści. Jednak to nie słowa wrogiego szamana go dręczyły. Ale myśl, że ów mógł go przekląć. I nie pomogły zapewnienia kapłanów, że do tego nie doszło.

Młody szaman błąkał się na skraju wioski, z daleka od gwaru rozmów i śpiewów dochodzących z chat. Szamanom pozycji Benu nie wolno było wchodzić w duchowy trans po Igani. Kapłani mówili, że to dezorientuje dusze niedawnych ofiar. Ale Benu chciał - MUSIAŁ - wiedzieć, czy duchy mu sprzyjają.

Zmusił swojego ducha, aby oddzielił się od ciała. Po policzkach Benu popłynęły ciepłe, mleczne łzy. Z każdą z nich świat wokół stawał się coraz bardziej niewyraźny, odkrywając pozbawioną form topografię Mbwiru Eikura. Niebo płonęło energią, ale blask nie rozjaśniał zmieniającego kształt łądu.

– Czy wasza łaska jest przy mnie? - zawołał Benu.

W odpowiedzi pojawił się przed nim tuzin postaci o białych oczach i ciałach z czystej ciemności. Nie można było dostrzec rysów ich twarzy, ale dzięki wyjątkowej więzi z Bezkształtną Krainą Benu rozpoznał postacie. Były to duchy złożonych w ofierze kobiet i mężczyzn, którzy według słów Guwate'ka wkroczyli do Mbwiru Eikura przepełnieni spokojem.

Lecz duchy nie były wcale spokojne. Zjawy wyciągnęły cieniste ręce ku Benu.

Choć nie słyszał słów, ich dezorientacja przeszła jego duszę niczym włócznia. Bezkształtna Kraina okazała się inna, niż się tego spodziewali. Skręcali się w niepewności. Jakby wszelkie ich przekonania legły w gruzach.

Jakby wszystko, w co wierzyli za życia, okazało się kłamstwem.



– Życie znaczy składać ofiarę. Składać ofiarę znaczy żyć - wyszeptał Benu w wilgotnym powietrzu dżungli. Za nim szły pomalowane postacie. Igani Bawe nadeszło ponownie, wcześniej, niż sądzono, i plemię Siedmiu Kamieni szykowało się do wojny, która miała się rozpocząć o wschodzie słońca. Bitwy następowały zazwyczaj wraz ze zmianą pór roku, ale teraz zaledwie tydzień minął od ostatniego Igani.

Benu siedział plecami do ogniska pośrodku wioski, rozmyślając nad ostatnimi wydarzeniami, obserwując, jak jego cień staje się coraz dłuższy, w miarę jak płomienie strzelały wyżej. Guwate'ka i inni kapłani twierdzili, że duchy domagają się wojny za czyny szamana bluźniercy z plemienia Pięciu Wzgórz. Choć Benu milczał, wieść o samowolnym uczniu Zuwadzy rozniosła się po dżungli lotem błyskawicy, w czym pomogły wydạtnie szlaki handlowe, z których umbaru korzystali w czasie pokoju. Powiadano, że bluźnierca pomordował nawet swoich pobratymców, po czym wraz z mistrzem zniknął w najbliższej części dżungli i słuch o nich zaginął.

A potem przyszły plotki. W niektórych występny szaman był szaleńcem, który zmasakrował wojowników Siedmiu Kamieni z czystej żądzy krwi. W innych bluźnierca pożerał pomordowanych szamanów i stawał się kanibalem - kareeb. Taki czyn był nie do pomyślenia, a ci, którzy go popełnili, nie mieli wstępu do Mbwiru Eikura. Benu zbywał te opowieści, uznając je za pozbawione sensu plotki, czym w rzeczywistości były.

– Podczas tego Igani oczyścimy to, co zostało skalane! - ryknął Guwate'ka ze swojego miejsca przy ognisku, otoczony przez pozostałych kapłanów klanu. - Udowodnimy duchom, że pozostaliśmy wierni!

Mieszkańcy wioski wrzasnęli na znak zgody, ale Benu milczał. Duma z udziału w Igani przeminęła. Tak jak przeminęła pewność siebie i zrozumienie celu, które kiedyś dawał mu rytuał. Pozostały mu jedynie wątpliwości, ciężki, dojmujący niepokój, który zagnieździł mu się w żołądku. Nawet tutaj, w otoczeniu pobratymców śpiewających pieśni jego ludu, młody szaman nie mógł zapomnieć o zagubionych duchach, które ujrzał w transie. Wspomnienie to prześladowało go we śnie i na jawie.

Był to wytwór wyobraźni czy jednak prawda? Benu czuł się rozdarty między pragnieniem, by wierzyć słowom kapłanów, a rosnącą chęcią kwestionowania ich słów.

Zamknął oczy i potrząsnął głową z obrzydzeniem.

Co za choroba mnie dręczy? Duchy Mbwiru Eikura nie są złe. Dlaczego teraz, po latach absolutnej pewności, kwestionuję tradycję mojego ludu?

Odwrócił się do płomieni. Guwate'ka wchodził właśnie w duchowy trans, jego oblicze lśniło lazurowym blaskiem. Benu dołączył do tańca wokół ogniska, powtarzając sobie, że duchy, które widział, były częścią rzuconej na niego klątwy. Kapłani byli nieomylni. Ich związek z Mbwiru Eikura przekraczał pojmowanie Benu.

Lśniący od potu śpiewał i tańczył. Jego obawy bladły. Przez krótką chwilę rytuał przywrócił mu dumę i szaman czuł niemal tęsknotę na myśl o honorowej bitwie, która rozpocznie się ze wschodem słońca.

Nagle kątem oka dostrzegł ruch, cienie wokół ogniska zmieniły kształt. Dziesiątki czarnych, widmowych rąk wyciągnęły się ku niemu, próbując pochwycić go palcami zakrzywionymi na podobieństwo szponów.

Duchy... przybyły zemścić się za kłamstwa, jakimi je karmiono, pomyślał Benu. Zatoczył się w tył, znów niespokojny i zdenerwowany. Kiedy ponownie spojrzął, ognisko wyglądało już zwyczajnie.

Mój umysł płata mi figle, wmawiał sobie, ale nie mógł pozbyć się niepokoju. Poczul się przytłoczony - pomalowane, tańczące ciała i pióropusze zlały się w morze kolorów i dźwięków, które zapierało mu dech.

Benu chwiejnym krokiem odszedł od ognia. Skręcił między puste szalasy, spazmatycznie łapiąc powietrze. Z ciemności wyłoniła się zimna ręka i złapała go za ramię. Obrócił się z szybkością atakującego pająka, niepewny, co go czeka. Za nim skąpana w cieniu stała kobieta. Światło padało jedynie na jej twarz. Była piękna.

– Benu - odezwała się nieznajoma - dziwne, że w tę wspaniałą noc nie bierzesz udziału w rytuale.

– Kim jesteś? - zapytał, odzyskując panowanie nad głosem.

– Jestem Adija, żona Guwate'ka.

Młody szaman spuścił wzrok na znak szacunku. Nie był godny patrzeć na żonę kapłana. Kobiety o jej pozycji rzadko opuszczały chaty, nawet podczas ceremonii.

Adija ujęła Benu za podbródek i podniosła mu głowę, aż ich spojrzenia się spotkały.

– Masz moje pozwolenie, aby patrzeć. Musiałam przyjść, żeby się przekonać, czy duchy mówiły o tobie prawdę...

– Co... - zaczął Benu, ale Adija uciszyła go, kładąc mu palce na ustach.

– Mówią, że coś cię dręczy. Jakaś choroba. Ja też to widzę.

Benu odwrócił wzrok, strapiiony tym, że o zamęcie w jego umyśle dowiedział się ktoś z pobratymców.

– Nie wstydz się. Jesteś w dobrym towarzystwie. Kapłani wierzą, że jestem uzdrowicielką. Trucizny, która zatruwa ci umysł, można się pozbyć -

powiedziała Adija.

– A ty chciałabyś uzdrowić MNIE?

– Chciałabym - zapewniła, a w jej słowach była jakaś nieokreślona energia i czułość. Adija pogładziła szamana po ramieniu i ujęła za wilgotną dłoń. - Chodź.

Benu posłuchał, zafascynowany jej pewnością siebie. Kiedy ognie w wioskach zdawały się niemal tak odległe jak gwiazdy, Adija zatrzymała się i gestem nakazała młodemu szamanowi, aby usiadł na plecionej macie. Przed nim leżały jego szamańskie akcesoria: farba do ciała, wysadzany klejnotami sztylet, straszliwa, ozdobiona piórami, rogata maska o rysach wykrzywionych w nieludzkim grymasie, a także różnego rodzaju mikstury oraz talizmany.

Adija wyglądała na niewiele starszą od Benu. Silna, ale i ponętna, nie można było przeoczyć miękkiej linii jej bioder. Twarz opalona słońcem miała złocistobrązową barwę kory zdrowego drzewa baree. Wiatr rozwiewał pióra dzikiego ptaka przyczepione do metalowych bransolet, które nosiła na nadgarstkach i kostkach.

– Farba - nabrała garść ziarnistej pasty - ze szpiku najstraszliwszych bestii dżungli. Niechaj wzbudzi twoją odwagę, kiedy staniesz twarzą w twarz z wrogami. - Adija rozsmarowała chłodne mazidło na twarzy Benu. - Sztylet ze szpona, zabójczy jak monstrum, do którego należał. Ostrożnie i precyzyjnie tnij jego głodnym krwi ostrzem. - Wsunęła broń za pas Benu.

Szaman zamarł, gdy Adija nagle pochyliła się ku niemu. Jej usta dotknęły jego warg, zanim zdążył się uchylić.

– Pocałunek na znak, że w tej sprawie jesteśmy jednością - powiedziała. - Maską z koszmarów naszych praojców. - Uniosła drewniany wizerunek, by założyć go na głowę szamana. - Aby odegnać złe duchy, których knowania mają udaremnić nasze łowy.

Adija spojrzała na Benu uważnie.

– Honor to coś więcej niż bezsensowna śmierć w bitwie.

Benu aż drgnął na tę sugestię.

– W Igani nie ma bezsensownej śmierci - zaproponował.

– Wierzysz w to czy tylko powtarzasz, czego cię nauczono? - zapytała Adija. - Duchy mówią, że kroczysz dwoma drogami, wahając się, ku któremu zmierzać przeznaczeniu. Z jednej strony na zawsze dziecię Siedmiu Kamieni, szukające łaski, której kapłani dać nie mogą. Z drugiej pożoga, bezlitosna i oślepiająca, niosąca odnowienie i życie zastygłej dżungli. Jutro będziesz musiał wybrać.

Jej słowa graniczyły z bluźnierstwem, ale Benu nie potrafił ich zignorować. Bo w niewielkim stopniu odzwierciedlały zamęt, który ostatnimi czasy ogarnął jego duszę.

– Która droga jest słuszna? - zapytał. - Co przyniesie jedna, a co druga?

– Nie do mnie należy dać ci odpowiedź. Mogę jedynie zaoferować radę. Ale wiedz jedno: duchy są niespokojne. Mówią, że my, umbaru, nie jesteśmy już wyjątkowi czy godni czci. Mówią, że okłamujemy siebie, kiedy twierdzimy, że ofiary służą naszemu ludowi. Mówią... - Adija się zawahała. - Nie. Nie wolno mi. Nie jestem kapłanem.

– Mów. Nie będę oceniał. - Benu zakołysał się na palcach stóp zachwycony.

Adija wyszeptała cicho, ledwie słyszalnie:

– Mówią, że jesteśmy ŚLEPI.

Serce Benu zabiło jak szalone. Z zakamarków pamięci wypłynęło wspomnienie szamana bluźniercy.

– Kapłani zachowują się tak, jakby codziennie rozmawiali z duchami, ale tak nie jest - kontynuowała Adija. - Najczęściej Guwate'ka i inni dostrzegają jedynie przebłąski Bezkształtnej Krainy. Igani i prawa, które

kierują naszym życiem, istnieją tylko po to, by kapłani mogli zachować władzę, zdławić nas, zniewolić.

– Przysięgałem strzec naszej tradycji - odpowiedział Benu, ale w jego głosie brakowało przekonania.

– Widziałeś, że w Mbwiru Eikura nie jest tak, jak mówią przywódcy, prawda?

Benu przełknął niepewny, czy bezpiecznie jest ujawniać to, czego był świadkiem.

– Widziałem wiele rzeczy w Bezkształtnej Krainie. Niektóre prawdziwe, niektóre tylko złudne. Taka jest natura tego miejsca.

Adija spojrzała Benu w oczy, mrużąc przy tym swoje. W końcu uśmiechnęła się szeroko i klasnęła.

– Tak, tak. Więc jednak coś widziałeś. Duchy mówiły prawdę.

Nagle usłyszeli zbliżające się głosy, odbijające się echem od chat. Dwaj mężczyźni zawędrowali na skraj wioski. Adija przykucnęła, a Benu poszedł w jej ślady. Przeszły go ciarki na myśl, że mógłby zostać przyłapany nie tylko z żoną kapłana, ale na dodatek na podważaniu nauk przywódców. Jednak rozmawiający mężczyźni oddalili się zajęci swoimi sprawami.

– Wiem, jaka jest cena twojej pozycji - odezwała się Adija. - I wiem, jakie brzemie dźwigasz jako szaman. - Zmarszczyła gniewnie brwi. - To niewolnictwo, choć nikt tego tak nie nazywa. Przyszłam do ciebie, bo mam nadzieję, że nas uwolnisz, że zmienisz nasze prawa.

Benu pomyślał o sztylcie u boku i rzeźbionej masce na twarzy.

– Nie rozumiem. Dlaczego pomagasz mi się przygotować do Igani, jeśli uważasz, że nasze tradycje są złe?

– Żeby rozpoznać właściwą drogę, najpierw musisz wiedzieć, jak wygląda zła. O wschodzie słońca wyruszysz na Żniwa, jak cię uczono, ale

tym razem będziesz polował z otwartymi oczami. To przepowiedziały duchy.

Adija cofnęła się i spojrzała na swoje dzieło.

– Przedemną widzę nie człowieka, ale szamana. Wojownika Mbwiru Eikura. Mistrza, nie niewolnika. Nie zapominaj o tym.

Benu wstał, a w jego głowie dziko kłębiły się myśli o radykalnej zmianie. Sama możliwość uzyskania odpowiedzi na niektóre pytania mocno go ożywiała. Miał CEL. Nie miał takiego poczucia harmonii od wielu dni.

– Powodzenia w łowach - pożegnała go Adija.



Kilka godzin później oddziały wojowników Siedmiu Kamieni przedzierały się przez zarośla i pnącze swej ziemi. Benu wyrwał się do przodu, licząc, że odosobnienie da mu jasność umysłu. U boku miał parę wynędzniałych ogarów, odartych z sierści. Były to nieziemskie bestie, bezwzględne i czujne, zrodzone ze szczątków umarłych i starej magii umbaru.

Z upływem każdej pory roku, tuż po Igani, wypatroszone ciała ofiar zszywano z wielką pieczołowitością na kształt psów i wypełniano je spreparowanymi ziołami i suszonymi liśćmi. Za łeb służyła wygotowana czaszka bestii z dżungli, mocowana tuż nad kryzą z piór. Dzięki błogosławieństwu duchów te ożywione istoty służyły wiernie szamanom.

Kapłani podarowali Benu dwa psy zombie przed jego pierwszym Igani, ale młody szaman z nich nie skorzystał. Duma kazała mu pójść na rytualną wojnę uzbrojonemu jedynie w siłę i spryt. Teraz myślał tylko o przetrwaniu. Nazwał swoje psy Chena (co oznaczało gorączkę) i Owaze (czyli lot). Przemykały płynnie przez gęstą roślinność poszycia, pędząc w rytm swoich fantomowych serc.

Śmiech, wysoki i natrętny, przeszył gęstwinę. Chena i Owaze zamarły, łypiąc nerwowo ślepiami. Benu zatrzymał się ślizgiem i odwrócił, próbując odnaleźć źródło dźwięku. Dobył sztyletu zaciśniętego za pasem, słysząc znajomy przenikliwy chichot.

Znów rozległ się śmiech. Mrok dżungli umiał skrywać rzeczy przed niepożądanym wzrokiem. Nagle spośród koron na ziemię spadł mały woreczek, nie większy niż dłoń dziecka. Benu cofnął się instynktownie, wiedział bowiem, że powinien obawiać się tysiąca klątw, które mogły się kryć wewnątrz pakunku.

Lecz jego psy nie wiedziały. Rzuciły się na przedmiot jak na świeżą kość i rozerwały kłami, uwalniając obłok chorobliwie zielonego dymu. Ogary zachwiały się, jakby kręciło im się we łbach, a Benu mógł tylko patrzeć, jak próbują utrzymać się na nogach i zastanawiać się, cóż też za zły los stał się ich udziałem.

Niewidoczny przeciwnik wyskandował szybko: Gowaia fen! Bo'ta! - a każdej sylabie towarzyszył syk grzechotki wypełnionej drobinami. I wtedy Benu pojął wszystko. Czar oraz woreczek stanowiły niezdarną próbę przejęcia kontroli nad umysłem. Zaklęcie nie podziałałoby na Benu ani innego szamana, lecz psy były prostymi istotami o słabej woli.

- Tchórz! - krzyknął Benu.

Z chudych pysków Cheny i Owaze dobył się głuchy warkot. Ogary skoczyły, próbując wbić kły i pazury w nieosłonięte ceremonialnym strojem części ciała Benu.

Zręcznie unikając wściekłego ataku, szaman sięgnął za pas po czaszkę wypełnioną palnymi olejkami i magią. Cisnął ją pod łapy swych niedawnych sług i zapalił, przywołując w ten sposób wizerunek człowieka, stworzony z płomieni, które pochłonęły obie bestie. Płomienie łapczywie

zagarnęły ciała psów, ale te nie przestawały atakować, nie czuły bowiem bólu i nic nie mogło zbić ich z tropu.

Benu uskoczył przed kolejnym atakiem. Śpiewnie wymówił kontrzaklęcie. Z jego ust wystrzeliła chmura lśniących pyłków iskrzących niebieską energią, którą rzucił na psy niczym magiczną derkę. Czar okazał się nieskuteczny przeciwko klątwie rzuconej przez niewidocznego wroga. Nawet gdyby Benu udało się uniknąć ataku psów, wiedział, że przeciwnik szykuje następny atak.

Gdyby się poddał, wszystko byłoby tak, jak być powinno, jak umbaru postępowali od tysięcy lat. Ale teraz szaman nie dopuszczał do siebie myśli o dobrowolnym oddaniu się w ręce wroga.

„Życia w tej krainie nie powinno się oddawać tak łatwo. Ta ofiara nie jest potrzebna... Igani nie jest potrzebne” - powiedział bluźnierca. Teraz te słowa nie wydawały się już tak niegodne jak wtedy, gdy Benu usłyszał je po raz pierwszy.

Szaman zacisnął dłoń na sztylcie, desperacko próbując znaleźć wyjście z sytuacji. Chena i Owaze zbliżały się z wyciem, a głos wśród liści śmiał się zadowolony. Benu czuł ucisk w gardle. Oddychał ciężko. Ciął sztyletem skórę Cheny dokładnie w tej chwili, gdy Owaze rzucił się na swego dawnego pana. Szaman padł na ziemię, o włos unikając ataku. Psy zatoczyły koło, gotowe uderzyć ponownie.

Nagle z gęstwiny za Owaze wyłoniła się jedna z córek plemienia Siedmiu Kamieni. Wyglądała przerażająco w sukni z piór, z obliczem ukrytym za maską, której cztery zakrzywione rogi wieńczył szkarłatny pióropusz. Nowo przybyła zbliżyła wyprostowaną dłoń do ust widocznych w otworze maski i z przeciągłym kaszlnięciem wypluła chmurę szarańczy, wprost w korony otaczających ich drzew.

Ukryty szaman krzyknął. Zaklęte psy upadły bezwładnie, ich ciała nadal płonęły.

Szarańcza znalazła swój cel w kilka sekund i pozbawiła go kamuflażu i równowagi. Upadek. Krzyk bólu. Martwe ciało wśród płożących się pnączy. Zębate insekty, odniósłszy zwycięstwo, zniknęły w gęstwinie niczym dym.

Choć Benu był wdzięczny za uratowanie życia, nie mógł zdławić poczucia winy, gdy patrzył na zwłoki drugiego szamana. Skóra jego przeciwnika poznaczona była krwawymi bąblami ugryzień.

– Widzisz? Kolejny umbaru zginął bez powodu - powiedziała zamaskowana kobieta. - Chociaż nie jesteśmy stworzeni do życia w krainie cieni, musimy ze wszystkich sił starać się tu przetrwać.

Benu od razu rozpoznał jej głos.

– Adija? - wydusił ogarnięty grozą i szokiem. - Nie jesteś szamanem! Co tutaj robisz?

– Duchy nalegały, żebym poszła za tobą, i dobrze, że ich posłuchałam. - Przechyliła głowę.

– Zasady Igani zabraniają zabijać sza...

– Zasady? - warknęła Adija. - Mówisz o zasadach po tym, co widziałeś? Mbwiru Eikura to nie jest nagroda, na którą trzeba zasłużyć i którą trzeba zdobyć, Mbwiru Eikura czeka na wszystkich umbaru. Wiesz o tym. To kapłani zaczęli tę grę. Bluźnierca z Pięciu Wzgórz zobaczył prawdę. Dlaczego temu zaprzeczasz?

– Ja... - zaczął Benu, ale nie znalazł odpowiedzi, a przynajmniej nie taką, w którą sam by uwierzył. Miała rację. Bluźnierca miał rację.

Benu zalała potężna fala emocji, chłonał Adiję i jej słowa. To było coś więcej niż pożądanie, dreszcz, jaki niosło ze sobą nieposłuszeństwo wobec najważniejszych praw kapłanów. Płonące ciała Cheny i Owaze rozświetlały

niewielką polankę. Benu zdjął kobiecie maskę, delikatnie przesunął palcami po jej wargach, a potem bez ostrzeżenia pochylił się i ją pocałował.

– Na znak, że w tej sprawie jesteśmy jednością.

Adija odpowiedziała mu szerokim uśmiechem. Zamknęła oczy, zachęcając go do kolejnych pocałunków, i Benu nie zwlekając pochylił się ku niej. Ich usta znowu się spotkały i w tej samej chwili ku zaskoczeniu szamana rozległy się krzyki i otoczyła ich grupa wojowników w maskach. Zachwyceni sobą Benu i Adija za późno zdali sobie sprawę z zagrożenia. Krzyk ginącego przeciwnika i dym unoszący się znad ciał psów Benu zwróciły uwagę szamanów z plemienia Doliny Chmur.



Powaga była wszystkim, na co zdobył się Benu, gdy jego oprawcy prowadzili go w mrok. Przed nimi leżała ziemia plemienia Doliny Chmur. Ale dla Benu niczym nie różniła się od ziemi Siedmiu Kamieni. Pokryte strzechą szałaszy wyrastały wokół płonącego ogniska. Przy ogniu stały splamione krwią dzbany, czekając na krew i organy ofiar.

Benu nie świętował Te Wok Nu'cha, ponieważ Adija rozbudziła w nim przemożne pragnienie życia. Nawet teraz jej tęskne spojrzenie wzywało go, by sprzeciwił się swemu dziedzictwu i obrócił przeciwko tym, którzy ich pojмали. Czyn taki był absolutnie niedopuszczalny, nie do pomyślenia.

Plemieniu Doliny Chmur udało się wziąć w niewolę zaledwie trzy osoby: Benu, Adiję i starszego szamana o imieniu Edwasi. Gdy grupa zbliżyła się do ogniska, została powitana przez mistrzów ceremonii i ich pobratymców, którzy śpiewali, bili w bębny, tańczyli tak, jak wymagał tego rytuał.

Trójkę jeńców pozbawionych masek i broni zaprowadzono do chaty zbudowanej z trawy i położono na niskich stołach. Namaszczano ich sokiem z ziaren, który miał zabezpieczyć ich ciała przed śmiertelnym

rozkładem w nadchodzących godzinach. Po drugiej stronie pomieszczenia srebrnowłosey Edwasi oddychał głęboko, aby uspokoić nerwy.

Ze stołu obok Adija spoglądała na Benu i z bezradnością wyciągnęła ku niemu dłoń. Młody szaman poczuł się nagle chory.

Skończywszy przygotowania, mistrzowie ceremonii oddalili się i otworzyli drzwi szałasu wielkiemu, umięśnionemu mężczyźnie trzymającemu sierp wykonany z zuchwy jakiegoś zwierzęcia. Benu nie znał imienia mężczyzny, ale imponujące nakrycie głowy wskazywało, że przybysz jest starszym kapłanem. Za jego plecami stali inni członkowie tej kasty. Nosili ozdoby z kolorowych piór i ściskali w dłoniach laleczki wanga.

Główny szaman skinął głową i odsunął się od szałasu. Do środka weszło dwóch mężczyzn i chwyciło Edwasiego za nadgarstki. Starszy szaman nie stawiał oporu, gdy go wyprowadzano i postawiono przed obliczem naczelnego kapłana. Pogodził się z losem.

Benu obserwował ceremonię przez otwarte drzwi szałasu i miał wrażenie, że ogląda ją po raz pierwszy w życiu. A przecież to Igani nie różniło się niczym od innych, których był świadkiem. Wypowiedziano słowa. Przelano krew Edwasiego. Uczestnicy zebrali organy ofiary do dzbanów, gdy pozostali mieszkańcy wioski śpiewali pieśni. Rytuał się nie zmienił. Młodemu szamanowi wydawał się jednak pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia.

– My, umbaru, ukrywamy naszą bezsensowną przemoc za porywającymi pieśniami. - Adija splunęła na ziemię.

Benu przypuszczał, że duch Edwasiego powinien już opuścić ten świat. Młody szaman pomyślał nagle o zagubionych widmach, które widział w Mbwiru Eikura, zdruzgotanych wiedzą, że nie wszystko jest takie, jak wierzyły za życia w krainie cieni.

– Skrócono mu życie, w imię czego? - syknęła Adija. - Nie musimy iść w jego ślady. Jest inne wyjście.

Serce Benu zabiło jak szalone. Głowę miał pełną wirujących myśli.

– Ich jest wielu, nas tylko dwoje. Jakie wyjście?

– Chętnie oddajemy ciała umbaru duchom, ale nam nie wolno spożywać tego daru. Nie interesowało cię nigdy dlaczego?

Benu aż się wzdrygnął potężnie na samą sugestię.

– Duchy potępiają kareeb!

– Kolejne historie wymyślane przez kapłanów. - Adija lekceważąco machnęła ręką. - U boku męża poznałam niejedną tajemnicę. Mówił o legendach, wedle których spożywanie ciała szamanów otwiera zakazaną ścieżkę, która wiedzie do boskości. Tę prawdę zagrzebano głęboko pod kłamstwami. Ale ty, mistrzu, jesteś mądry i okiełznasz tę moc dla własnego dobra. Naprawisz nasze zwyczaje. Nikt nie zdoła cię powstrzymać.

Benu popatrzył na Adiję, w jej przenikliwych oczach błyszczała szczerość.

– Gdy nasi oprawcy się zbliżą, staw im czoła - szepnęła Adija. - Pójdź za mną, a umbaru będą żyć w oświeceniu, nie w mroku.

Zgodnie z oczekiwaniami mężczyźni wrócili, ich ramiona i piersi były splamione krwią. Sięgnęli do nadgarstków Adii, lecz - nieoczekiwanie - napotkali bestialski opór.

Kobieta skoczyła na stół i zanurkowała, łapiąc jednego z mężczyzn za głowę i obracając ją z impetem, jaki zyskała, wykorzystując własny ciężar. Głuchy trzask był świadectwem jej sukcesu. Zanim drugi eskortujący zdążył zareagować, Adija chwyciła go za kark i pociągnęła w dół, unosząc kolano. Mężczyzna osunął się na ziemię nieruchomy.

Benu nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie stało, ani pojąć szybkości i precyzji, z jaką kobieta dokonała obu zabójstw. Jeszcze nigdy nie słyszał o

takiej zaciekleści. Adija chwyciła go za rękę i zmusiła do biegu.

Mieszkańcy wioski Doliny Chmur byli wstrząśnięci. Odepchnąwszy zdumionego kapłana - który choć uzbrojony, nie zdołał się jej przeciwstawić, sparaliżowany zdumieniem - Adija skoczyła do dzbanów ofiarnych z wnętrzościami Edwasiego. Jedną po drugiej ściągała pokrywy, podczas gdy tłum cofał się, rzucając przekleństwa na jej głowę, ale nie wiedząc, co począć.

– Popatrz, jak żałośnie zależni są od nakazów! - rzuciła. - Umbaru mają mnóstwo wad. Zabijamy i umieramy nie za honor, ale ze strachu.

W niebieskim glinianym dzbanie Adija znalazła to, czego szukała: wciąż ciepłe serce Edwasiego. Uniosła je, wołając:

– Jesteśmy ponad niesprawiedliwości, które nas spotykają! Posmakuj tej nagrody, Benu. Zabij w sobie niewolnika!

Mieszkańcy wioski podnieśli krzyk, powoli otrząsali się z szoku. Benu był pewien, że za chwilę ruszą do ataku. Wielu ścisnęło w dłoniach sztylety lub drzewca pik.

Stojąc bez strachu naprzeciwko gniewnego tłumu, Adija podała Benu serce. Nadszedł moment, o którym mówiła, teraz Benu to zrozumiał. To była obietnica nowego życia, wolnego od kłamstw, od bezsensownej wojny, od przygniatającego ciężaru tradycji. Benu pamiętał wszystko: udręczone duchy w Bezkształtnej Krainie, szamana bluźniercę, który zbuntował się przeciwko tradycji.

Ale tamten szaman nie był kareeb, nie pragnął walki. To Benu pierwszy zaatakował, sprawiając, że rozlew krwi stał się nieunikniony. Bluźnierca podważył wieki tradycji, by oszczędzić życie, a nie po to, by stać się bogiem wśród ludzi.

– Dzięki temu odtworzysz Teganze! - zawyła Adija. - Koniec bezsensownej śmierci. Koniec kłamstw zatruwających serca naszego ludu!

Gdy Benu wpatrywał się w twarze ludu Doliny Chmur, przepełniło go głębokie zrozumienie. Ci ludzie zbłądzili, oczywiście, ale nie byli jego wrogami. Nie chciał z nimi walczyć, to nie była ścieżka prawdy. Chciał ich tylko oświecić...

– Nie mogę - odpowiedział.

– Ty miernoto! - prychnęła. - Ty tchórze!

Adija zmiażdżyła serce w dłoni. Fioletowe światło wylało się z jej ciała gwałtowną falą, rozświetlając szare niebo nad głowami i proste chaty wokół. Skręciła się w konwulsjach. Skóra popękała jej na nogach i zaczęła odłazić krwawymi płatami, odsłaniając tuziny macek pokrytych setkami otworów gębowych umazanych żółcią. Z jej głowy wyrosły trzy potężne rogi, twarz pękła i zaczęła się rozciągać. W miejscu szczęki, zaraz nad gardłem, uformował się ziejący otwór, ociekający śliną.

– Demon... - Benu słyszał o tych stworach, o źle zrodzonym z cieni pozostających poza wszelkim zrozumieniem. Nigdy wcześniej takiego nie widział. Wzdrygnął się na myśl o wcześniejszych pieszczotach.

Benu odskoczył, gdy jedna z macek zatoczyła niski łuk. Wić ze świstem przecięła powietrze i dwaj umbaru rozplątani padli na ziemię. Inni wieśniacy rzucili się do ucieczki, a demon wył, emanując falami dzikiej energii bijącej z ohydneho ciała.

Wybuch energii przewrócił Benu, który uderzył głową w skałę. Przetoczył się na bok, ale cały świat wirował mu przed oczyma. Kilku mieszkańców wioski zdołało zebrać się do obrony, wystrzeliwując strzałki z dmuchawek i dżgając ceremonialnymi sztyletami. Adija - niepowstrzymana w swej prawdziwej formie - odpierała te próby ataków z łatwością.

Mieszkańcy wioski zginą, uświadomił sobie Benu. A ON zginie wraz z nimi.

Młody szaman usiadł, zamknął oczy i oczyścił umysł, próbując rozpocząć trans. Całym sercem pragnął przewodnictwa duchów. Jeśli dziś miał zginąć, to zginie, wiedząc, czy oświecenie, którego doznał, było prawdziwe, czy też stanowiło jedynie sztuczkę demona.

Po chwili spoglądał już na niesamowity krajobraz Mbwiru Eikura. Tuziny duchów zmierzały w jego stronę. Pośrodku zgromadzenia stała samotna postać i cienistymi rękami przywołała Benu. W jego głowie pojawiła się myśl - wrażenie:

Chodź.

Benu zadrżał przejęty oczekiwaniem. To bez znaczenia. Na dobre bądź na złe to koniec strachu i wątpliwości. Ruszył do ducha.

Ty jesteś Benu, to wiem. Kroczysz z demonem u swego boku.

– Ja... - Benu opuścił głowę zawstydzony. - Tak, to prawda. Wierzyłem, że głosi prawdę.

Po części tak było. Demon zasłonił swe kłamstwa prawdą, by zwieść cię na manowce. Prawdą jest, że Bezkształtna Kraina nie jest taka jak w naukach kapłanów. Ten, którego nazywasz bluźniercą, to wiedział. Dlatego sprzeciwił się prawu.

Obrazy zawirowały przed Benu niczym dym i błyskawice. Ujrzał owego „bluźniercę” przemierzającego tajemnicze ziemie, nieznanie młodemu szamanowi. Na nocnym niebie zapłonęła spadająca gwiazda. Benu patrzył, gdzie spada - na małe miasteczko osaczone przez zło.

– Jeśli wiedział, dlaczego odszedł? Dlaczego nie uczył swojego ludu?

Każdy umbaru kroczy swoją ścieżką. Nie ma dwóch jednakich. On będzie nauczał na swój sposób, a ty będziesz nauczał na swój. Ty, Benu, z tą samą łatwością krocisz w świecie cieni co w Bezkształtnej Krainie, jakbyś urodził się na granicy dwóch światów. Ta więź będzie twoim największym darem.

– Czego chcesz, żebym uczył?

Życie w krainie cieni jest cenne. Należy je szanować i cenić. Wojny umbaru nie niosą korzyści Bezkształtnej Krainie. Mbwiru Eikura jest światem wiecznym, w rzeczy samej. Ale jest tu i smutek, i radość, tak jak w twoim. Oto prawdy, których będziesz nauczał.

– To właśnie widziałem, kiedy patrzyłem na duchy ofiar Igani - odpowiedział Benu.

Zobaczyłeś, ale nie dałeś wiary.

Benu zaniemówił. Słowa były równie ostre, co prawdziwe.

Demon wyczuł twoje zwątpienie. To go zwabiło do naszej świętej dżungli.

Zjawa wskazała ponad ramieniem Benu. Szaman obrócił się i zobaczył - za zasłoną rozdzielającą światy - demona Adiję zamrożonego w czasie.

– Dlaczego mnie nawiedza?

Duch uniósł rękę, przywołując nowe obrazy. Benu ujrzał siebie jedzącego serce. Mimo zapewnień Adii nie dało mu boskich mocy. Nic mu nie dało. Widmowa wizja zmieniła się znowu. Teraz pokazywała Benu wygnanego z plemienia Siedmiu Kamieni, wędrującego samotnie przez Teganze, jako kareeb, trawionego przez wstyd i rozpacz. A cały ten czas Adija kroczyła u jego boku.

Skłoniłby cię do skosztowania serca i porzucenia wszystkiego, czym naprawdę jesteś. Kiedy zrozumiałbyś swój błąd, byłoby za późno. Przez lata demon żywiłby się twoją męką, tak jak niezliczoną rzeszą innych dusz. Ale ty, kuszony przez demona, odrzuciłeś jego ofertę. Dlaczego?

– My, umbaru, nie jesteśmy słabi i bojaźliwi, jak twierdził demon. Postępujemy zgodnie z tradycją, ponieważ kierujemy się honorem i dumą. Walka z tymi, którzy kurczowo trzymają się zwyczajów, nic nie da. MUSZĘ ich NAUCZYĆ.

Tym razem myśli nadpłynęły od wszystkich, jakby duchy mówiły jednym głosem.

Tak. Byłeś ślepy, ale oto przejrzałeś. Przed nami stoi nauczyciel. Duchowy przywódca i uzdrowiciel. Wojownik, który walczy w obronie życia, ale rozumie konieczność śmierci. Przed nami stoi szaman.

– Co z demonem? - zapytał Benu.

Odpowiedział mu wiodący duch.

Tyś go tu sprowadził, ty musisz go przepędzić. Wielkie to zadanie, ale pamiętaj, że duchy są tutaj, by cię prowadzić. Jesteśmy związani z tobą poprzez Bezkształtną Krainę.

Benu pokłonił się zjawom.

– Dziękuję...

I nagle, bez ostrzeżenia, Bezkształtna Kraina zniknęła w oślepiającym błysku. Benu uchylił powieki, jakby budził się ze snu, i wstał.

Demon rozrywał na strzępy obrońców Doliny. Z jego ciała wylewały się kaskady fioletowej energii, wywracając chaty i wyrzucając umbaru w powietrze niczym laleczki mojo. Macki Adii owijały się wokół szyj, nóg i torsów. Ociekające żółcią paszcze pożerały mięso i kości.

Szaman ruszył na potwora, zebrawszy z ziemi porzucony ceremonialny sztylet i włócznię.

– Demonie! - ryknął. - Opuść to miejsce!

Cisnął włócznią. Poszybowała wysoko, muskając tylko ramię Adii, ale to wystarczyło, by skupić na Benu gniew demona.

Macki puściły martwe ciała, Adija się odwróciła. Pozostali członkowie plemienia Doliny Chmur zaryzykowali i wyjrżeli zza chat, gdzie szukali osłony, i zrobili to, na co liczył Benu - powoli, ostrożnie zniknęli w bezpiecznych gęstwinach dżungli.

Młody szaman ciął wewnątrz swojej dłoni ostrzem, po czym zacisnął pięść, by wzmóc krwawienie.

– Jestem Benu z plemienia Siedmiu Kamieni. Płynie we mnie siła mojego ludu!

– Twój lud cię opuścił. - Nieludzki śmiech demona zadudnił echem. - Jesteś sam.

– Jestem związany z Bezkształtną Krainą. Jestem żywym pomostem do Mbwiru Eikura! U mego boku stoją duchy z zaświatów. Zawsze służą mi mądrością. A czasami...

Szaman otworzył dłoń i chlapanął krwią przed demonem. Adija wykrzywiła się drwiąco, a liczne usta natychmiast wypełniły się śliną, czując woń kolejnego posiłku.

– ...wspomagają mnie swoją siłą! - dokończył Benu.

Wokół Adii rozbłysła zielona poświata. Setka widmowych rąk przebiła zasłonę dzielącą Bezkształtną Krainę i świat cieni. Ramiona wściekle chwyciły demona i zaczęły obdzierać go z ciała.

Ale Adija nie została rozerwana na strzępy, z potwornego cielska eksplodowała magia, zamieniając ręce duchów w szmaragdowozielone wstążki dymu. Jedna z macek złapała Benu za szyję i przyciągnęła blisko pulsującej paszczy. Owiał go zgniły oddech.

Benu zadygotał, gdy paszcze wgryzły mu się głęboko w szyję, pożerając ciało i pijąc krew. Ból odebrał mu władzę w kończynach, ledwie czuł, jak ze zmartwiałej dłoni wyslizguje się sztylet. Resztkami sił Benu zacisnął palce na rytualnej broni. Kopnął demona w pierś, a ten odchylił się na ułamek sekundy... Lecz tyle wystarczyło, aby młody umbaru znalazł słaby punkt.

Wbił ostrze w brew Adii, aż przeszło na wylot przez jej czaszkę. Nieludzkie oczy rozwarły się w niedowierzaniu, a potem ciało zadygotało

jak drzewo targane wiatrem. Macki wystrzeliły bezładnie, uwalniając Benu z uścisku.

W końcu istota o imieniu Adija upadła i zamarła w bezruchu.

Benu leżał na plecach, a z jego szyi płynęła krew. Zdawało mu się, że świat wokół niego zwolnił nagle. Drzewa na skraju wioski kołysały się w podmuchach lekkiej bryzy. Śpiew ptaków niósł się leniwym echem. Słońce zniknęło za horyzontem, znacząc koniec kolejnego Igani.

Wkrótce potem po Benu przyszła śmierć. Najpierw z nią walczył, bał się, że nie będzie mógł przekazać pobratymcom tego, czego się nauczył. Zanim jego serce zabiło po raz ostatni, przypomniał sobie słowa duchów...

Ty, Benu, z tą samą łatwością krocysz w świecie cieni co w Bezkształtnej Krainie, jakbyś urodził się na granicy dwóch światów. Ta więc będzie twoim największym darem.

...i spoczął w spokoju.



Szamani Siedmiu Kamieni rozsiedli się przy ognisku i zaczęli szykować do przejścia w duchowy trans. Od ostatniego Igani minął ledwie tydzień. Wszyscy słyszeli opowieści o Benu i jego walce z demonem. Jeśli historia była prawdziwa, to znaczyło, że młody szaman ofiarował swoje życie, aby uratować plemię Doliny Chmur.

Ale za opowieściami przyszły plotki, jak zawsze. Taka już jest kolej rzeczy. Z Doliny Chmur dotarły wieści, że Benu sprzeciwił się nakazom Igani, że stał się kareeb.

Kapłani Siedmiu Kamieni mówili, jak te wydarzenia zgniewały duchy. I choć uznawali Benu za bohatera, twierdzili, że obecność demona splamiła rytualną wojnę.

I tak nakazano rozpoczęcie kolejnego Igani Bawe.

W poszukiwaniu błogosławieństwa duchów siedmiu szamanów weszło w duchowy trans. Czas zwolnił, gdy przenieśli się w zaświaty. Wioska rozplynęła się, a ich oczom ukazała się Bezkształtna Kraina, której poskręcane wstęgi energii dryfowały nieskończenie we wszystkich kierunkach.

Zazwyczaj każdy z wojowników słyszał i widział inne duchy, jeśli w ogóle cokolwiek udawało im się ujrzeć. Tym razem jednak wszystkim szamanom ukazała się ta sama czarna postać. Przywołała przybyszów z krainy cieni. Myśli ducha ułożyły się w ich umysłach w słowa, wyraźne niczym kryształy i ostre niczym sztylety.

Jesteście ślepi.

Szamani nie wiedzieli, jak odpowiedzieć na to oskarżenie. Przeprasili, błagali o przebaczenie. Niektórzy przerwali trans w obawie, że w jakiś sposób rozgniewali duchy.

Tamci nie byli jeszcze gotowi, ale pozostali wojownicy zapewne tak.

– Co chcesz, żebyśmy zobaczyli? - zapytali ci nieliczni, którzy trwali w transie.

Prawdę. Możecie zginąć podczas tego Igani. W jakim celu?

– By uhonorować ciebie i inne duchy - odparł jeden z szamanów.

– Tak nakazują kapłani. To obowiązek szamanów - dodał drugi.

– Życ znaczy składać ofiarę. Składać ofiarę znaczy żyć - wyrecytował najmłodszy.

Duch zbliżył się do niego, rozważając te słowa. Kiedyś, w innym świecie, służyły mu za tarczę i ostrze. Ale życia nie powinno się marnować tak łatwo, tak bezsensownie.

Nie chcę waszej ofiary. Ta kraina jej nie potrzebuje.

Zmieszanie i niepokój ogarnęły młodego szamana. Zawahał się, zanim wypowiedział kolejne słowa:

– Więc o co mnie prosisz? Co zostaje oprócz ofiary?
Życie.

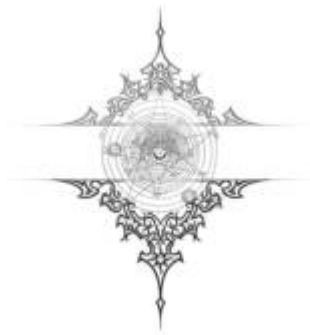
Ostatecznie w transie pozostał tylko młody wojownik, ale duch o imieniu Benu nie żywił urazy wobec tych, którzy uciekli. Nawet gdyby miało to trwać dni, tygodnie czy lata, Benu poprowadzi wszystkich do oświecenia. Bo przecież każdy umbaru podąża własną ścieżką do prawdy. I nie ma dwóch jednakich.





James Waugh
THEATRE MACABRE:
MROCZNE WYGNANIE





Wyznasz, co zrobiłeś, albo to z ciebie wytłukę! - Konstabl uderzył więźnia pięścią w szczękę.

Cela z kamienną podłogą była wilgotna i przesycona gorzkim zapachem śmierci. Ciemność wypełniała cztery ciasne kąty, światło wdzierało się z trudem tylko przez wąskie, zakratowane okienko, otaczając niesamowitą bursztynową poświatą skulonego człowieka przykutego do jednego z dwóch krzeseł przy małym drewnianym stole.

- Ależ, konstablu... Przemoc nie jest konieczna. Muszę usłyszeć całą historię. Wiadomo mi jedynie, że ten człowiek, jak twierdzi, został opętany przez demona.

Wydawało się, że kapłan Zakarum po wejściu do celi wtopił się w cienie, zakapturzona sylwetka pochylona tak, by lepiej obserwować więźnia, śledzić każdy jego gest.

- Och, jasne. Ten człowiek powinien już dawno dyndać na stryczku.

- Twoje zdanie nie ma znaczenia... Dostałeś jasne rozkazy.

- Ta-jest, kapłanie. Sędzia kazał mi was słuchać, to słucham. Ale nie próbujcie się litować nad tym diabłem. To kłamca. Nawet na życie zarabiał kłamstwem.

- Musicie zrozumieć - wtrącił się desperacko więzień. - Wszystko spowija mrok. Zło czai się w każdym zakamarku... Tylko czeka na moją...

moją słabość... Musicie pojąć. Musicie się dowiedzieć, co zmuszony byłem oglądać!

Konstabl uniósł pięść do kolejnego ciosu.

– Gdybym chciał, żebyś się odzywał...

– Konstablu Rantz! Proszę pozwolić mu mówić. - Kapłan zrobił nieco chwiejny krok naprzód, skraj jego peleryny musnęło światło. - Posłuchaj, Samuelu Drest, jeżeli mam stwierdzić, czy zbrodnie popełniłeś pod złowrogim wpływem, musisz mi opowiedzieć... Muszę usłyszeć wszystko... wątek po wątku, jak to się mówi w twoim zawodzie...

Drest był spocony, oddychał ciężko i urywanie. Zerknął bojaźliwie w górę, potem spuścił wzrok, narkotykowy głód pragnął zaspokojenia.

– Jeśli można... Prosiłbym... Pomogłoby, gdybym... gdybym najpierw zaciągnął się trochę... zapalił fajkę. Żebym się lepiej... skoncentrował.

Kłykcie Rantza trzasnęły w twarz Dresta szybciej niż smagnięcie bicia. Więzień wrzasnął, a ze świeżego rozcięcia nad okiem popłynęła krew.

– Ty zbrodniarzu! Jesteś uwięziony! Jak śmiesz w ogóle prosić?!

– Ja tylko... Chory się czuję, to tyle, panie. Jakby mi wnętrzości wyrzucało...

– Ode mnie nie spodziewaj się pomocy. - Rantz zajął krzesło naprzeciw więźnia.

– Opowiedz swoją historię, bazarzu. Uwolnij się od brzemienia, które dźwigasz. Niechaj to będzie balsam na twoje cierpienia - głos kapłana był cichy i spokojny, chłodny i równy.

Drest posepnie pokiwał głową, godząc się na swój los, po czym oparł się najlepiej jak mógł o stół. Chwila nadeszła. Wiedział, że tak się stanie, odkąd spojrział w otchłań i stał się częścią jej planu. Wziął głęboki oddech i spróbował się skupić, przywołać elokwencję, z jakiej sływał, elokwencję, którą ongiś wielu uznało za talent godny podziwu.

– Widzicie, panie, to czysta tragedia... Jeden fatalny krok doprowadza do upadku wielkiego człowieka... tak jak w naukach mistrzów ze Skovos. Byłem ja i był Marlowe... Marlowe o kruczoczarnych włosach i przenikliwych zielonych oczach, przypominających, jak mawiały kobiety, małe szmaragdy. Marlowe, złoty chłopak. Spryciarz. Oszust. Pamiętam, gdy po raz pierwszy pojawił się w Grand Desote... moim teatrze, nie jego. Byłem w trakcie próby mojej sztuki *Rozbita czwórka*. Znajdowałem się wtedy na szczycie, twórca przedstawień, które nareszcie przynosiły zyski. Moje pomysły już nie skrywały się na dnie przeklętego umysłu głodującego pisarza, lecz żyły w pamięci uwielbiającej autora publiczności...

– Co to za poetyckie brednie? Twój spór z Marlowe'em jest dobrze znany. Nie od wczoraj żyję w Zachodnich Marchiach... Przejdź do rzeczy.

– Konstablu... - słowa kapłana zabrzmiały jak gardłowy pomruk. - Powiedziałem, że muszę usłyszeć wszystko, zatem usłyszę. Początki wpływów demona mogą sięgać wiele lat w przeszłość. Wszystko jest istotne.

Nikczemny uśmiech uniósł kącik ust Dresta. Małe, nic nieznaczące zwycięstwo.

– Tego dnia, gdy Marlowe wkroczył do Desote, ściskając w swoich kościstych, długich palcach pokleksiony i pokreślony rękopis, tego dnia moje życie na zawsze się zmieniło. Tego dnia zrozumiałem naprawdę, co znaczy słowo „nemezis”. Wtedy też pojąłem prawdziwe znaczenie pragnienia... pragnienia, aby być lepszym od kogoś innego. Pragnienia, aby ujrzeć, jak moja sława rośnie, choćby tylko jemu na złość. Wystarczyło parę miesięcy, żeby pochlebstwa Marlowe'a przekonały naszego mecenasa, lorda Barimosa, a jego sztuka, och, jego sztuka, co za banał, co za farsa, co za śmieć, skalala deski teatru. Moją scenę. Pamiętam, jak siedziałem z tyłu na widowni podczas premiery. Aż rozdziawiłem usta ze wstydu i

niedowierzania, gdy oglądałem... Wydawało się to takie... takie... niedojrzałe, takie trywialne. Ale wtedy stało się coś naprawdę nie do wiary. Jak rzekł kiedyś mój mentor, pochodzący ze Skovos wielki Samus Aritos, najznakomitszy znawca sztuki dramatycznej: „Nigdy nie można polegać na gustach publiczności”. Miał rację. Kiedy przedstawienie dobiegło końca, widownia, ci głupcy, wstała i zaczęła bić brawo. Owacje na stojąco. Otoczyła mnie tubalna kakofonia. Okrzyki zachwyty. A ON wyszedł na scenę i uklonił się wiwatującym jak jakiś fałszywy mesjasz, który zapomniał, że to tylko teatr. Mój teatr... To był dla mnie moment przełomowy. Czekala mnie rywalizacja, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyłem. Nie wiedziałem, jaką opowieść podyktuje mi muza, jaki pomysł zapragnie wyrazu, co spłynie z mojego pióra. Ale wiedziałem, że musi to być lepsze niż te gnioty Marlowe’a. Musi wyprzeć jego sztuki z mojej sceny... Ale sława Marlowe’a rosła i rosła.

– Kosztem twojej, rzecz jasna - w głosie konstabla zabrzmiały nutki złośliwego humoru.

– Słusznie, panie. W rzeczy samej. Ale nie na początku. Okażcie mi więcej wiary... Pojedynekowaliśmy się, ja i Marlowe, przez ponad trzy lata. Jego sztuka, a potem moja pojawiały się na starej scenie, nasze opowieści były jak dwa węże splecione w śmiertelnym uścisku. Przestałem chodzić na jego przedstawienia. Nie chciałem marnować czasu. Tylko szarpały mi duszę. Wolałem podczas nich pisać gorączkowo do późnej nocy, myśląc tylko o tym, jak odzyskam przychylność widowni. Wypaliłem mnóstwo świec, wycierpiałem skurcze dłoni... Z każdym przedstawieniem to, co chciałem przekazać ludziom, jakby mniej się liczyło. Jakby jedynym powodem, aby unieść pióro, była uciecha z zawiści Marlowe’a i jego gniew, gdy moja sztuka przyciągnie publiczność lub wywoła uśmiech czy pochwałę lorda Barimosa. Pragnąłem ujrzeć grymas Marlowe’a... Tylko to

się liczyło. I pomyśleć, że kiedyś chciałem oferować światu jakieś przemysłenia.

– Mówisz tak, jakby ludzie tłumnie przychodzili na twoje sztuki, Drest. A z tego, co słyszałem, przed *Mrocznym wygnaniem* byłeś wypalony. Skończony.

Drest odetchnął głęboko. Poczuł, że pot znowu kropli mu się na czole, a narkotyczny głód szarpie mu umysł.

– Cóż, panie, tu się nie mylicie. W gorączce rywalizacji był okres, gdy ani ja, ani Marlowe nie mogliśmy wytrzymać w tym samym pokoju czy na tym samym przyjęciu bez słownej, a raz lub dwa nie tylko słownej, zaczepki. Obaj próbowaliśmy także przekonać aktorów, aby nie pracowali dla konkurenta. Wtedy właśnie u Marlowe'a wszystko się zmieniło. Moje przedstawienie *Kłątwa Rathmy* zostało dobrze przyjęte i sprzedaż biletów była większa niż na najnowszy gniot Marlowe'a. Już nawet nie potrafię sobie przypomnieć, o czym opowiadała ta moja sztuka. Czyż to nie smutne? Pamiętam tylko, że tłuszczy, którą nazywaliśmy cudowną publicznością, spodobała się bardziej niż to, co zaprezentował Marlowe.

– A jakie w tym były wpływy demona, panie Drest? Jak to się wiąże z tym, co zrobiłeś? - głos spośród cieni brzmiał jak nadchodząca burza, gdy kapłan znowu zbliżył się do światła. Błada, pomarszczona twarz była ledwie widoczna spod kaptura. W tym, co Drest mógł dostrzec, kryło się coś niedobrego. Skóra blada jak kość słoniowa, przezroczysta niemal i sucha - kapłan zbliżał się do końca swoich dni.

– Najwyższa pora na odzyskanie rozsądku, kapłanie. Możemy już przejść do wieszania?

– Panie! - pisnął Drest. - To... to część tego... co wyjawi tak oczywistą manipulację demona. Proszę, to... Marlowe zrobił sobie przerwę, trzy miesiące bez przedstawień. Trzy miesiące, gdy nikt nie widział ani nie

słyszał o tym szcurze. Uznałem, że to ostateczna kapitulacja, przyznanie się, że Desote jest naprawdę moim teatrem i gnioty rywala już nie będą tutaj wystawiane.

– Ale tak się nie stało, prawda? - Kapłan Zakarum cofnął się w cień.

– Nie, panie. Kiedy Marlowe w końcu powrócił, wślizgnąwszy się na moją próbę, okazało się, że zmienił swój wizerunek. Kreował się teraz na jakiegoś proroka zagłady, piewcę grozy, który opowiada o dominacji demonów nad ludzkością. Skąd miałem wiedzieć, czym stał się naprawdę? Nosił się na czarno, za ozdoby służyły mu srebrne splątane pierścienie i dziwaczne kolczyki, jak u zwykłego pirackiego handlarza. Skóra zrobiła mu się blada, alabastrowo biała, jakby nigdy nie wychodził na słońce, a pod pustymi oczyma odcinały się czarne podkowy. Wyglądał, jakby zszedł ze sceny powstającego właśnie teatru grozy, aby pisać sztuki... sztuki, które wszyscy uważaliśmy jedynie za fantastyczne wymysły. Desperackie próby odzyskania sławy.

Drest roześmiał się ogarnięty czystym szaleństwem na wspomnienie tego, co zrobił i czego doświadczył. Opowiadając o tym, potrafił dostrzec ironię losu, wszak cały czas miał przed oczyma ten scenariusz. Więzień trząśł się ze śmiechu, aż zaczął kaszleć, po czym podjął opowieść.

– O bogowie. Sądziłem, że to tylko gra, majstersztyk Marlowe'a, który chciał zrobić spektakl i wykorzystać to do odzyskania łask publiki. Jakimż byłem głupcem.

– Nawet jeśli to była gra, zadziałała.

Śmiech się urwał. Wszelka frywolność znikła z twarzy Dresta jak starta.

– Tak, konstablu. Zadziałała. Ten nowy, mroczniejszy Marlowe stał się „niedocenianym geniuszem”, jak nagle zaczęto go nazywać. Jego sztuki były ponurą refleksją o znikomości człowieka wobec świata, a jednak publiczność, to bezmyślne stado, rzuciła się na nie jak na świeże mięso, aby

karmić swoje zboczone fantazje obrazami przemocy i grozy. Kolejki ciągnęły się przez dzielnicę, przez zabłocone zaułki, deszcz nie deszcz, byle ujrzeć sprośne wymysły Marlowe'a. Nazwano to teatrem makabry, nowym gatunkiem sztuki, który zaspokoi pragnienia widzów. Na ten widok, na widok ludzi, którzy pragną tylko oglądać tę nieprzyzwoitość, popadłem w depresję. Ogarnął mnie głęboki smutek, przecież tak ciężko pracowałem dla tych prostaków. Nie mogłem już pisać. Siedziałem i wpatrywałem się w pusty welin, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Muza... Muza mnie opuściła, zawstydzona brakiem uznania dla naszych dzieł. Dlatego sięgnąłem po fajkę, w nadziei, że w transcendencji odnajdę źródło inspiracji, przebłyśki kreatywności. Ale się nie udało.

– To mi wygląda na prostą i zamkniętą sprawę, kapłanie. Motywem była zazdrość i tyle.

– To nie zazdrość mną kierowała, panie.

– Wytłumacz zatem - od słów kapłana Zakarum powiało chłodem. Mężczyzna, od którego osądu zależał los więźnia, podszedł powoli do okna i spojrzał w światło, jednak Drest nie dostrzegł jego twarzy.

– Nie napisałem nic przez prawie rok. I nie dlatego bynajmniej, że nie próbowałem. Widzicie, panie, wszystko, co mi w duszy grało, znikało, gdy tylko zapragnąłem przelać to na pergamin. Nawet paląca żądza, aby napisać dzieło lepsze niż Marlowe, nie sprawiła, że welin wypełnił się słowami. To już nie była czarna rozpacz, lecz czarna magia.

– Czarna magia? Zaraz, chcesz powiedzieć, że to czary wywołały w tobie gnuśność?

– Właśnie, konstablu. To prawda. Wtedy tego nie wiedziałem, ale teraz, teraz już pojmuję, co uczynił Marlowe. Jego rytuały i nieczyste księgi czarnoksiężskie dały mu objawienie, wgląd w ciemność... A ja stałem się jego ofiarą. Dojdę do tego. Jeszcze trochę cierpliwości.

– Niewiele mam cierpliwości.

– I niewiele trzeba, konstablu. Pewnego dnia mój mecenas, lord Barimos, stanął pod moimi drzwiami o pierwszym świtaniu. Noc spędziłem w „Gospodzie pod Trykiem” i wyglądałem nieco...

– Wiem, jak wygląda nałogowy palacz... Właśnie tak jak ty teraz.

– Właśnie, konstablu... Tak... Barimos miał nowego faworyta. Miał Marlowe’a, a ja nie napisałem ani słowa. Barimos, który wydał sporo złota na moje dzieła, chciał zobaczyć, co nowego zamierzam stworzyć. Zażądał natychmiast paru stron, dialogu do przeczytania, opowieści. Przyćmiony szary świt ledwie rozpraszał ciemność nocy, czułem jeszcze na języku resztki słodczy wina z minionego wieczoru. I nadal miałem mętlik w głowie po wypaleniu fajki. Barimos wiedział. Miał do czynienia z artystami na tyle długo, że zdążył się już oswoić z naszymi wyskokami, zawsze jednak okazywał wrażliwość, nawet wyrozumiałość, można powiedzieć, o ile udawało się nam wykrzesać w sobie niebiańską iskrę i napisać nową sztukę dla Desote. Od razu zapewniłem, że przez całą noc pracowałem... że właśnie jestem w trakcie tworzenia swojego mistrzowskiego dzieła. Sztuki, która przywróci mnie na szczyt i sprawi, że złoto i miedź wydane na mnie przez lorda opłacą się tysiącokrotnie. Barimos to twardy człowiek. Zdumiewające, że ma serce dla sztuki przy tej swojej surowości... Zmarszczył krzaczaste brwi. Wziął głębszy wdech, wachając bijącą ode mnie woń. Wyczuł trunek i fajkę. Widział, w jak koszmarnym stanie znajduje się moje lokum, gniazdo desperacji twórcy, który stracił chęć do pracy. Spodziewałem się, że każe mi się spakować i wynosić, ale ku mojemu zdumieniu lord Barimos dał mi jeszcze jedną szansę. „Drest - oznajmił niskim, ochrypłym barytonem - jesteś dobrym pisarzem. A przynajmniej byłeś. Tylko dlatego jeszcze nie wyrzuciłem cię na bruk z tego domu, mojego domu. Tylko dlatego nie znalazłeś się jeszcze na ulicy,

w zimnie i brudzie, i nie żebrzesz ani nie kradniesz jak wtedy, gdy cię znalazłem... i po raz pierwszy przeczytałem twoje sztuki. Jeżeli nie napiszesz w ciągu tygodnia czegoś, co będę mógł wystawić, przestaniesz być mi potrzebny”. „Napiszę, panie” - zapewniłem, chwyciwszy go za rękę i uściskawszy mocno. „Dam wam, panie, dzieło, jakiego w życiu jeszcze nie czytaliście”. „Zabawne... Marlowe powiedział mi wczoraj to samo. Zobaczymy, który z was spełni tę obietnicę. Jeżeli nie zdołasz się postarać, lepiej wracaj od razu na ulicę!” Nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy też próbuje mnie tylko zachęcić do walki, ale wtedy, chory z pragnienia, żeby wypalić jeszcze jedną fajkę, wierzyłem, że spełni groźbę. Gdzież zatem poszedłem, gdy mój mecenas i pan dał mi tak wspaniałą okazję? Oczywiście do palarni. W poszukiwaniu natchnienia. W nadziei odnalezienia muzy.

– Do „Tryka”? Do tej speluny i palarni opium?

– Właśnie do tej, konstablu. Zabawne, wydaje mi się teraz wcale przyjemna... Za dnia palarnia to otchłań rozpaczy. A „Gospoda pod Trykiem” w świetle dziennym to potrójne dno. Dom grozy dla kalek, wygłodzonych dzieci, rzezimieszków z dalekich krain, żołnierzy, którzy nie potrafią zapomnieć o okropnościach wojen, w jakich brali udział, szaleńców i wieszczów końca świata, którzy zwą siebie prorokami, prorokami bez uczniów, oraz ludzi takich jak ja, życiowych nieudaczników. Większość pali, żeby uciec od rzeczywistości. Wszyscy zagubieni w mrocznym sanktuarium kryją się przed słońcem, którego blask drwi z nich i przy każdej okazji przypomina, jak nisko upadli. W takich miejscach czułem się jak w domu. Zawsze. W palarni nikt nie patrzy na innych. Można znaleźć i zająć sobie kąt. Wystarczy odpędzić pająki czy inne robactwo... i oderwać się od świata. A przynajmniej taką się ma nadzieję. Ale tamtego dnia tak się nie stało. Znalazłem swoje zwykłe miejsce na

tyłach, zmiotłem szcurze odchody i przygotowałem fajkę. Ale miałem wrażenie, nieodparte, że jestem obserwowany, że ktoś przeszywa mnie kłującym spojrzeniem. Właśnie wtedy podszedł do mnie straszny człowiek, potwór, który powiódł mnie w tę otchłań. Miał bladą, odrażającą i starą twarz, a jedno oko mlecznobiałe. Oblicze z Piekła rodem, zniszczone zimowym śniegiem. Obcy nie rzekł ani słowa, tylko patrzył... a to oko, to kredowobiałe, galaretowate oko wbijało się we mnie. „Odejdź!” - nakazałem. A kiedy nie odpowiedział, kopnąłem go w łydkę. Mocno. Ale nie zareagował. Wreszcie otworzył usta. Rozniósł się wstrętny odór. Przysiągłbym, że to oddech demona. I może tak było. Ale to, co nieznajomy mi powiedział... to, co powiedział, było prawdą. „Marlowe rzucił na ciebie zaklęcie. To dlatego muza cię już nie nawiedza”. Jego głos przypominał charkot. Cofnąłem się pod ścianę. Wydawało się, że to sama śmierć szepcze do mnie.

– To właśnie czarna magia - wtrącił kapłan Zakarum rzeczowo.

– Jak pomyśleć... to raczej czarne kłamstwo.

– Mówię, jak było. W pierwszej chwili pomyślałem tak samo, konstablu. Ale to lodowate spojrzenie pozbawiło mnie wszelkich wątpliwości. Obcy mówił dalej: „Marlowe jest sługą ciemności. To zło inspiruje jego twórczość i zło należy odeprzeć. Rok minął, odkąd zawarł pakt z Piekłem, i rok temu zaczęły się twoje męki. Musisz powstrzymać Marlowe’a”. Chyba miałem halucynacje. Może przez lęk, jaki dręczył mnie przez ostatnie miesiące, i narkotyk, który zażywałem, traciłem resztki zdrowego rozsądku... Ale słowa nieznajomego były prawdą. „Idź” - rzekł mi. „Ruszaj, ale bądź ostrożny. Marlowe właśnie zaczyna rytuał. Wyczuwam to. Możesz go powstrzymać. Powstrzymać szaleństwo, zanim się rozprzestrzeni. Możesz ocalić też siebie. Idź i zobacz, jeżeli wątpisz w moje słowa. To zło wskazało mu sposób, Samuelu Drest. Mroczne rytuały sprawiły, że

Marlowe stał się utalentowany, a ty utraciłeś zdolność tworzenia”. Musiałem wiedzieć. Ledwie spałem. Czułem opary dymu, gdy obcy odchodził. Zaciągnąłem się głęboko. Nie miałem nic do stracenia. Uczepiłem się tego szaleństwa. W słowach nieznajomego kryła się prawda, nie miałem tylko pojęcia, jak straszna. Marlowe przeprowadził się do eleganckiej kamienicy obok Desote, w nagrodę za serię popularnych przedstawień i moją porażkę. Czujnie podkradłem się od tyłu. Przechodnie zerkali na mnie podejrzliwie, a przynajmniej tak mi się wydawało w moim paranoicznym stanie. Niektórzy byli uzbrojeni, awanturnicy, rzecz jasna. Takich wszędzie pełno. Nigdy nie spotyka się ich dwa razy. Wielu nie cieszy się długim życiem... Reszta to zwyczajny motłoch, kramarze śpieszący do życia, jakiego nie potrafię zrozumieć, banalnego i powtarzalnego. Wreszcie dotarłem pod dom i mogłem zajrzeć do komnat Marlowe’a. Szyba była zabrudzona, ale w migoczącym blasku świecy dostrzegłem wnętrze. Ostrożnie uchyliłem okno. Głośne skrzypienie sprawiło, że serce podeszło mi do gardła, ale to tylko kot w zaułku miauczał jak zarzynany. Wślizgnąłem się do środka.

– Na dodatek jesteś włamywaczem, tak? - Rantz pochylił się, spoglądając Drestowi w oczy ze śmiertelną powagą. - Wy, artyści, to jedna hołota. Czasami udaje się wam dostać do porządnego towarzystwa, ale to nie zmienia waszej prawdziwej natury.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem doskonały, panie. To, co zastałem u Marlowe’a... to, co zastałem, wpędziłoby w szaleństwo nawet najbardziej odważnych. Najpierw wyczułem ohydny smród. Ciężki. Jak skwaśniałe, pleśniejące mleko. A potem ujrzałem nieopisaną makabrę.

– Większą niż groza twojego mieszkania? - spytał Rantz. - To musiał być prawdziwy wyczyn.

– Nie macie pojęcia! - Nastrój Dresta powrócił do mrocznego. Jakby opuściła go wszelka jasność na samo wspomnienie tego, co zobaczył. - Resztki wypalonych świec przy krawędziach dziwnych symboli, śladów mrocznych rytuałów, o których powiedział mi nieznajomy z palarni. Tylko czaszki wypełniały prawie nieurządzone wnętrza. Kości. Misy krwi. Na środku pokoju zrozumiałem, skąd wziął się odór. Skrwawione, gnijące wnętrza, krowie czy też ludzkie, nie wiem, zjadane przez stada głodnych much. Sądząc po smrodzie, ochłapy leżały tu od tygodni. Ohydna woń wywołała kaszel... z trudem powstrzymywałem mdłości.

– Po tym, co widziałem w twoim legowisku... bardzo wątpię.

– Ale przy tych przeklętych ochłapach... przy tej ohydzie... leżał rękopis.

– Co takiego? - wykrzyknął kapłan.

– Rękopis... Znaczący TEN rękopis. A obok stała misa... z krwią wycieczoną z tych wnętrza. Krew już zakrzepła w gęstą czerwoną maź.

– Co miałeś na myśli, gdy powiedziałeś: ten rękopis? - dopytywał się kapłan.

– *Mroczne... Mroczne wygnanie. Część pierwsza.* Napisał to... Marlowe.

– Czyli *Mroczne wygnanie*, TWÓJ majstersztyk, było dziełem Marlowe'a? - Konstabl omal nie parsknął śmiechem.

– Tak.

– Jesteś zatem także plagiatozem, nie tylko...

– Opowiedz nam o sztuce. O rękopisie! - przerwał kapłan.

– NIE... nie o tym - zaproponował Rantz. - Zaraz. Chwileczkę. Nie chcę słyszeć o tej sztuce. Chcę wiedzieć, jak rozkładające się zwłoki pana Marlowe'a znalazły się pod podłogą, czemu wzdęty, cuchnący worek mięsa gnił tam od miesiąca. Jak trafiły do twojego domu? Przejdź do sedna, człowieku!

– Ja...

– Ty chory potworze. Powiedz mi, dlaczego gnijące zwłoki twojego rywala leżały u ciebie miesiącami. Mieszkałeś z trupem... we własnym domu! Powiedz nam, jak zamordowałeś Marlowe'a!

– Nie... Nie chciałem. Nie widzicie, że to...? Że w tym kryje się coś więcej? Wzór. Plan. Zabrałem rękopis. To na pewno był utwór, o którym wspomniał Barimos, majstersztyk Marlowe'a. Nie znalazłem Marlowe'a, więc wróciłem do domu, zataczając się, a chociaż słońce świeciło jasno, dzień zdawał mi się coraz chłodniejszy. Serce mi łomotało, gdy wszedłem do siebie. Tuliłem rękopis do piersi jak dziecko. Ścisnąłem mocno. Zamknąłem się i zacząłem czytać. Strony poplamione były krwią... ale tekst pozostał czysty, napisany czytelnie, choć liter, przysięgam, nie skreśliła ręka Marlowe'a. A słowa... och, słowa i postacie. To było *Mroczne wygnanie*. Sztuka, która przywróci mi sławę i uznanie.

– Sztuka Marlowe'a.

– Skądże! - prychnął Drest ironicznie. - Sztuka przekazana mu przez jakiegoś mistrza zła. Przelana w Marlowe'a, jak teraz wiem. Choć nie umiem powiedzieć, w jakim celu. Ale słowa... To mroczne, wspaniałe dzieło było najbardziej przerażającym utworem, jaki w życiu czytałem... I najbardziej natchnionym.

– Opowiedz mi o nim - zażądał kapłan.

– To opowieść o rodzie... O Władcach Piekieł. Demonach, monstrach... bogach, a także zwykłych śmiertelnikach, jak my. Czymkolwiek są te istoty, jest w nich prawda... I manipulują wszystkim, co znamy. Istnieje Najwyższe Zło, triumwirat mocy. W sztuce są to: Groza, Nienawiść i Zniszczenie. Istnieje też Mniejsze Zło - Ból, Grzech, Udręka i Kłamstwo. Siedmiu Władców Zła to wyolbrzymione wcielenia tego, co w nas najgorsze, wyrażają to, czym możemy się stać.

– Jasne. Słyszałem te bajki. Opowieści o duchach, którymi straszy się małe dzieci.

– To coś więcej, konstablu. W sztuce pokazane jest wrzenie w szeregach demonów. Zło zwraca się przeciwko sobie. Pomniejsi Żli są zmęczeni podległością. Widzicie, ludzkość rosła w siłę, a w kosmicznej wojnie zwanej Wiecznym Konfliktem następowały częste przestoje, dlatego trzech Najwyższych Złych poświęciło energię na deprawację dusz śmiertelników, nas. A to sprawiło, że Pomniejsi Żli zaczęli kwestionować władzę triumwiratu, co powiodło do wielkiego rozłamu między Najwyższymi Złymi i ich sługami. Dwóch z Pomniejszych Złych zawarło pakt i starało się przeciągnąć innych na swoją stronę. Zaczęli knuć, zawiązywać spiski, jątrzyć... a Władca Grozy, Diabło, obserwował ich nieczne poczynania. Przeczytałem sztukę do połowy, nie mogąc oderwać oczu od kartki. Pomniejsi Żli przygotowali plan powstania przeciwko swoim pobratymcom, chcieli ich pobić i wygnać z Płonących Piekieł, wygnać na nasz świat... na świat... ludzi! Ale wtedy usłyszałem łomotanie do drzwi. WALENIE! Łup-łup-łup! I zaraz potem krzyki: „Otwieraj, draniu! Otwieraj!”. Nawet nie musiałem patrzeć, żeby wiedzieć, kto się dobija. Słyszałem jego nosowy głos. I desperację. To był Marlowe. Domyślił się jakoś, instynktownie lub dzięki czarnej magii, że zabrałem jego dzieło. Szybko schowałem rękopis i otworzyłem drzwi. Ukryć się nie mogłem, Marlowe wiedział, że jestem w środku. A gdyby zaczął znowu krzyczeć, ściągnąłby uwagę chyba całego miasta... I oto stał na moim progu, ubrany w czarną rozchełstaną szatę. Patrzył na mnie groźnie, oczy mu płonęły. „Oddaj to, Drest”. Od jego słów wiało chłodem. „Oddaj to mnie. Igrasz z mocą, której nie rozumiesz”. Przepchnął się przez drzwi, zmuszając mnie, żebym się cofnął. „Popełniłem poważny błąd, który teraz próbuję naprawić. Nie idź w moje ślady”. Zatrzasnął drzwi, a ja przyłgnałem do ściany i tylko

patrzyłem. Patrzyłem, jak Marlowe zaczyna się trząść w panice. Patrzyłem, jak wyciąga do mnie te długie, kościste palce, a na wargach pieni mu się ślina, nim wykrzyknął ponownie: „ODDAJ TO MNIE! Pomyliłem się co do ciebie i do siebie. Nie masz pojęcia, jakie okropności widziałem i jakie sam ujrzysz, jeżeli mi tego nie oddasz i nie pomożesz wszystkiego zakończyć!”.

Konstabl słuchał uważnie, pochyliwszy się nieco. Czekał na potwierdzenie, które miał nadzieję otrzymać. Kapłan Zakarum stanął za Rantzem, mroczny żniwiarz oczekujący na to samo wyznanie.

– To było piękne. Nie mogłem się powstrzymać, żeby się nie cieszyć, gdy widziałem tak obnażonego Marlowe’a... widziałem jego porażkę. Miał świadomość, że teraz wiem. Jego sukces, jego wielkie osiągnięcia, jego zwycięstwa nade mną nie były zasługą talentu większego niż mój, lecz... zostały zdobyte za pomocą innych środków. Wtedy dotarło do niego, że wygrałem. W końcu wygrałem. Nie mogłem się powstrzymać. Wyjąłem rękopis i pomachałem rywalowi przed nosem. „Tego chcesz, Marlowe?” - rzuciłem.

– A wtedy... - wtrącił niecierpliwie kapłan.

– A wtedy... - powtórzył Drest, pogrążony w myślach. Pot spływał mu po twarzy, oblewał kark. Więzień miał dreszcze, widomy znak jego nałogu, ale to nie zdołało odebrać mu radości, jaką niosło przeżywane raz jeszcze wspomnienie. - Nie mógł znieść dłużej moich drwin. Nie powiedziałem więcej ani słowa, ale Marlowe mógł wyczytać z mojej twarzy zadowolenie, poczucie triumfu. Rzucił się, próbując chwycić mnie za gardło.

– No i nareszcie do czegoś dochodzimy - stwierdził konstabl Rantz.

– Był szybki jak błyskawica. Szybszy, niż się spodziewałem. Szaleniec, opętany jedną tylko myślą, wyciągnął rękę do mojej szyi, drugą sięgnął po rękopis! Udało mi się odepchnąć go całym ciężarem ciała. Uderzył mnie pięścią w twarz, wszystko zalała czerwień. Nie umiem opisać, co stało się

potem. Jakby... Jakby kierował mną jakiś wściekły duch... jakaś istota, która nie była mną. Skoczyłem na Marlowe'a. Z nieprawdopodobną siłą. Wyciągnął ręce, wygiął rozcapierzone palce, żeby mnie oślepić. Ale to mnie nie powstrzymało. Chwyciłem świecznik z półki obok posłania i uderzyłem go w głowę. Mocno. Mocniej. I jeszcze raz. I jeszcze. Krew spryskała mi twarz, znacząc moją pożółkłą skórę czerwienią. Uderzyłem ponownie... Biłem, aż... aż nie umiałem rozpoznać Marlowe'a. Aż wszystko, co widziałem, było tylko rozbryzganą krwawą miazgą, z której wystawały śnieżnobiałe kości.

– Dość zatem! Przyznałeś się do zabójstwa. Nie usłyszałem nic o demonach, co najwyżej o starym, szalonym palaczu opium. Proszę, czy teraz możemy już zająć się wieszaniem?

– Chwileczkę! Nie, panie. Posłuchajcie... Jest coś więcej. Proszę, pozwólcie mi skończyć.

– Nie zamierzam więcej tego słuchać. To morderca, kapłanie. Sam to przyznał. Czy możemy już mieć to z głowy?

– Nie - odrzekł kapłan stanowczo. Skinął lekko, pozwalając Drestowi mówić dalej.

Drest był wyczerpany. Opisywanie tego, co uczynił, wysysało siły. I odbijało się to na nim wyraźnie.

– Mów zatem, bazarzu - zezwolił Rantz, kopnąwszy więźnia w stopę.

– Ja... Nie wiecie, jak źle się czuję, panie. Naprawdę... naprawdę potrzeba mi...

– Nic nie dostaniesz. A teraz mów.

– Nie mogłem uwierzyć w to, co zrobiłem. To nie byłem ja. Musicie to zrozumieć. Z natury jestem łagodny. Artysta, wielbiciel piękna i zmysłowych doznań. Nie byłbym zdolny do popełnienia takiego... takiego uczynku. Kierował mną wtedy najniższy instynkt. Przejął nade mną władzę.

– Jesteś tylko człowiekiem. A z ludźmi tak się dzieje. Nie trzeba tego upiększać. Na tym świecie nie ma nic straszniejszego od człowieka, mówię ci. - Rantz był już tym zmęczony. Miał przyznanie się do winy. Czego jeszcze trzeba? Reszta to tylko przedstawienie ku uciesze kapłana Zakarum, Malchusa.

– Ohydny odór pobitego i zmalretowanego ciała wypełnił mi nozdrza. Byłem wyczerpany. Mogłem zrobić tylko jedno. Jedyne, co miało dla mnie sens. Skończyłem czytać sztukę.

– Opowiedz mi ją - zażądał kapłan.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteście takim wielbicielem moich sztuk, kapłanie.

– Raczej wielbicielem sztuk Marlowe'a - odgryzł się Rantz.

– To była klasyczna opowieść o żądzy i zdradzie. Pomniejsi Żli razem uderzyli na Najwyższych. Rozpętało się starcie, które mogło zniszczyć trzecie z Piekieł. Powstanie, wojna w Piekło! Nie można już bardziej dramatycznie. W drugim akcie następuje monumentalne crescendo, gdy Azmodan i Belial, Władca Grzechu i Władca Kłamstw, spotykają się z Duriem i Andariel, żeby porozmawiać o przewrocie. Obaj inicjatorzy wierzą, że decyzje Najwyższych były głupie i Pomniejsi to najlepszy wybór. Duriel, Władca Bólu, ma wątpliwości. Uznaje, że to niebezpieczne i że przeciwstawienie się komuś takiemu jak Diabło, Władca Grozy, to błąd i brak rozwagi. Ale wkrótce okaże się, że jeżeli Duriel nie przyłączy się do pozostałych, będzie to jeszcze bardziej niebezpieczne. Opowieść się rozwija, obie strony zbierają armie, a Pomniejsi Żli, którzy spiskowali i przygotowywali się do konfrontacji, są już gotowi do wykonania swojego planu. W przededniu wojny sztuka się kończy. Zawieszono zakończenie. Publiczność to uwielbia. A jeszcze bardziej właściciele teatrów. Ponieważ to oznacza, że jeśli dobrze pójdzie, będzie można sprzedać bilety na kolejne

przedstawienie, które opowie ciąg dalszy. Wziąwszy pod uwagę, że publice podobał się mrok, jaki pokazywał w swoich utworach Marlowe, wiedziałem, że ta sztuka będzie wspaniałym sukcesem. I właśnie takiego przedstawienia potrzebowałem, żeby wrócić na szczyt. Oczywiście istniała jedna mała przeszkoda: martwa nemezis. Nie było sposobu, żeby wynieść ciało z mojego mieszkania. W berserkerskim szale tak poszatkowałem Marlowe'a, że bez wątpienia każdy rozpoznałby w tych zwłokach ofiarę mordu... O ile w ogóle w tym, co zostało, dałoby się rozpoznać człowieka. Zatem... Marlowe, mój stary przyjaciel, wprowadził się do mnie. Nareszcie razem. Wyrwanie desek z podłogi nie jest wcale tak łatwe, jak się wydaje, konstablu. Ale udało mi się wepchnąć trupa pod spód. Pokarm dla pajaków, węży i szczurów, które nie dawały mi spać. Gdy tylko złożyłem na spoczynek mojego nowego lokatora, zmieniłem ubranie i pobiegłem do Desote. Rękopis ściszałem tak, jakby moje życie zależało od tego, czy dotrze nienaruszony. Barimos zakochał się w tej sztuce. Uznał, że stylem przypomina ona dzieła Marlowe'a, ale pochwalił mnie za umiejętność dostosowania się do gustów publiczności. Barimos był również pewien, że zawarte w tekście bluźnierstwa zaalarmują kler, i jak widzę, miał rację, ale zawsze wierzył w przysłowie: kontrowersje mnożą zyski. Jednak sztuka... Nad *Mrocznym wygnaniem* od początku wisiała klątwa. Po pierwszych przesłuchaniach dwóch aktorów, którzy mieli grać Najwyższe Zło, padło ofiarą strasznych wypadków.

– Wypadki się zdarzają, morderco.

– Ale dwa? I to obu odtwórcom roli Władcy Grozy, Diabło? Geoffrey z Kaldeum spadł z wysokości piętnastu stóp przez zepsuty mechanizm klapy i nadział się na postawione pale. Jego zwłoki wyglądały jak poskręcana poduszka do igieł. Vincent Didier, duma Zachodnich Marchii, którego wiele barmanek uznawało za najprzystojniejszego mężczyznę na świecie, zginął

następnego dnia. Po przesłuchaniu do roli Diabło Vincent, który miał pociąg do whiskey, potknął się na schodach sceny i skręcił kark. Głowa mu się obróciła całkiem.

– Zdaje się, że w dzisiejszych czasach coraz więcej jest wypadków po pijaku.

– Ale zaraz potem, konstablu, pojawił się zły omen. Chmara kruków zerwała się z krokwi i rzuciła do wydziobywania twarzy zmarłego. A ciało było jeszcze ciepłe. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. Nikt nie widział. Barimos chciał odwołać przedstawienie, ponieważ aktorzy zaczęli wierzyć, że jest przeklęte. Co więcej, zaczęto się martwić zniknięciem mojego drogiego kolegi Marlowe'a. Mimo wszystko jednak próby zostały podjęte, gdy debiutant, Thomas Burns, wcześniej dubler, podjął się roli Diabło. Postanowił zlekceważyć klątwę i zaryzykował, skoro dostał okazję, żeby zabłysnąć na scenie. Aktorzy zrobią wszystko dla popularności, wszystko dla okazji, przełomu, jak to nazywają. Zapłacą nawet życiem... albo, co chyba gorsze, utratą godności osobistej.

Kapłan Zakarum wyszedł z cienia i uderzył pięścią w stół.

– Powiedz mi o mrocznych wpływach! Teraz! Jestem już tym zmęczony.

– No właśnie, kapłanie. Rozum wam wraca.

– T-tak, panie.

W zachowaniu kapłana było coś zastraszającego, coś tak przemożnego i pewnego w tonie głosu, że Drest zwlekał tylko chwilę, desperacko próbując zebrać myśli rozproszone przez głód narkotykowy. Mężczyzna ledwie widział twarz kapłana - mignęła mu jedynie bladość starej skóry, nim znikła pod kapturem. Malchus cofnął się znowu w ciemny kąt.

– T-to stało się w wieczór premiery... Wtedy to... on wtedy zaczął.

– Kto, morderco?

– Marlowe. Wkładałem swój najlepszy strój, od samego sławnego Samwise’a, do tego jedwabny fular. Byłem gotów na dramatyczny wielki powrót. I wtedy spod podłogi rozległo się stukanie! A potem ŁUP... ŁUP... ŁUP. Serce mi zamarło! W uszach mi łomotało, gdy wstałem i podszedłem ostrożnie do miejsca, skąd dochodziły odgłosy. ŁUP. Raz po raz. Ręce zaczęły mi się trząść. Czułem, jak zalewa mnie zimna fala strachu. I wtedy zabrzmiał głos... głos, który znałem tak dobrze. Ten, którego nienawidziłem przez ostatnie lata. „Dre-est”. Słowo było zdławione, zduszone, jakby krtań tego, kto się odezwał, była zmiażdżona. I była, rzecz jasna. „Dre-est. Nie wiesz, co robisz”. Własnym uszom nie wierzyłem. Spod podłogi dochodził głos Marlowe’a.

– Oszalałeś!

– To prawda, panie.

– Mów dalej - w głosie kapłana Zakarum przebijało zniecierpliwienie.

– „Dre-est” - rozległo się znowu. Najpierw pomyślałem, jak wy, panie, że oszalałem. Uznałem, że to od narkotyku, który wypaliłem. Wtedy jednak klepki w miejscu, gdzie pochowałem Marlowe’a, zaczęły znowu grzechotać i łomotać, ŁUP, ŁUP! jakby ciało ukryte pod spodem, próbowało je wypchnąć. Podkradłem się bliżej, patrząc w podłogę i drżąc z przerażenia. „Przestań, Marlowe! Przestań!” - krzyknąłem, tracąc resztki zdrowego rozsądku. Spróbowałem zajrzeć pod deski. Niósł się stamtąd ohydny smród rozkładu. Dostrzegłem poszarzałą skórę i pierzchające z piskiem szczury. Zobaczyłem zapadnięte oko Marlowe’a, a to, co zostało z jego czaszki, poruszyło się. On... On żył. „Nie do-opuść, aby przedstawienie się odbyło. Nie-e wiesz, co rozpętasz, Dre-est. Musisz zrobić to, co ja. Musisz...” Nie mogłem tego słuchać. Zacząłem walić w podłogę, aż szczury uciekły z piskiem. „MILCZ! MILCZ! Nie jesteś prawdziwy. Nie jesteś prawdziwy!”

Uciekłem z mojej nory. Gnałem ile sił w nogach, wstrząśnięty miałem przybyć na premierę swojej nowej sztuki.

– Chcesz powiedzieć, że Marlowe przemówił do ciebie po śmierci?

– Tak, panie. Wielokrotnie, jak się przekonacie.

– Mówię ci, oszalałeś!

– Nie, konstablu. Wszystkich nas otacza zło i ciemność. Ciemność, której wolałbym nie znać. Ale w wieczór premiery mrok nie miał do mnie dostępu. Zamiast słuchać rad umarłego, patrzyłem, jak teatr się wypełnia. Widziałem, jak Barimos prowadzi stadko egzotycznych kobiet z Lut Gholein do pierwszego rzędu i popisuje się swoim statusem, jak przystało. Sala była pełna. Gdy zaczęło się przedstawienie, obserwowałem widownię, nie scenę. Zawsze tak robię. Wiem, co się dzieje na scenie, ale na widowni za każdym razem jest inaczej. Ale czegoś takiego nigdy nie widziałem. Mężczyźni i kobiety zamarli, dłonie zacisnęli kurczowo na drewnianych krzesłach. Westchnienia, zaskoczenie. Jednak nikt nie odwrócił wzroku. Wydawało się, że kobiety zaraz zaczną mdleć. Do serc najtwardszych mężczyzn wkradł się lęk.

– Marlowe wykonał dobrą robotę, co?

– Konstablu, ta sztuka nie była Marlowe'a.

– Jasne. Wlał ją w niego demon dramaturg. Oczywiście...

– Kiedy przedstawienie się skończyło, zapadła cisza. I stłumione zbiorowe „ach” pełne czci. Twórcy sztuk marzą o tym przez całe życie. Wreszcie ktoś zaklaskał, potem kilku kolejnych, aż cały teatr wypełniła kakofonia huczących, burzliwych owacji. Gdy aktorzy skończyli się kłaniać, tłum zaczął skandować: „Drest. Drest. Drest”. Muzyka dla moich uszu. Pragnąłem ją usłyszeć, jak daleko sięgam pamięcią. Wszedłem na scenę z aktorami i spojrzałem na wiwatującą publiczność. Ukłoniłem się. Ta chwila zdawała się trwać wiecznie. Doskonale uchwycona w czasie.

– Ale to nie na twoją cześć były te owacje - prychnął Rantz.

– Czy to ważne? Widzicie, panowie, twórcy z natury to żalosne plemię. Gardzimy publicznością, a jednak cenimy sobie jej opinię. Tworzymy, dlatego potrafimy też odtworzyć te krótkie chwile w naszym życiu, gdy matki mówiły nam: „Dobry chłopiec. Świetnie ci poszło”. I właśnie tego najbardziej poszukujemy. Wielu z nas dobrze wie, jakie to smutne, ale tylko pogarsza swój stan przez inne uzależnienie. Muszę przyznać, że i ja najpierw wstąpiłem na tę ścieżkę... i trzymałem się jej przez całe życie.

– Nie obejdiesz nią szubienicy, Drest. Opowiedz mi więcej o złowrogich wpływach.

– Ten wieczór mimo wszystko był najwspanialszy w moim życiu. Egzotyczne kobiety Barimosa otoczyły mnie, jakbym był gwiazdą, która spadła z nieba, i jakby były gotowe uczynić wszystko, byle znaleźć się blisko. Miałem to, o czym marzyłem. Uznanie, trunek, opium, kobiety... i sławę. Potwierdzenie! Wierzono, że jestem geniuszem. Wróciłem do swojej nory dwa dni później... dwa dni świętowania. Zdążyłem już sobie wmówić, że głos, który słyszałem, był jedynie snem, ułudą wyobraźni. Ale kiedy otworzyłem drzwi, usłyszałem go znowu: „Dre-est”. A potem zabrzmiał śmiech, najbardziej złowieszczy i straszliwy śmiech, jaki w życiu obił mi się o uszy. Głęboki. Tubalny. O ironio, jakby teraz role się odwróciły i Marlowe znowu był górą. „Milcz! MILCZ! Znowu jestem uwielbiany, ty... ty potworze!” Nie odpowiedział, śmiał się tylko. Mieszkanie wypełniała jego opętana uciecha. I wiedziałem, że tak będzie po kres moich dni. Stała obecność mojego lokatora, przypominająca mi, że jesteśmy związani... I tutaj - wkraczacie wy, panie Malchus, i - wasi kapłani Zakarum. Brudnymi uliczkami do Desote ciągnęły się kolejki widzów. Wszyscy pragnęli obejrzeć *Mroczne wygnanie*. Wszem wobec ogłaszano je najbardziej makabryczną i przerażającą sztuką, jaka kiedykolwiek zagościła na scenie.

Dzieło ostateczne w teatrze makabry. Mężczyźni i kobiety różnego wzrostu, postury i wyznania ścigali do Zachodnich Marchii, aby zobaczyć moje... aby to zobaczyć. I dlatego właśnie przyszliście, wy, panie, i wasi klerycy, żeby zaprotestować przeciwko bluźnierstwu. Mieliście rację, panie. Ale te protesty czyniły jedynie krzywdę waszej sprawie. Im więcej kapłanów stawało przed teatrem, tym więcej widzów ustawiało się w kolejce.

– Może.

– Ja oczywiście pławiłem się w odzyskanej sławie. Kobiety, wyższe sfery. Wszystko. Byle nie mój dom... miejsce, gdzie starałem się spędzać jak najmniej czasu. Miejsce, którego nie mogłem opuścić. Obawiałem się, że gdybym się wyprowadził, ktoś znalazłby zwłoki. A gdybym próbował pozbyć się ciała, ktoś mógłby mnie na tym przyłapać. Smród był ohydny, ale towarzystwo jeszcze gorsze... Marlowe szeptał do mnie całymi nocami. „Dre-est!” - wzywał mnie. „Dre-est, musisz teraz zakończyć, co zacząłeś, i poddać się przekleństwu, jak i ja... Dre-e-e-est”. Zabawne, do czego człowiek może się przyzwycząć. Po pewnym czasie paraliżujący strach, jaki budził we mnie głos, zniknął, zmienił się w szum, jak odgłosy z pobliskiej ruchliwej ulicy. Stał się tylko uciążliwy, ale do wytrzymania. Po prostu tło dźwiękowe. Aż do... aż do przyjazdu posłańca, który wezwał mnie do gabinetu lorda Barimosa.

– O, tak. Tamtego ranka ty i ja spotkaliśmy się po raz pierwszy, prawda?

- Rantz rozpromienił się w sarkastycznym uśmiechu.

– Tak. Właśnie tamtego ranka.

– Powiedziałeś wtedy, że nie masz czasu na rozmowę, bo śpieszysz się na spotkanie. Jednak funkcja konstabla ma swoje plusy: ludzie muszą znaleźć dla mnie czas. Zwłaszcza gdy zaczyna się mówić o „nieczystej grze”.

– Podejrzewaliście mnie od początku, Rantz. Dobry z was śledczy.

– Ma się ten nos, co? - Rantz uśmiechnął się lekko.

– Wyczułem zdradę, jak tylko cię zobaczyłem. To typowy smród u palaczy opium.

– Ale nie mieliście dowodów.

– Wtedy jeszcze nie.

– Przejdź do rzeczy. Co stało się z Barimosem? - warknął Malchus.

– Na Skovos ludzie teatru mają przysłowie: „Jesteś tak dobry jak twoje ostatnie dzieło”. Mój pan, lord Barimos, kieruje się tą maksymą.

– Ach, chciał drugiej części, tak? Dalszego ciągu przedstawienia?

– Wasza zdolność dedukcji nieustannie mnie zaskakuje, konstablu.

Rantzowi nie spodobał się ton tej wypowiedzi. Było jasne, że rozważa, czy nie uderzyć znowu przesłuchiwanego, ale Drest podjął opowieść, zanim konstabl przeszedł do czynu.

– Barimos uściskał mnie, pogratulował sukcesu, a potem wyraził niepokój zniknięciem pana Marlowe’a. Skoro Marlowe’a nie było, Desote musiał polegać tylko na mnie. I tego właśnie pragnąłem... tyle tylko, że musiałem dostarczyć sztukę. Barimos nalegał, żeby stało się to jak najszybciej.

– I napisałeś kolejną część? - zapytał Malchus.

– Nie... Nie od razu. Znowu nie mogłem pisać. Wróciłem do domu i usłyszałem śmiech. Najbardziej okrutny śmiech. Marlowe wiedział. Nawet w śmierci wiedział. Mogłem to wyczytać z jego tonu, zanim odezwał się choć słowem. Ale jego śmiech, świszczący, zduszony śmiech z rozdartej krtani, dźwięczał mi w uszach. Śmierć spod ziemi. Usiadłem do pracy, ale Marlowe wiedział, że nic nie napiszę. Muza mnie opuściła. Zapewne została zabita. Klątwa Marlowe’a, jego przebiegłe gierki zbierały żniwo. Po dwóch nocach siedzenia przy biurku i skrobania notatek, z których nijak nie wynikało, jaki powinien być ciąg dalszy, ani też jak miałbym dorównać

boskiemu dziełu, którym była *Część pierwsza*, zacząłem planować ucieczkę. Chciałem zabrać pieniądze oraz sławę i uciec. Zakończenie sztuki pozostałoby tajemnicą. Ale zanim plan skryształizował mi się w głowie, Marlowe, mój stary kompan, najlepszy przyjaciel, znowu się odezwał: „Musisz teraz skończyć to, co zacząłeś. Musisz zrobić to, co ja. Wystarczy tylko poprosić, Drest. Wystarczy tylko poprosić mnie o pomoc”. I roześmiał się ponownie. Ten głos mnie dręczył. Zasłoniłem uszy. Uderzyłem w podłogę, błagając, żeby przestał. Ale... wiedziałem, że nie zostawi mnie w spokoju, i nieważne, jak bardzo próbowałem go ignorować... wiedziałem, że ma rację.

– To szaleństwo. Jesteś chory, Drest. Jakże to tragiczne, że umysł pełen fantazji, dzięki któremu stałeś się tak sławnym pisarzem, zwiódł cię na manowce. Ale to żadna wymówka dla czynów, których się dopuściłeś. Kapłanie, nie ma dowodów, tylko potwierdzenie, że to człowiek słabego umysłu, szaleniec.

– Nadużywasz mojej cierpliwości, konstablu. Jeżeli chcesz wyjść, proszę bardzo. Złożę ci raport później.

– Och, nie. Zostanę do końca. Opowiadaj, bajarzu.

– To proste. Poprosiłem Marlowe’a o pomoc. „Pokażę ci rytuał” - odpowiedział. „Ale najpierw musisz mnie stąd uwolnić”. I tak uczyniłem. Wyrwałem deski. W zwłokach roiły się białe robaki, pokrywały niemal w całości rozkładające się ciało Marlowe’a. Szczury wyjadły organy. Odór omal nie doprowadził mnie do wymiotów. Ale najgorszy był widok, który na zawsze wrył mi się w pamięć. Marlowe wstał z ziemi, wydobył się z dziury, gdzie go wrzuciłem. Robaki spadły na podłogę, a krokom zmartwychwstańca towarzyszyły plaśnięcia, gdy ginęły pod podeszwami jego butów. Marlowe wydawał się jeszcze bardziej blady i zniekształcony. Przerażający był to spektakl. Wreszcie się odezwał: „Będziemy teraz

pracować razem, Drest. Kto by pomyślał?”. A potem znowu zaczął się śmiać, znowu usłyszałem ten straszliwy, drażniący śmiech.

– A rytuał?

– Zaczęliśmy. Marlowe, kulejąc, poustawiał świece i wyrysował na podłodze dziwne symbole. Wiele razy musiałem zasłaniać nos, aby opanować mdłości, jego ciało tak bardzo przegniło. I to chyba niezmiernie bawiło mojego dawnego rywala. Powiedział mi, że otrzymamy wielką moc od panów ciemności, moc od samego Beliala i Azmodana... Nie miało to znaczenia. Był to jedyny sposób, żebym wrócił na scenę, usłyszał znowu aplauz publiczności, poczuł smak sukcesu. Marlowe wsunął mi pióro w dłoń i poprowadził do kręgu, który wyrysował. Rozłożyłem przed sobą czyste arkusze. Świece płonęły, oblewając mnie migotliwym blaskiem, groźne cienie tańczyły na ścianach. Zaczęliśmy inkantację. Marlowe kazał mi powtarzać po sobie. Nie znałem znaczenia słów, które wypowiadał. Wiedziałem jedynie, że potrafię je powtórzyć. A potem, zanim to się stało, usłyszałem jeszcze, jak mówi: „Skończone, Drest. Ty i ja jesteśmy związani na zawsze... Poniosłeś taką samą porażkę jak ja”. Roześmiał się serdecznie, gdy gotowałem się na to, co miało nadejść. A kiedy nadeszło, było to tak, jakby świat się rozplątał, a płomień świec buchnął mi w oczy. Poczułem nieopisane gorąco. Wrzasnąłem śmiertelnie przerażony, gdy cienie ze ścian zmieniły się w złowrogie postacie i skoczyły na mnie. Te dziwne demony cienia chwyciły mnie za rękę i przycisnęły ją do welinu, którego już nie widziałem. Dym przesłaniał mi wzrok, a wokół zabrzmiały nieartykułowane szepty, wdzierające się w moje myśli. Ujrzałem migawki z wojny w Piekło. Wielcy Władcy Zła zostali pokonani przez śmiałych Pomniejszych. Demony walczyły między sobą, zadawały sobie ból i śmierć. Krzyki udręki! Widziałem szal ścierających się istot, których nie zdołałbym opisać, urywane przebłyski demonicznych bestii zmagających

się wśród płomieni. Było gorąco. Och, tak gorąco! Czułem, że skóra mi się pali. I nagle upał znikł, a obrazy się zmieniły, ujrzałem komnaty Pomniejszych Złych. Znalazłem chwilę wytchnienia od okrucieństwa wojny. Andariel i Duriel kłócili się, chcieli zerwać pakt z resztą Pomniejszych Złych. Słyszałem ich głosy. „Cośmy uczynili?” - zabrzmiał drżący tenor Duriela. „Oni zniszczą nas wszystkich. Nie przestaną, dopóki...” Belial, dostrzegłem go, wysoki upiór z ostrymi jak brzytwy kłami, odrażający, lecz potężny, wkroczył do jaskini. „Jak śmiesz wątpić? Jak śmiesz odmawiać sobie zwycięstwa! Zbyt długo Najwyżsi sprawowali nad nami władzę. Zbyt długo uważali się za lepszych. Diabło... Diabło upadnie, a z nim pozostali. Nie pozwól, by strach przed nim cię osłabił. Nie pozwól, albowiem każdy z was objąć ma rządy. Każdy zdobędzie moc, na jaką zasłużył”. Wyczuwałem jego kłamstwa. Wiedziałem, że Belial dbał tylko o własne korzyści i uknuł machinacje, jakich nie zdradził swoim krewniakom. I wtedy zawirowały wokół mnie płomienie i cienie. Opętańczy taniec. Szepty się nasiliły. Odniosłem wrażenie, że jestem obserwowany. Dłoń mnie zapiekła, jakby wsunięta w ogień. Od czasu do czasu dostrzegałem, jak porusza się szybko nad kartą, wypełnia ją liniami pisma. Obrazy pożogi, sceny wojennej zagłady w krainie Piekieł tak wielkiej i odmiennej, że zwykłe słowa nie potrafią tego prawdziwie opisać. A potem pojawiła się nowa scena. Byłem tam, siedziałem w przyćmionej komnacie pełnej pajęczyn, sali z czarnym tronem. Najwyżsi zostali spętani. Przegrali. Szarpali się w spektralnych więzach, lecz im bardziej się opierali, tym mocniej zaciskały się pęta. Diabło przemówił. Jego głos dzwonił mi w uszach, potężnym echem odbijał się od ścian. „Nie wiecie, na co się porwaliście, Belialu, Azmodanie. Kara, jaka cię spotka, Durielu, będzie niewyobrażalna”. Diabło, rogata bestia, spojrzał na Pomniejszych Złych. Duriel zadrżał, ogarnął go lęk. Ten sam lęk dopadł i mnie, zimna fala

paniki... Dostrzegłem także, że pozostali Pomniejsi gardzili tym strachem. „Wszyscy będziecie cierpieć. Wszyscy zostaniecie zgładzeni!” - ryknął Baal, Władca Zniszczenia. „Wypalę was z oblicza krainy, którą nazywacie swoim królestwem. Powrócę, a gniewu mojego nic nie zdoła powstrzymać” - dodał Mefisto, Władca Nienawiści. I nagle ujrzałem, jak ziemia otwiera się pod stopami Najwyższych. Najpotężniejsi władcy, te wielkie demony, zostali wciągnięci w głąb. Z krzykiem zapadali w otchłań, wyrzuceni z dołu, który ongiś nazywali domem. Ale Władca Grozy nie wrzeszczał jak jego bracia. Podobnie jak Marlowe, Diabło roześmiał się tylko, aby dręczyć swoich prześladowców. Straszliwy to był śmiech. Rzucił się cieniem na triumf Pomniejszych Złych. Przed oczyma znowu zawirowały mi płomienie, ukazując Najwyższych Złych, gdy zostali wygnani z Piekieł do świata ludzi. Na NASZE ziemie! Ujrzałem, jak ich ciała wybijają się spod powierzchni Sanktuarium niczym podziemne stwory, a potem rozpraszają się jak dym, aby skazać nasz świat... Oni są wśród nas. Widziałem Pomniejszych władających w Piekle, zdradzili się nawzajem, ich pakt nie przetrwał. Lecz co gorsze, widziałem rozpacz niezliczonych mężczyzn i kobiet, braci i sióstr, udręczonych przez zło uwolnione przez Najwyższych, a wysłane do nas przez Pomniejszych. Oni byli... Są wśród nas... tutaj, na tym świecie. Wreszcie wszelkie myśli z głowy wyparły mi słowa, które usłyszałem. „Jesteś teraz mój!” - ryknęła potężna postać pochylająca się nade mną. Otworzyłem szeroko oczy. Błękitna zorza poranka przesączała się przez zasłonięte okna. Świece się wypaliły, pozostał tylko rozlany wosk. Minęło sporo czasu. Cała noc. Czułem chłód, drżałem, a na skórze zasychał mi zimny pot. Nigdzie nie widziałem Marlowe’a. Deski podłogowe znajdowały się na miejscu, nienaruszone. Marlowe odszedł, jakby rytuał nigdy się nie wydarzył. Ręka mnie bolała. Ostry, palący ból. Palce miałem skurczone, zaciśnięte na piórze, a obok spoczywał rękopis: *Mroczne*

wygnanie. *Część druga.* Arkusze były ułożone skrzętnie przede mną, pióro zaś nie nadawało się już do użytku.

– I wtedy właśnie przyszliśmy - rzekł Rantz.

– Wy i wasi gwardziści wyłamaliście drzwi.

– A ty uciekłeś z rękopisem.

– Tak.

– Ale nie na wiele ci się to zdało, skoro trafiłeś tutaj.

– Wiecie, co ujrzałem, panie, gdy przed wami uciekałem?

– Co?

– Robaki... rząd robaków wiodących do miejsca pod podłogą, gdzie ukryłem ciało Marlowe'a. Widzicie teraz? Wszystko, co wam opowiedziałem, to prawda. To zdarzyło się naprawdę... - zapewnił błagalnie Drest. Czuł, że w tej właśnie chwili waży się jego przeznaczenie.

– Och, były tam robaki, owszem. Robaki i gnijące zwłoki, a także świece i inne bzdury, o których wspomniałeś. Ale te zwłoki nie zatańczyły ani dla mnie, ani dla moich chłopców, ani też nie miały wiele do powiedzenia. W rzeczy samej, cuchnęły i pożerały je robaki. Mieszkanie z trupem w takim stanie rozkładu może człowieka doprowadzić do szaleństwa, sprawić, że słyszy głosy i wierzy, że jest pod wpływem demona.

Malchus położył przed Drestem rękopis: *Mroczne wygnanie. Część druga.*

– Twierdzisz, że to dzieło demonów?

– T-tak. Jak możecie tego nie dostrzegać? To jasne jak słońce!

– Dość już się nasłuchałeś, kapłanie. Musisz teraz wydać wyrok, co? Robi się ciemno. Straciliśmy prawie cały dzień na słuchanie tych bredni.

– Musicie to widzieć, panie. Widzicie, prawda?

– Wydam wyrok, konstablu Rantz. Ale muszę najpierw wykonać ostatnie zadanie. Pewnego rodzaju rytuał. To wielki sekret, dlatego nalegam na

odrobinę prywatności.

Rantz spojrział przeciągle na zakapturzoną postać.

– Jeżeli to oznacza koniec tej zabawy, proszę bardzo. Przygotuję stryczek, dobra?

Zanim jednak opuścił celę, zwrócił się do Dresta:

– Do zobaczenia wkrótce, przyjacielu. Muszę przyznać, że dobry z ciebie bazarz. Dzika wyobraźnia. Będę miał co opowiadać przez cały tydzień... Szkoda, że stracimy taki talent.

Gdy tylko zostali sami, Malchus wyszedł na światło i zajął krzesło, na którym wcześniej siedział konstabl. Drest zaczął się trząść, ogarnął go chłód.

– Chyba... chyba robi mi się niedobrze, panie... Minęło tyle czasu bez narkotyku. Boję się. Tak bardzo się boję...

– I powinienes.

– Dostrzegacie w tym wpływy demona, panie? Pojmujecie, że nie byłem winien temu, co zaszło, że to demon mną kierował? Jestem... Jestem jedynie pionkiem. Wypuście mnie... Puście mnie wolno? Przysięgam, że nigdy, nigdy więcej nie ulegnę swoim pierwotnym emocjom. Nie pozwolę, żeby pożerała mnie zazdrość albo...

– Cisza!

Malchus zrzucił kaptur. Drest zamarł. Najpierw zobaczył mlecznobiałe, mętne oko. Nieznajomy z palarni opium!

– Co to ma znaczyć?

– Wyczuwam, jak przez głowę przemykają ci myśli, gdy elementy układanki trafiają na właściwe miejsca. Byłeś zbyt słaby, żeby zrozumieć całą sytuację, Samuelu Drest. Marlowe przerwał to, co zaczął. Próbował zawrócić z naszej ścieżki. Nie chciał, żeby świat ujrział *Mroczne wygnanie*, nie chciał, aby ludzkość poznała prawdę, ponieważ prawda ta bezgranicznie

przeraziłaby wszystkich. Zamierzał wrócić do domu i spalić rękopis. Zatem... znaleźliśmy ciebie. Wiedzieliśmy, że twoja zazdrość i porażki przywiodą cię do nas. Do rytuału. I tak się stało.

– Kim... Kim jesteście?!

– Och, tylko sługą mojego pana, Beliala, który pragnie, aby każdy znał jego wspaniałe zwycięstwo. Niechaj ludzie wiedzą, że to mój pan sprowadził na ten świat przekleństwo, jakim jest obecność jego ukochanych krewnych. Twoja sztuka, a raczej JEGO, nie umrze nigdy, podawana sobie z ust do ust. Raz opowiedzianej historii nie da się przemilczeć. To najpotężniejszy pasożyt umysłu, wiecznie pożerający swojego gospodarza... Twoje życie to smutna opowieść, panie Drest. Okazało się, że jesteście z Marlowe'em bardzo do siebie podobni.

– Ale... Ale... dlaczego protestowaliście przeciwko wystawieniu sztuki, skoro chcieliście, żeby ludzie ją oglądali?

Malchus parsknął śmiechem.

– Czyż sam nie powiedziałaś, że kontrowersje mnożą zyski? To jak zaproszenie tłuszczy na darmowy obiad. Pobudzaliśmy ciekawość! Przy tej części zrodzi się nawet jeszcze więcej kontrowersji, ostatnie dzieło szalonego artysty skazanego na stryczek! Geniusz i morderca, który opowiedział największemu plotkarzowi wśród konstabli, że swoją sztukę ujrzął w wizji zesłanej przez demony. Ów przedstawiciel prawa rozniesie plotki, a gdy sztuka ruszy w świat, pogłoski podążą wraz z nią. Twoje imię splami na zawsze hańba, a ludzie poznają grozę, jaka rodzi się wśród nich. I nawet jeżeli nie uwierzą, wyczuwają ukrytą w tym prawdę. Opowieść na zawsze pozostanie nierozzerwalnie związana z ich życiem, a to życie nigdy już nie będzie takie samo.

– Ale ja... POMOCY! POMOCY! KONSTABLU RANTZ, POMOCY!

Drest krzyczał, dopóki Malchus nie zasłonił mu ust pomarszczoną dłonią.

– Za chodzenie na skróty zawsze trzeba płacić, panie Drest. Niekiedy taka ścieżka zaprowadzić może tam, gdzie nie powinno się nigdy iść... Niech ci stryczek mocnym będzie.

Szaleńcze wrzaski Dresta dobiegały aż pod szubienicę. Zacisnąwszy sznur, aby nie zawiódł podczas egzekucji, konstabl Rantz uśmiechnął się na wspomnienie wyznania więźnia. Nie mógł się już doczekać, aż opowie chłopakom w tawernie o szalonym pisarzu sztuk i jego równie szalonej, wydumanej historii. Oczywiście najpierw musiał jeszcze dopilnować wieszania.





Erik Sabol
GŁÓD





I

To wiatr, tłumaczył sobie. Tylko wiatr.

Już niemal zasypiał, kiedy ponownie usłyszał ów dźwięk - cichy, bulgocący syk, który dochodził z tylnej części wozu.

Rigley zmrużył oczy, próbując przebić spojrzeniem ciemności, jakie ogarnęły obóz. Wielbłądy spały, spętane, na złożonych pod brzuchami nogach. Młoda kobieta, Lidra, jak kazała się nazywać, pochrapywała przy dogasającym ognisku. Wóz Rigleya trwał nieruchomo, cichy, jeśli nie liczyć poskrzypywania, gdy zawiewał lekki wiatr właściwy dla Aranoch. Pustynia była cicha, pusta i zimna. Wydmy ciągnęły się gdzie okiem sięgnąć, zastygłe w świetle księżyca, jakby ścięte lodem. Rigley od lat woził tędy zaopatrzenie. Wiedział, że ta część pustyni jest stosunkowo bezpieczna, na tyle odległa od głównych szlaków handlowych, by nie kusić bandytów, a przy tym położona wystarczająco blisko Lut Gholein, by nie grasowały tu niebezpieczne bestie. Dźwięk... dobiegał z wnętrza wozu Rigleya.

Gdzie Lidra złożyła swój sprzęt.

Syk rozległ się ponownie. Rigley wyrzął spod koca i złapał za widelec, który leżał na piasku. Po raz pierwszy od lat pożałował, że nie jest uzbrojony... ani też biegły w sztukach walki. Jakoś dotąd wydawało mu się to zbędne, a jego towar nie był na tyle cenny, by skusić nawet najbardziej zdesperowanych złodziei. Ścisnął mocniej widelec i ostrożnie zrobił krok w kierunku wozu.

Chłodny piasek przesypywał się między palcami jego stóp. Na czole, tuż pod strzechą gęstych kasztanowych włosów, sperliły się kropelki potu i potoczyły w dół policzków.

Czuł, jak serce bije mu coraz szybciej. Zrobił kolejny ostrożny krok - potężną sylwetkę oblało przyćmione światło księżyca - i syk ucichł. Rigley zerknął przez ramię. Lidra ani drgnęła. Widział jej spokojną twarz w świetle dogasającego ogniska.

Kolejny krok i znalazł się w cieniu wozu. Znowu słyszał syk, dobiegający ze szczelin między krzywymi deskami, a wręgi zdawały się dygotać.

Rigley dotknął drewna trzęsącą się dłonią i zerknął przez szczelinę między dwoma deskami, ale wewnątrz wozu pogrążone było w ciemności.

Ostrożnie obszedł wóz dookoła, wciąż ściskając w palcach widelec, i zajrzał pod plandekę.

– Kto tam? - zapytał.

W środku coś się poruszyło. Rigley odskoczył, wyciągając przed siebie ramię zbrojne w widelec i łypiąc podejrzliwie na ładunek.

Syk przybrał na sile, przeszedł w długi gardłowy jęk. Z wozu sturlał się alabastrowy dzban i z głuchym odgłosem spadł na piasek. Bagaż Lidry był tam, gdzie go zostawiła, niewielka torba ze zgrzebnego płótna. Tylko że teraz płonęła fioletowym światłem. Rigley podszedł bliżej i zobaczył, że blask przyjął formę run, starożytnych liter, które wiły się na powierzchni

torby niczym magiczne węże. Rigley postąpił o krok, chcąc lepiej przyjrzeć się zjawisku. Nie był ekspertem w zakresie magicznych artefaktów, ale wiedział, że mogą być naprawdę wiele, wiele warte, jeśli rozmawiało się z właściwymi ludźmi. Ta kobieta, Lidra, chciała pewnie oszukać Rigleya i wmówić mu, że to tylko zwykła torba, skoro wrzuciła ją beztrąsko na tył wozu razem z resztą swojego ekwipunku. Jak mogłaby lepiej ukryć fortunę? Rigley uśmiechnął się szeroko na myśl o jej przebiegłości... i swojej własnej. Teraz tylko trzeba było dowiedzieć się, cóż za skarb krył się wewnątrz.

Wyciągnął dłoń do torby. Płótno drgnęło, a Rigley natychmiast cofnął rękę. Zmarszczył szerokie brwi i raz jeszcze ostrożnie sięgnął do wijącej się torby drżącymi palcami. Były już zaledwie o włos. Torba skręcała się i dygotała wściekle. Z bijącym szaleńczo sercem i wstrzymując oddech, dotknął lekko szorstkiej tkaniny i zamarł.

Poczuł na karku chłód jej klingi.

– Dotknij tego raz jeszcze, a rozplątam ci gardło - zapowiedziała Lidra.

II

– Słuchaj - zaczął, zbierając się na odwagę. - Przepraszam.

Słońce wsiąło nisko nad horyzontem. Mieli za sobą długi dzień podróży spędzony w całkowitym milczeniu. Rigley zdejmował z wozu namiot i resztę sprzętu. Uważnie układał swoje rzeczy (talerze, koce, kociołki i patelnie), nieustannie świadom torby, która niepokojąco leżała sobie za alabastrowym dzbanem.

– To twoje pierwsze słowa dzisiaj - odpowiedziała Lidra, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

Oblizwał nerwowo wargi. Nie odwrócił się w jej stronę, by nie napotkać jej spojrzenia.

– Nie jesteś za bardzo rozmowny, co? - stwierdziła.

– Nie przepadam za towarzystwem ludzi - odparł. - Dlatego kocham Aranoch. Całymi dniami można wędrować i nikogo nie spotkać.

– Nie bądź taki pewny. - Podwinęła lawendowe szaty i usiadła na piasku, krzyżując nogi. - Zeszłej nocy widziałam blask ogniska. Jakieś pół dnia drogi od nas na południe.

– Zapewne nomadowie. Tutaj opłaca się być nietowarzyskim.

– Są niebezpieczni?

– Są utrapieniem. Żaden z nich jak dotąd nie przyłożył mi noża do gardła. - Rigley skrzywił się przy tych słowach.

Lidra uśmiechnęła się z pewnym wahaniem. Swobodnym ruchem wydobyła spod szat ostrze. Zaiskrzyło w promieniach słońca - siedem cali

zakrzywionej, śmiertelnie groźnej stali. Rękojeść owinięta była paskami czarnej skóry. Serce Rigleya zabiło gwałtownie.

– Wygląda znajomo. - Kaszlnął, maskując rozdrażnienie. - Ładny.

– To tylko środek ostrożności - wyjaśniła. - Mam przy sobie jeszcze kilka.

– Jakże przezornie - zażartował.

Skinęła na wóz.

– Mam ukrytych osiem ostrzy. Nie musisz obawiać się bandytów.

Zaśmiał się krótko.

– To nie bandytów się obawiam - rzucił, ale ona mu nie odpowiedziała i w obozowisku zapadła niezręczna cisza. Rigley czuł, jak go pożera. Desperacko szukał słów. - Co... Co jest w tamtej torbie?

Podarwała głowę. Powietrze wokół niego nagle zaiskrzyło napięciem. Wziął głęboki, bardzo drżący oddech.

– Nie dotykaj - wycedziła.

– Nie, nie, nie zamierzałem...

– Odejdź od wozu, Rigley.

– Ja nie...

Machnęła dłonią. Ostrze odłupało drzazgę z burty, kilka cali od głowy mężczyzny. Zaskoczenie zaparło mu dech.

– Nie znam tego miejsca - powiedziała Lidra. - A muszę dotrzeć na drugi kraniec pustyni jak najszybciej. Dlatego cię najęłam. Powiedziano mi, że nikt nie zna tej żałosnej łachy piachu tak jak ty.

– Tak, ale tylko jako handlarz - starał się wtrącić jakieś wyjaśnienie. - Nie musiałem nigdy przewozić...

– Doprowadzisz mnie na kraniec tego piachu i tam się rozstaniemy.

Rigley przytaknął ruchem głowy. Zapłata była dobra.

Mogę się tym zadowolić, pomyślał. Odwrócił się, by przygotować wieczorny posiłek.

Wciąż miał ostatni antałek słodkiego wina z Kaldeum, przypasany do burty wozu. Oszczędzał go na jakąś wyjątkową okazję. Może Lidra przyjmie podarunek, przeprosiny w formie egzotycznego napitku. I może nie będzie świadoma, że ów napitek jest zdradziecko mocny. Rigley się uśmiechnął. Płonące blaskiem runy rozjaśniały mu myśli.

III

Pracował cichutko w czasie, gdy spała.

Wyładował jej rzeczy z tylnej części wozu, układając je w niechlujny stos przy kołach. Jej buty, szaty, noże zawinięte w koc. Ale zawahał się, zanim sięgnął po torbę.

Tego wieczoru nie dobiegał z niej ani dźwięk, ale wciąż wiła się i skręcała. Światła pulsowały i drgały. Rigley zmarszczył brwi i pochylił się niżej, jego nozdrza wypełnił ostry zapach spalenizny, jakby marnego tytoniu. Zapiekł w oczy, zadrapał w gardle i rozпалиł ciekawość.

Rigley rozwinął koc z nożami, ujął jeden i wrócił do torby. Dygotała jak konające zwierzę. Rigley podniósł ją i użył ostrza Lidry, by przeciąć sznurek. Otwarta torba przestała się ruszać, zawisała w dłoni Rigleya, jakby była pusta.

Było zbyt ciemno, by zobaczyć, co jest w środku. Rigley trzymał pakunek w wyciągniętej jak najdalej ręce, z daleka torba zdawała się kompletnie pusta, zupełnie jakby zawierała jedynie trochę cienia i smrodu spalenizny. Ścisnął lekko, próbując skłonić ją do jakiegoś ruchu, wzdrygnięcia, ale płótno wisiało w jego dłoni nieruchomo na podobieństwo starej skóry. Potrząsnął, nasłuchując gardłowego jęku, ale nic nie usłyszał. Nic poza pustynnym wiatrem. Rigley mrużył oczy w słabym świetle księżyca. Torba drgnęła, gdy padło na nią światło gwiazd. I kiedy zbliżył do niej twarz, zobaczył to. Czarny, przelewający się szlam - zwęglona, cuchnąca, drgająca masa, która sięgnęła ku jego twarzy czarnymi palcami.

Rigley upuścił torbę i padł na plecy. Atramentowe macki wystrzeliły ze środka i chwyciły go za twarz. W miarę jak zagłębiały się w policzki Rigleya, stawały się coraz grubsze, mocniejsze. Otworzył szeroko oczy. Macki próbowały rozewrzeć mu usta i gdy chciał krzyknąć, istota wepchnęła mu się do gardła.

Wił się w konwulsjach, gdy stwór wciskał się głębiej i głębiej, w dół przełyku. Rigley czuł, jak rozsadza mu pierś. Żebra zatrzeszczały i pękły. Miał wrażenie, że ktoś mu nalał do gardła płonącego popiołu. Stworzenie parło w stronę żołądka i wreszcie wpadło do brzucha ohydny ciężarem.

Rigley złapał oddech. Otarł łzy, które mąciły mu wzrok. Twarz miał brudną od sadzy zmieszanej ze śliną. Szlochał.

Czy Lidra nadal spała po drugiej stronie obozowiska? Wypiła sporo wina. A jednak... jednak wydawała się tak groźna, tak wściekła, kiedy przyłapała go poprzednim razem. Rigley poczuł wzbierającą panikę. Poderwał się na równe nogi, serce waliło mu w piersi jak szalone, podczas gdy próbował znaleźć wyjście z sytuacji. Lidra się dowie. Dowie się i będzie wściekła. Użyje swoich ostrzy... Czuł, jak z ciężkiego brzucha podnosi się do gardła fala strachu, strachu, który był zarazem paniką i złością i przepęniał Rigleya niesamowitą czarną siłą.

– Rigley, co...? - w głosie Lidry dźwięczał chłód gniewu. Zamrugła, próbując oprzytomnieć, i zaczęła szukać noży w fałdach szaty. Ruszyła do przewodnika.

W nagłym wybuchu siły skoczył i cisnął ją na wóz. Stare drewno nie wytrzymało i Lidra upadła wśród połamanych wręg i potrzaskanych burt.

Strach przyjął w umyśle Rigleya ostry, nieregularny kształt, pierwotny, niepodważalny.

Uciekaj!

IV

Powieki Lidry uniosły się, trzepocąc. Kaszlnęła piaskiem i wygrzebała się spod połamanych wręg. I przez jakiś czas leżała nieruchomo, patrząc w bezkresne niebo nad Aranoch. Jej skórę znaczyły liczne skaleczenia, niczym paski sierść tygrysa. Szaty miała splątane. Oddychała z trudem i nierówno, zmęczenie, palące słońce i kłujący ból w kończynach i torsie skłoniły ją do wpełznięcia między resztki wozu.

Usiadła, czując, jak ból przebija jej klatkę piersiową, i rozejrzała się w poszukiwaniu torby. Szukała wśród odłamków, które zdzierały skórę z palców. Bezskutecznie.

– Gdzie to jest? - mruzczała pod nosem, gorączkowo grzebiąc w piachu.

– Panienko? - głos, który rozległ się za jej plecami, był chropawy i niemłody.

Jednym płynnym ruchem Lidra wyciągnęła nóż zza cholewki i cisnęła w sylwetkę z tyłu. Ostrze świsnęło tuż przy twarzy mężczyzny. Przybysz gwałtownie wciągnął powietrze.

Był stary, kościsty niczym głodujący kruk, ale reagował błyskawicznie. Dobył zmatowiałego, wyszczerbionego miecza i skierował ostrze w jej stronę.

– Pokaż ręce - zażądał i zamarkował pchnięcie.

Wykonała polecenie, prezentując otwarte dłonie.

– Wybacz - przeprosiła. - Zaskoczyłeś mnie. To był mój jedyny nóż. Przysięgam.

Zbliżył się do niej ostrożnie.

– Kim jesteś?

Lidra usiadła na piasku, wciąż trzymając ręce w górze.

– Jechałam tym wozem.

Ostrze miecza opadło nieco. Przybysz popatrzył na wrak.

– Jest jeszcze ktoś?

– Nie.

Jego brązowe wąskie oczy złagodniały. Popatrzył na skaleczenia Lidry, wodząc końcówką miecza wzdłuż każdej rany.

– Możesz wstać?

Od uderzenia o wóz plecy pulsowały bólem, szczególnie między posiniałymi łopatkami.

– Chyba tak. Masz może wody?

Zawahał się, zmarszczki na jego twarzy stały się głębsze i wyraźniejsze. Wreszcie skinął twierdząco głową. Zawiesił miecz na pasie i wyciągnął rękę.

Dłoń miał stwardniałą, spękaną i lekko wilgotną, a jego siła zrobiła na Lidrze spore wrażenie. Podniósł ją z piasku i pomógł otrzepać podarte szaty.

– Nazywam się Slavut - powiedział, ale nie doczekał się odpowiedzi. - A ty, panienko?

– Nieważne - zbyła go Lidra.

– Skąd jesteś?

Patrzyła na niego bez wyrazu.

Wydął z lekka usta.

– A co tu robisz?

– Nic ważnego - ucięła.

Slavut obejrzał to, co zostało z wozu.

– Nie wiem, co się tutaj wydarzyło, panienko, ale możesz mi zaufać. W poprzednim życiu byłem kapłanem.

Uniosła pytająco brew.

– W poprzednim życiu?

Uśmiechnął się.

– A co robisz w tym życiu? - zainteresowała się.

Starzec wzruszył ramionami.

– Staram się przetrwać.

– To szczególne zajęcie, Slavucie.

Roześmiał się i położył dłoń na rękojeści miecza.

– Zabiłem człowieka, który zabił mi syna. Tego typu postępowanie nie jest zbyt dobrze widziane wśród kapłanów - uniósł głos. - Już się z tym pogodziłem.

Lidra wiedziała, że kłamał.

Odczepił od pasa skórzany bukłak.

– Więc co tu się stało? - zapytał, podając go Lidrze.

– Zostałam... zaatakowana. Przez pustynną bestię. - Odkorkowała bukłak i pociągnęła spory łyk. - A ty, co tu robisz?

– Oczyszczam teren. - Wskazał na parę sępów siedzących po drugiej stronie obozowiska, najwyraźniej w nadziei, że Lidra się nie obudzi. - Tak jak one. Ta pustynia to piekło. Nie ma jedzenia. Nie ma wody. Idziesz tam, gdzie prowadzą cię sępy. One wiedzą, jak przetrwać.

Przełknęła resztkę wody z bukłaka.

– Czy może jakimś cudem widziałeś kogoś, coś, kiedy się zbliżyłeś?

Mruknął przecząco.

– Chodzi ci o to, czy widziałem twój wóz rozbijający się o pustynną bestię? Nie.

Najwyraźniej nie wierzył w historyjkę o bestii. Lidra zakłęła pod nosem i odwróciła się, by raz jeszcze obejrzeć to, co zostało z wozu.

– Ukradł coś twojego, jak mniemam?

– Coś, tak.

Slavut położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie ma sensu martwić się tym teraz. Zaprowadzę cię do mojego obozu. Tam będziesz mogła coś zjeść.

Lidra wciąż patrzyła na rozbity wóz, wielbłądów nie było. Wodą i jedzeniem już dawno zajęli się padlinożercy. Ta para sępów najwyraźniej się spóźniła.

– Ile osób jest w twoim obozie?

– Tuzin. Tyle zostało z wioski, którą zagarnęła pustynia - wyjaśnił. - Szukamy miejsca, w którym moglibyśmy się osiedlić. - Oczy Slavuta pociemniały. - Albo słabej wioski, którą moglibyśmy podbić.

– To bardzo po kapłańsku - zakpiła, oddając mu bukłak.

Starzec uśmiechnął się szeroko, ale Lidra widziała ból w jego oczach.

– Dni służby Kościołowi są już poza mną, panienko. Ścieżka oświecenia nie dała mi światła. Są prostsze drogi.

– Trudno spędzać czas na klęczkach, gdy w ustach sucho.

Slavut skinął potakująco, przysłonił dłonią usta i szepnął konspiracyjnie:

– Na tej pustyni najważniejsze jest przetrwanie.

Lidra uśmiechnęła się chłodno. Podjęła już decyzję co do starca.

– Myślisz, że mogłabym cię nająć, Slavucie? Żebyś kogoś dla mnie znalazł.

Zmarszczył brwi, zerknął przez ramię, a potem znów na Lidrę.

– Raczej nie, panienko. Już i tak jesteśmy bardzo zajęci.

Podeszła do niego, spojrzenie miała ostre, nie sposób było odwrócić wzroku.

– Potrzebuję twojej pomocy. Gdzieś na tej pustyni jest mężczyzna. Nazywa się Rigley.

Slavut obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– On to zrobił - poinformowała go, wskazując wrak wozu.

Starzec rozejrzał się bacznie.

– W którą stronę pobiegł?

– Nie wiem. - Lidra ujęła go za ramię i ścisnęła. - Ale ma coś, co należy do mnie. Coś, co chcę odzyskać. Sama go nie znajdę. Musisz mi pomóc go wytropić.

– I zabić?

Przygryzła popękana i zakrwawioną wargę.

– Niekoniecznie. Raczej może... pokonać go.

Usta Slavuta ściągnęły się w cienką linię. Potrząsnął głową z wyraźnym żalem.

– Nie wiem... - mruknął.

– Macie broń? W swoim obozie?

– Tak, ale...

Jej palce zacisnęły się na ramieniu starca.

– Potrzebuję twojej pomocy. Proszę.

Odsunął się. Coś było w jej głosie, co budziło w nim strach.

– W innych okolicznościach pomógłbym z radością. Ale mamy własne sprawy, panienko. Chętnie powitamy twoje towarzystwo, ale ta pustynia nie należy do miłosiernych. A jak mówiłem, naszym głównym celem jest przetrwanie.

Lidra westchnęła. Ramiona bezwładnie zwiesiła po bokach, wbiła wzrok w piach.

– W którą stronę do obozu? - mruknęła.

Slavut odwrócił się i uniósł rękę.

– Na wschodzie. Jakieś pół dnia drogi stąd.

Ostrze zatoneło w jego plecach, rozrywając płuco. Gardło wypełniło się krwią. Przełknął ją i zachwiał się, by stanąć twarzą w twarz z Lidrą.

Uśmiechnęła się złośliwie i zrobiła krok w jego stronę. Lekkie pchnięcie posłało starca na piach. Usta miał splamione szkarłatem, oczy otwarte szeroko. Wpatrywał się w nią, kaszląc i charcząc. Przewróciła go na brzuch i wyciągnęła ostrze z pleców. Wytarła klingę o brzeg szaty i wsunęła w cholewę buta.

– A zatem na wschód - powiedziała i ruszyła w stronę horyzontu.

V

Przemawiało nie słowami, lecz uczuciami - wypełniło mu głowę potężne, przemożne pragnienie. Zalewały go fale pulsujących emocji.

Zmęczenie - mówiło pierwszej nocy. I Rigley spał sam pod zimnym niebem pustyni.

Siła - powiedziało drugiej nocy. I ciało Rigleya zadygotało jak na komendę. Jego członki wyprężyły się i poczęły giąć. Stawy wyczepiać z panewek. Skóra falowała i pulsowała, zmieniając barwę od bladej po ciemną i na odwrót. Kości skręciły się, pękając i zmieniając kształt, rwąc ciało na strzępy. A Rigley krzyczał, aż stracił przytomność.

Głód - powiedziało trzeciej nocy.

Rigley leżał udręczony na dnie leja w piachu. W brzuchu burczało mu gwałtownie i boleśnie. Odezwał się po raz pierwszy od trzech dni.

- Tu nie ma nic do jedzenia - krzyknął. - Nic.

Głos był obcy i gruby, gardło poszarpane transformacją.

Głód.

Ostrze bólu rozorało mu żołądek. Podniósł się powoli. Kości trzaskały i trzeszczały pod ciężarem mięśni, krucha trzcina pod naporem mrocznego, bezlitosnego wichru. Otarcia na jego skórze paliły bólem, gdy owiewał je wiatr, zostawiały krwawy ślad na piasku. Rigley nabrał gwałtownie powietrza, żebra przesunęły się pod skórą, napinając i rozciągając ciało. Zaryczał w agonii.

Istota w jego brzuchu drgnęła. Czuł jej ciężar. Nogi się pod nim złożyły i zwałił się na ziemię, kaszląc i łkając.

Jedno słowo - nie słowo, poprawił się w duchu, wrażenie, huczało mu w głowie. Centralnie. Okrutnie.

Głód.

VI

Wielbłąd zapewne rozpoznał zapach swego pana i ruszył za nim. To było jedno z najbardziej lojalnych zwierząt, jakie posiadał, ciągnęło wóz Rigleya krętą trasą przez kolejne lata. Teraz, kiedy ból i głód odebrały mu jasność umysłu, Rigley nie wiedział nawet, jak nazwał zwierzaka, ale wiedział, że wielbłądowi brak instynktu samozachowawczego, jaki miałyby, gdyby żył dziko. Zwierz nie będzie się bał dawnego pana. Ból w żołądku stał się jeszcze bardziej dojmujący. Rigley otworzył szeroko oczy.

Głód.

Stał na chwiejnych, zniekształconych nogach i obserwował zwierzę węszące wśród kępy odpornego na pustynne warunki zbrązowiałego zielska, którego cienkie łodyżki wiły się po skale. Usta Rigleya wypełniła ślina. Oblizwał wargi i przełknął.

Głód.

Nie odrywał wzroku od wielbłąda. Puls mu przyspieszył. Żołądek krzyczał niskim, wściekłym rykiem, od którego wzgórze zdawały się drżeć. Wielbłąd podszedł bliżej. Sierść miał matową i potarganą. Długa, wąska rana na boku połyskiwała czerwono na tle włosów. Nozdrza Rigleya zadrgały. Zacisnął szczęki. Dygotał.

Wielbłąd nie miał nawet szans, żeby zareagować. Rigley wyskoczył z ciemności, pędząca plama cienia, i zwałił zwierzaka z nóg. W mgnieniu oka znalazł się na nim. Jedną ręką wtłoczył łeb wielbłąda w piasek, drugą rozerwał brzuch ofiary i wyłowił wnętrzności. Kiedy ucztował, żyły Rigleya nabrzmiały czarną energią.

Odotoczył się od zmasakrowanego ścierwa. Strużki czerwieni spływały z jego ust. Brzuch podnosił się i opadał z każdym pospiesznym oddechem, powietrze napływało Rigleyowi do płuc krótkimi łykami, którym towarzyszył wilgotny charkot. Rigley odchrząknął i spojrzał na ścierwo wielbłąda. Zewłok był pusty, niczym ogromny płaszcz ze skrwawionych kłaków rzucony na piach. Ściągna były poprzegryzane i porozrywane, z potrzaskanych kości wypływał szpik.

Rigley chciał czuć obrzydzenie. Wszystko wokół cuchnęło, jak w zaułku za rzeźnią. Ziemia zbryzgana była szkarłatem. Jego dłonie lepiły się od krwi, żółci i soków żołądkowych.

Ale ten widok - ta odraza - jedynie wzmógł jego apetyt. Oblizwał paluchy. W brzuchu mu zaburczało. Tętnice pulsowały. Głos istoty zadzwonił w głowie...

Głód.

...chciał jeść.

VII

Ognisko mrugało na horyzoncie, jak światełko zagubione w morzu zmierzchu. Rigley toczył się w tamtym kierunku. Oczy miał otwarte szeroko i szkliste, z rozdartych warg kapła ślina.

Kilka jardów za nim Lidra wyjrzała zza wydmy. Szła za nim na wschód od kilku godzin, z dłonią zaciśniętą na rękojeści sztyletu tak mocno, że aż jej białeły kostki.

Wiedziała już, że jadł. Żyły miał nabrzmięte, wypełnione czernią, oplatały go niczym ohydne pnącze, a na skórze pojawiły się pierwsze plamy ciemności. Mimo gniewu Lidra poczuła odrobinę współczucia dla tego człowieka, bo nie miał najmniejszego pojęcia o prawdziwej naturze bestii, która spała w jego trzewiach. Nie przeczuwał nawet grozy, jaką będzie wzbudzało owo coś zamknięte w jego brzuchu, nie podejrzewał, że obróci w perzynę całe królestwa, gdy tylko nabierze dość sił, aby przejąć ciało Rigleya całkowicie.

A Lidra wiedziała, że każda kropla krwi, jaką spożyje jej dawny przewodnik, będzie krokiem w niewłaściwą stronę, kolejnym zwycięstwem demona. Łaknienie w końcu pochłonie Rigleya, zmusi do wysysania krwi i żółci z kolejnych ofiar, aż całkiem postrada rozum.

I to będzie jego kres: ciało połamane, umysł zagubiony, resztki człowieczeństwa zdławione przez silniejszego demona.

Lidra musi to powstrzymać, zanim jej nagroda przepadnie na zawsze. Miała już szansę kilkakrotnie, w chwilach, gdy stwór stawał się bezbronny -

gdy musiał złapać oddech bądź pozbyć się nadmiaru płynów. Ale czuła swąd spalenizny sączący się każdym porem jego skóry. Dziki, szalony głód.

Czekała więc.

Nad ranem Rigley dotrze do obozu i zacznie ucztować na ludziach, których tam znajdzie. A kiedy już napasie się ich zwłokami, nasycony uspokoi się na chwilę i jego czujność osłabnie. Wtedy Lidra go wykończy. Wytnie potwora z jego trzewi - akt łaski, prawdę mówiąc - i pozwoli, by przewodnik wykrwawił się na pustyni. Stosowna nauczka za nadmierne wścibstwo. A dla niej frustrująca przeszkoda w wypełnianiu zadania.

VIII

Uchodźców było tuzin. Słońce wychynęło znad horyzontu i sylwetka obcego była doskonale widoczna. Kołyszącym krokiem zbliżała się do obozu - niezdarna, zniekształcona postać, której twarz i kark znaczyła ciemna siatka pulsujących czernią żył.

Uchodźcy zebrali się za plecami jednego ze swoich - olbrzyma. Dwaj mężczyźni, sześć kobiet i troje dzieci - grupa obejmująca trzy pokolenia - czekali w milczeniu w cieniu Uroto. On też stał nieruchomo, wysoki na blisko siedem stóp, o barkach potężnych i mocnych niczym kamienny mur. Czaszkę miał łysą, za to brodę gęstą. Pierś naga. Obserwował, jak przybysz koślawo zmierza przed siebie, i zacisnął dłonie na rękojeści miecza, który rozmiarem dorównywał niewielkiemu człowiekowi.

Przybysz był niewysoki. Paskudny. Z klatki piersiowej sterczały mu wstrętne kościane wyrostki, rany na ciele sprawiały wrażenie zwęglonych, a ubranie wisiało w strzępach, odsłaniając pulchną sylwetkę.

– Czego tu chcesz, obcy? - zahuczał Uroto. Pozostał niewzruszony niczym dąb, nawet wtedy, gdy przybysz znalazł się blisko.

Stwór kuśtykał do obozu, wlokąc za sobą smród rdzy i zwęglonego mięsa. Uniósł wzrok - twarz miał spuchniętą, czarną, o poszczerbionych zębach i krwawiących wargach - by spojrzeć na olbrzyma.

– Jestem głodny - wydusił niewyraźnie.

Uroto uśmiechnął się przepaszająco.

– Wybacz, przyjacielu, ale nie mamy żywności na zbyciu. Z tym, co mamy, ledwie dotrywamy do granic Aranoch.

Stwór popatrzył zmieszany na pozostałych uchodźców i znów na Uroto. Ale nie odezwał się ani słowem.

– Skąd przybywasz? - zapytał wielkolud.

– Byłem... - zaczął przybysz nieobecny tonem, jakby coś rozpraszało jego uwagę. - Byłem kupcem. Mój wóz...

– Spotkałeś może jakiegoś człowieka w podróży? Naszego przywódcę, Slavuta. Poszedł zbadać okolicę i nie wrócił. Stary wyga, z mieczem.

Stwór zdawał się uczestniczyć w zupełnie innej rozmowie. A nawet kilku innych.

– Ja... nie zasłużyłem sobie na to - powiedział. - Pomagałem młodej damie dostarczyć ładunek do Khanduras. Taka... taka ładna rzecz.

– A co tu robisz?

– Dostawa... dostawa... nie udała się - wymamrotał obcy. Spojrzał w górę z dziwną błagalną miną. - Nie tak miało być.

– Co tutaj robisz? W naszym obozie?

Istota zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Ja... - zamilkła. Skinęła głową i wyszczerzyła zęby w makabrycznym uśmiechu. - Przyszedłem, żeby was wszystkich zabić i zjeść.

Uroto zmrużył oczy. Napiął mięśnie.

– Nie czujesz się dobrze, nieznajomy. Dlaczego grozisz tym, którzy mogą ci pomóc?

– Bo... bo jestem głodny.

Stwór skoczył. Uroto zrobił unik, po czym płazem miecza odrzucił napastnika. Ten jednak odzyskał równowagę i ponownie rzucił się do ataku. Zbił olbrzyma z nóg i wraz z nim wylądował na piachu. Był niczym wir szponów i zębów szarpiący twarz i kark Uroto. Wielkolud odepchnął napastnika i dźwignął się szybko. Pozostali uchodźcy z krzykiem uciekli na boki. Ten człowiek-potwór, ten demon, dorównywał siłą ich obrońcy. Stwór

przetoczył się w lewo. A miecz trafił w ziemię, wyrzucając fontannę piachu. Intruz na czworakach uderzył w klingę całym ciałem. Uroto padł, wypuszczając z ręki gigantyczny oręż.

W mgnieniu oka demon wskoczył na kark przeciwnika i wbił paluchy w skalp Uroto. Gęsty, mroczny pigment popłynął z opuszek stwora, plamiąc twarz wojownika. Wrzask Uroto urwał się, gdy istota zerwała mu głowę z karku. Odrzuciwszy broczący krwią czerep, pochyliła się i zaczęła ucztować.

Żarła z bestialską dzikością. Wpychała do ust kawały mięsa ociekającego krwią, łypiąc na uciekających uchodźców.

IX

Rosło w nim.

Czuł, jak wierzga, jak wierci się w jego brzuchu, kąpiąc się we krwi ofiar. Głos, który dudnił w głowie Rigleya - ta paląca potrzeba - nasilał się z każdym pożartym trupem. Jego skóra miała już barwę węgla, na tle piasku wyglądał niczym czarna perła na białym aksamicie.

Byli martwi, wszyscy, których zdołał odnaleźć. Ucztował, jadł całymi garściami, aż w końcu zostały tylko jedne zwłoki.

Śliczna dziewczyna, prawie kobieta. Oczy miała szkliste i zapadnięte. Złapał ją za ramię, chcąc oderwać je od korpusu.

– Stój - rozległ się cienki głos za jego plecami. - Jej nie.

Rigley się odwrócił. Chłopak, młody, blady i chudziutki, stał tam, ściskając rękojeść miecza Uroto. Choć starał się ile sił, zdołał zaledwie oderwać od ziemi koniec klingi, choć nie na długo.

Głód - ponaglił demon.

Ale na twarzy chłopca malowała się chłodna determinacja. Rigley puścił ramię dziewczyny, przełknął resztki mięsa, jakie miał w ustach, i przyjrzał się dzieciakowi dokładniej. Chłopak był wychudzony, wyraźnie wstrząśnięty, ale ani na moment nie opuścił wzroku.

Rigley otarł przedramieniem tłuszcz z warg i zrobił krok w kierunku niedorostka.

– Kim ona jest?

Po policzkach chłopca potoczyły się łzy, ale twarz miał nieruchomą.

– To moja siostra. I zamierzam ją pochować.

Głód!

– Po co? Przecież jest martwa, upał już jej nie przeszkadza.

– Bo tak trzeba.

Rigley podszedł bliżej. Oddech dziecka stał się szybszy. Mały wytrzeszczył oczy, ale się nie cofnął. Ponownie spróbował podnieść klingę Uroto, bez skutku.

Rigley pochylił się niżej. Chłopiec pachniał oszałamiająco, woń krwi pędzącej w żyłach wywoływała przyjemne dreszcze.

– Jesteś pewny siebie, mały.

– Tego mnie nauczono.

– I nie cofniesz się nawet przed demonem?

– Przed nikim.

Ich twarze były zaledwie cal od siebie. Rigley widział strach w chłopcu. Ale widział też głębokie przekonanie i siłę. I to odebrało mu odwagę.

– Wierzę ci.

Głód!

Brzuch Rigleya zaburczał boleśnie, ale przewoźnik nie zaatakował stojącego przed nim chłopca.

– Jak masz na imię? - zapytał.

– Kulin.

– Boisz się mnie, Kulinie?

– Tak - tchnął chłopiec, usta ledwie uformowały to słowo.

Strach! Głód! Strach!

Głód rwał Rigleyowi trzewia, ale zdołał skupić uwagę na Kulinie.

– Ja też - wyszeptał. - Jak możesz być taki odważny?

– A mam inny wybór?

– Mógłbyś uciec - powiedział Rigley. - Uratować się.

– Nie kosztem dumy, demonie.

GŁÓD - wrzeszczało stworzenie w Rigleyu.

– Nie jestem demonem - mruknął, starając się nie słuchać głosu w głowie. - Jestem człowiekiem. Tchórzem. - Nie umiał spojrzeć Kulinowi w oczy. - No dalej. Idź. Pochowaj siostrę, chłopcze.

Nedorostek wykonał gest, patrząc ponad ramieniem Rigleya.

– Czy któreś z was mogłoby mi pomóc? Woźnica usłyszał, że ktoś za nim gwałtownie nabiera powietrza. Odwrócił się zaskoczony.

Lidra rzuciła się na niego ze sztyletem w dłoni. Całą jej postać spowijał lawendowy obłok szat. Uderzyła. Nóż zatonął w mostku Rigleya.

Gniew!

Zawył, czarne żyły nadeły się wokół ramion i klatki piersiowej. Cisnął drobną Lidrę na ziemię. Wokół nich eksplodowała kurtyna piachu.

Kulin odskoczył, by uniknąć zderzenia, i tylko patrzył na starcie wielkimi oczami.

Lidra wiała się u stóp Rigleya, walcząc o oddech. Woźnica wyciągnął sztylet z piersi. Czarna posoka natychmiast wypełniła ranę. Cienkie smużki cienia połączyły jej brzegi i zamknęły rozciętą skórę. Rigley popatrzył na ten proces z malującą się na twarzy niepewnością.

Nagłym kopnięciem Lidra zwała go z nóg. Przygniotła do ziemi jego napuchnięte ciało i ze stęknieniem wbiła weń drugą klingę.

Lęk. Przerażenie. Histeria.

Ból!

Ściskając rękojeść sztyletu zatopionego w jego piersi, Lidra wydobyła trzeci nóż i przebiła brzuch Rigleya. Przekręciła oba ostrza, a czarna krew spieniła się wokół nich, krzepnąc gwałtownie.

Kulin obserwował to z pewnej odległości, kucnąwszy przy ciele siostry. Skrzywił się, widząc, jak Lidra przesuwa ostrze wbite w brzuch przeciwnika.

– Nie posłuchałeś mojego ostrzeżenia, Rigley - syknęła, pchając ostrze głębiej. Puściła rękojeść sztyletu tkwiącego w klatce piersiowej woźnicy i wyszarpnęła z kieszeni worek ze zgrzebnego płótna. Drugą dłonią obracała ostrze zanurzone w brzuchu Rigleya, pogrążając go w kolejnych falach bólu. - Mówiłam, że cię zabiję, jeśli dotkniesz tego raz jeszcze. Pamiętasz? Nie wyobrażasz sobie, jakie bogactwa zdobędę, gdy tylko to dostarczę. - Trzymając torbę przy ustach Rigleya, zaczęła skandować. Słowa były ciche i krótkie. Pokryte runami płótno zapłonęło magicznym blaskiem. Przewoźnik poczuł szarpnięcie wewnątrz brzucha, ostry, gwałtowny ruch w górę kręgosłupa. Spazmatycznie łapiąc powietrze, poczuł, jak zalewają go emocje.

Furia! Sprzeciw!

Wściekłe wrzaski demona dzwoniły mu pod czaszką. Stawały się coraz intensywniejsze, mocniejsze - pełne goryczy, gniewu, wrogie, złe uczucia - i odbierały resztki sił, jakie jeszcze tliły się w mięśniach mężczyzny.

– Możesz to sobie wziąć - wycharczał. - Ze mną już chyba skończyło.

Złapał Lidrę za nadgarstek i wepchnął ostrze głębiej we własne trzewia. Klinga rozerwała wnętrzności, a rana połknęła palce przeciwniczki. Dziewczyna upuściła torbę i szarpnęła się z całej siły, próbując uwolnić z uścisku. Cienka czarna macka popęzła po nożu w górę, po grzbiecie dłoni Lidry. Kolejna owinęła się wokół nadgarstka i wspięła na przedramię.

Lidra wypuściła rękojeść noża, ale nie mogła wydostać dłoni z rany. Szlam pełzł w górę, do jej barku, wślizgnął się na szyję, ku jej rozchylonym wargom. W oczach Lidry było tylko przerażenie. Upadła na piasek. Paznokciami darła szyję, ale demon przemocą wdarł jej się do ust i począł wciskać się do gardła. Zdołała jeszcze krzyknąć zdjeta zgrozą, w przerażający, wpół zdławiony sposób, a potem demon zniknął w jej wnętrzu.

Rigley wyrwał ostrza z piersi i brzucha, jęcząc przy tym głośno i plując krwią. Jego żyły, nadal rozdęte i czarne, kurczyły się z każdym uderzeniem serca, kościane wyrostki znikały pod skórą.

Podniósł się z trudem, raz jeszcze splunął szkarłatem i sięgnął po miecz Uroto. Chwycił potężną rękojeść, ale nie był w stanie dźwignąć ostrza.

– Chłopcze! - krzyknął. - Kulin! Pomóż mi!

Kulin patrzył na woźnicę ze strachem. Lidra tarzała się na piasku między nimi, dławiąc się potworem.

– Szlag, dzieciaku! - zawył Rigley. - Szybko!

Chłopak wahał się jeszcze, ale ruszył na pomoc. Razem podnieśli ostrze. Lidra usiadła. Szczęki miała zaciśnięte, twarz bladą, szukała w fałdach szaty kolejnego noża.

Rigley i Kulin działali zgodnie jak jeden człowiek. I przebili brzuch Lidry ogromną klingą, jednym wspólnym pchnięciem. Rigley naparł na miecz całym ciężarem i ciało Lidry upadło w piasek pustyni. Ostrze wychyło jej z pleców i przygwoździło do wydmy, wokół wykwitła plama szkarłatu. Rigley objął chłopca ramieniem i pociągnął w tył, gdy z ciała Lidry wystrzeliły pęki czarnych macek. Młóciły bezładnie, trafiając w klingę miecza, w piasek. Wysoki wrzask wibrował w powietrzu. Kulin wyrwał się z uścisku Rigleya.

– Trzymaj się z daleka, chłopcze.

Mały skinął głową potakująco, nie odrywając wzroku od wijącej się, skręcającej istoty, która konała przygwożdżona do rozgrzanego piachu. Czarne macki zaczęły skwierczeć w słońcu, śląc w niebo cienkie strużki dymu. Później znieruchomiały.

Pod Rigleyem ugiwały się nogi. Jego rany się zasklepiły, ale stało się to ogromnym kosztem. Zgarbił się i szedł chwiejnie, jak człowiek dwie

dekady starszy. Jego włosy, kiedyś kasztanowe, były teraz wiotkimi pasmami pajęczyny, wisiały mu nad oczyma siwe i rzadkie.

– Musimy iść. Tu nie jest bezpiecznie.

– Nie - zaprotestował Kulin. - Muszę pochować siostrę.

Rigley przez chwilę walczył o odzyskanie równowagi, wreszcie stanął pewnie. Nie był już zmartwiony, tylko zdeterminowany. To było nowe uczucie dla Rigleya i stwierdził, że mu się podoba.

– W takim razie... ja... ja ci pomogę. - Oddychał ciężko, rozglądając się po obozie. Wszędzie wałały się kości tych, którzy uwierzyli, że los podaruje im nowe życie. - Pomogę ci pochować ich wszystkich.





INFORMACJE O AUTORACH

MICKY NEILSON jest dyrektorem wydawniczym w Blizzard Entertainment, gdzie pracuje od 1993 roku. Do jego sukcesów w pisaniu utworów z uniwersów gier można zaliczyć między innymi: *World of Warcraft*, *StarCraft*, *Warcraft III* oraz *Lost Vikings 2*. Micky jest fanatycznym wielbicielem filmów i telewizji i w wolnym czasie tworzy scenariusze wspólnie z Samem Didierem. (Jakim wolnym czasie? Na szczęście umie zaginać czasoprzestrzeń!) Jego pierwsza seria komiksów, *World of Warcraft: Ashbringer*, wspięła się na drugie miejsce na liście bestsellerowych komiksów w twardej oprawie „New York Timesa”. Micky wspólnie z Jamesem Waughem napisali w 2011 roku *World of Warcraft: Curse of the Worgen*. Wspierany przez żonę Tiffany i córkę Tatianę Micky planuje kontynuować swoją przygodę w światach Blizzarda oraz poza nimi jeszcze przez wiele lat.

CAMERON DAYTON jest pisarzem i współtworzy uniwersum gier w Blizzardzie, pomaga w kreowaniu opowieści osadzonych w Sanktuarium, Azeroth oraz Sektorze Koprulu. Razem z Orsonem Scottem Cardem jest autorem *Advent Rising*, tworzy do gier, filmów, animacji oraz telewizji. Ma nadzieję dodać do swojego cv „politycznie istotną operę marionetkową”. Kiedyś.

MATT BURNS jest pisarzem z zespołu Blizzard Entertainment's Creative Development, aczkolwiek na początku chciał pracować na mocno pożądanym stanowisku gawera mieczy. Ukończył Uniwersytet Chapmana na kierunku film i telewizja, lubi pisać scenariusze, grać, rysować oraz pracować nad realizacją swojego życiowego marzenia, czyli stworzeniem latającej deski (takiej, która będzie działać nad wodą). Napisał krótkie opowiadanie dla każdego ze światów Blizzarda: *World of Warcraft*, *StarCraft* oraz *Diablo*. W 2011 roku brał udział w tworzeniu ilustrowanego podręcznika *Diablo: Book of Cain*.

MICHAEL CHU jest projektantem gier oraz pisarzem w Blizzardzie, gdzie rozpoczął swoją karierę w roku 2000. Pracował przy wielu grach, takich jak: *World of Warcraft*, *Neverwinter Nights 2* oraz *Star Wars: Knights of the Old Republic II*. Przez ostatnie parę lat zagłębił się w eksploracji świata Sanktuarium, pomagał w tworzeniu ostatniej gry z serii *Diablo*. Michael, kiedy uda mu się wymknąć, mieszka w Newport Beach w Kalifornii.

JAMES WAUGH pracuje w Blizzard Entertainment, Inc. jako starszy specjalista od kreowania wątków fabularnych, pisze i nadzoruje tworzenie opowieści, bohaterów, świata w tle, produkcji filmowych i

kinematograficznych dla niezwykle popularnych uniwersów *Warcraft*, *StarCraft* i *Diablo*. Poza tym pisze również opowiadania, komiksy i przekazy internetowe, a także pracuje jako wiodący redaktor publikacji wydawanych pod egidą Blizzarda.

Zanim rozpoczął pracę w Blizzard Entertainment, Inc., spędził osiem lat w przemyśle filmowym jako kierownik d/s rozwoju, scenarzysta, producent, selekcjoner scenariuszy w firmach, jak Scott Free Entertainment, Silver Pictures, Suntaur Entertainment i Jersey Films. Był redaktorem fabularnym filmu, który zdobył nagrodę na SXSW (The South by Southwest® Conferences & Festivals): *Skills Like This* i producentem filmu *Looking for Sunday*. Ostatnio w czasie wolnym pisze i nadzoruje produkcje przeboju ShutUpCartoons: *Samurai Daycare*.

James Waugh mieszka w Laguna Beach w Kalifornii z narzeczoną Tiffany i strasznie rozpieszczonym psem o imieniu Lily.

ERIK SABOL pisze zawodowo od 2006 roku. Jego opowiadanie *Flag of the Black King* zdobyło w 2009 roku pierwsze miejsce w Blizzard Global Writing Contest, a ostatecznie dzieło, *Głód*, przypieczętowało jego debiut jako pisarza ze stajni Blizzarda. Erik studiuje teraz pisarstwo na University of South Florida.



PRAWDZIWA
GRØZA

JEST
W KAŻDYM
Z NAS

